



KRZYSZTOF BONK

ARENA

CYKL PENDORUM

Krzysztof Bonk

ARENA

Cykl Pendorum I

© Copyright by Krzysztof Bonk
Projekt okładki: Krzysztof Bieniawski
ISBN wydania elektronicznego: 978-83-7859-947-0
Wydawnictwo: self-publishing
e-wydanie pierwsze 2018
Kontakt: bookbonk@gmail.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Konwersja do epub i mobi [A3M Agencja Internetowa](#)

JESTEŚ KIM BYŁAM, BĘDZIESZ KIM JESTEM



Ku pamięci Mason Purcell, aka Fawzia dokhtar-i-Sanjar



I. ARENA

Wieje porywisty wiatr i pada rześisty deszcz, które wespół smagają mnie niczym wilgotnym biczem. Mnie, czyli drobną, rudą i piegowatą dziewczynę. Jednak przede wszystkim niewolnicę, zziębniętą i zamkniętą w drewnianej klatce na jednym z wozów. Ten, zaprzężony w dwa woły, z trudem pokonuje w kondukcje błotnistą drogę. Lecz moja droga przez życie wcale nie jest łatwiejsza, o nie. Zabici bliscy, spopielona wioska, pozostawione za sobą pot, krew i łyzy. Wszakże się nie poddaję, na przekór wszystkiemu wciąż istnieję, a razem ze mną moje dziedzictwo i posłannictwo zarazem, tak. Winni zostaną ukarani tymi oto wątłymi rękami, które teraz kurczowo ściskają omszałe drewno – więżące mnie kraty. Ta myśl daje mi siłę, nadzieję i wiarę oraz nadaje sens istnieniu w kolejne naznaczone cierpieniem dni.

Z przegniłych łąk zatopionych w jesiennej szarudze przenoszę wzrok na panoramę wyłaniającego się w oddali wielkiego miasta. To zbudowana z kamienia i marmuru stolica Terraticos, cesarstwa, jednego z pięciu władztw kontynentu Pendorum.

Na horyzoncie dominują potężne, niezdobyte mury wysokie na kilkunastu ludzi, które swym ogromem wręcz przytłaczają widnokrąg. Ponad nimi piętrzą się białe i szare szczyty budynków. Wśród ich zarysów wyróżnia się cesarski pałac na wzgórzu otoczony kolumnami, nieopodal zaś wznosi niebotyczne Koloseum.

Jednakże ja sama zmierzam prosto na targ niewolników, miejsce, z którego mam trafić do czyichś rąk, niczym zakupiony przedmiot, rzecz. Jeżeli natomiast nie znajdzie się na mnie kupiec, wówczas z podobnymi sobie istotami będę oddana wprost na arenę na krwawą rzeź. Tam, ku uciesze gawiedzi, rozerwana zostaną przez dzikie zwierzęta, zmasakrowana w nierównej walce, bądź zgwałcona na oczach tysięcy czy wbita na pal,

jeśli taką wyznaczą mi śmierć. Jedno jest pewne, a mianowicie nie czeka mnie tam nic dobrego, o nie.

Następnie, zamiast podziwiać zarys wielkiego miasta, spoglądam na dziewczynę w ubłoconym, drelichowym worku – obskurny stroju podobnym, jak mój. Tak samo, jak ja siedzi ona w klatce i czeka na nowe rozdanie kart przez los. Mimo pyszałkowatych uwag nie jest w stanie ukryć ogarniającej ją trwogi. Jej pełne usta drgają nerwowo, a krągłe piersi pod szarym materiałem coraz szybciej falują. Bezwiednie odgarnia skołtunione, krucze i kręcone włosy, a także drapie czyraki na rękę. Widzę, że im bardziej się lęka, tym wzgardliwsze posyła mi spojrzenia, pragnąc mnie upokorzyć i dodając tym sobie odwagi.

Ja sama z kolei odbieram wrażenie, zupełnie jakbym dosłownie zapadała się w sobie. Odkąd pamiętam, przeżywam chwile, gdzie wygasają we mnie wszelkie uczucia, emocje, a wtedy moje ciało wypuszcza z siebie na wielki świat czystego ducha. Potrafi on wznieść się wysoko i szybować w nieograniczonej przestrzeni niczym przezroczysty, niewidzialny ptak. I czyni to także teraz.

Już nie spoglądam na stolicę Terraticos z poziomu wozów. Obecnie podziwiam ją z lotu ptaka, którego nie imają się ani rześiste krople deszczu, ani też porywisty wiatr. Widzę nieprzebrane rzędy prostokątnych budynków o białych barwach. Przypominają one wyspy pomiędzy którymi, jak kolorowe rzeki, wiją się całe zastępy maszerujących ludzi.

Na moment wzlatuję ponad poziom gęstych, granatowych chmur, aby doświadczyć bezkresu błękitnego nieba oraz spojrzeć w zawieszony na nim złociste słońce. Zaraz potem nurkuję w dół i jestem już na targu pomiędzy ludźmi i zwierzętami. Patrzę na nieznane mi owoce, warzywa, a także przyprawy oraz inne dary natury, od których aż uginają się obszerne stragany. Spoglądam na owce, kozy i osły oraz chłonę egzotyczne zapachy pokazowo zapalanych kadzideł, którymi wabi się klientów. Słyszę również ludzki zgiełk: wyławiam płacz dziecka, żebrzące prośby o jałmużnę, gwarne nawoływania czy puste śmiechy. I nagle znowu całą sobą jestem zamknięta w klatce na wozie. Mój wyzwolony duch powraca do zniewolonego ciała.

Odczuwam, że szarpie mnie za ramię dziewczyna z naprzeciwka, po czym uderza otwartą dłońią w twarz. Próbuje zadać mi kolejny cios, ale tym razem zdecydowanie chwytam jej dłoń. Spogląda na mnie z niechęcią i przez chwilę się waha, zastanawiając, czy iść ze mną na konfrontację. Krzywi się paskudnie na pyzatej twarzy, ale daje za wygraną i cofa do swego kąta w klatce.

A zaraz gniewnie posykuje, nazywając mnie czarownicą, której nagle rozświetlają się oczy. Złowrogo wspomina o swoim bracie należącym do Zakonu Lancy Czarnego Orła. Zarzeka się, że takie ohydztwa, jak ja, zakonnicy obdzierają żywcem ze skóry i podpalają na stosie. Gdy zaś wychodzi z ofiar demoniczna dusza, przyzywają czarne orły, które ostatecznie unicestwiają eteryczne istnienie heretyków. Dobitnie zaznacza, że to kres mrocznych pomiotów. Zakatowane wiedźmy zostają odesłane wprost do Otchłani skąd nie ma powrotu.

Po tym wywodzie dziewczyna w kruczych włosach spluwa mi siarczyście w twarz i zaciska ręce gotowe do walki, jeśli sama zaatakuję. Ale ja tylko ocieram szorstką tkaniną rękawa policzek i czoło. Nie uśmiecham się cynicznie, nie szczerzę zębów w gniewnym grymasie. Po prostu odwracam wzrok. Właśnie przekraczamy zdobioną rzeźbieniami bramę wielkiego miasta.

Sklepienie w kształcie łuku pokrywają kunsztownie wyryte w marmurze dumne postacie wodzów ze wzniesionym orężem. Towarzyszą im mniejsze wizerunki szeregów żołnierzy i gladiatorów. Są tu też liczne napisy, których nie rozumiem.

Tak, nie umiem pisać ani czytać. Do niedawna nie wiedziałam nawet, że istnieje coś takiego, jak pismo. Tajemnicze znaki, którymi ludzie potrafią wyrażać własne myśli, doprawdy niezwykła dla mnie rzecz.

Tymczasem wóz mija kolejne zatłoczone ulice, które widziałam już z lotu ptaka. Dlatego wiem, że szybko zbliżamy się do celu, czyli na targ, którego część wydzielona jest do sprzedaży ludzi, obecnie takich, jak ja, niewolników.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia zmęczonym głosem mój właściciel, który nie tak dawno nabywa mnie w porcie i wstrzymuje on parę wołów. Mężczyzna ten jest już postarzały z włosami i brodą w całości pokrytymi

siwizną. Na prawym policzku ma długą, silnie wypukłą bliznę, do tego liczne, srebrne kolczyki w uszach. Oczy ma zielone, a wzrok bezwzględny, za pasem zaś klucze do kajdan, a w rękę dzierży bat. Ubrany jest w szarą tunikę kiepskiej jakości pokrytą do kolan wilgotnym błotem.

Schodzi on ociężale z wozu i kluczem otwiera drewnianą klatkę. Gestem ręki wskazuje nam, abyśmy wyszły na zewnątrz, co niniejszym czynimy. Gdy we dwie stajemy naprzeciw niego, ogląda nas dokładnie od stóp do głów i zde gustowany spluwa w kałużę, gdzie krople deszczu czynią rozliczne kręgi. Następnie gwałtownie rozrywa ubranie mojej współtowarzyszki niedoli, czyniąc to na wysokości jej klatki piersiowej. Waży w dłoni jej obnażone, pełne piersi i na jego krzywych ustach pojawia się cień satysfakcji.

Niebawem my, niewolnice, stoimy wspólnie w łańcuchach oplatających nam ręce i nogi pod poszarzałą, spękaną ścianą, gdzie wystawia się ludzki towar. Nasz właściciel z kolei zasiada na pobliskiej, zadaszanej ławie i popijając wino z glinianego kubka, łapczywym wzrokiem lustruje okolicę w oczekiwaniu na potencjalnych klientów.

Ci jednak przechodzą koło nas z reguły nawet na nas nie spoglądając bądź obrzucając wzgardliwym spojrzeniem. Czasem któryś z mężczyzn dłużej ogniskuje wzrok na nagich piersiach dziewczyny koło mnie, ale zaraz odchodzi dalej.

I tak ranek przechodzi w południe i powoli zbliża się zmierzch, czas, kiedy targ zostaje zamknięty na kolejny dzień. My zaś nieustannie stoimy głodne, zziębnięte na bosych stopach w cieczy, gdzie woda z deszczówki miesza się z naszym własnym moczem.

Aż wreszcie wzbudzamy zainteresowanie pewnej pary. Kobieta oraz mężczyzna w średnim wieku za to w wykwintnych tunikach zatrzymują się przed nami, a ich sługa dzierży nad nimi obszerny, bladoniebieski baldachim chroniący od deszczu.

Nie mija chwila, a pojawia się koło nich nasz właściciel. I jak umie zaczyna zachwalać swój towar, wskazując najpierw na dziewczynę, z którą dzieliłam uprzednio miejsce na wozie:

– Jest młoda, jest zdrowa. – Chwyta ją ordynarnie za szczękę i pokazuje w większości białe, równe zęby. – Zdrowa i płodna. – Obmacuje bujne

piersi z różowiącymi się sutkami. – Płodna i silna. – Klepie po zwalistych pośladkach oraz udach. – Silna i posłuszna. – Kładzie jej rękę na ramieniu, po czym ściąga na dół. Ona ulega i w akcie pokory klęka, pochylając nisko głowę. Jest nagle, niczym inna osoba odarta z buty i zawziętości, które demonstrowała w drewnianej klatce. Ale to zrozumiałe. Jeżeli właśnie znajduje na sobie kupca, to nadchodzącej nocy uniknie swej okrutnej karni na arenie w sławetnym Koloseum.

– Może i na coś się nada... – mówi z pewnym zainteresowaniem mężczyzna z przybyłej pary i rozciera między palcami mokre, poskręcane loki dziewczyny.

– Sama nie wiem... – oznajmia z kolei leniwie towarzyszka mężczyzny, poprawiając własne, zaczesane w wysoki kok blond włosy. – Na służbę do żadnego z domów jej nie weźmiemy, prezentuje się zbyt wulgarnie. Natomiast w polu ma kto robić. Nasi niewolnicy aż nadto się rozmnożyli niczym króliki z Favers. – Macha lekceważąco dłonią zdobną w drogocenne pierścienie oraz obrączki i zaraz dodaje: – Choć mnie osobiście nieco intryguje ta druga, mniejsza niewolnica... – Spogląda na mnie. – Jest jakaś inna, dziwna... Skąd pochodzi...?

– Aaa... – Trochę zdenerwowany właściciel rozkłada szeroko ramiona: – To prawdziwy unikat, choć niedoceniany – odpowiada z udawanym podziwem. – Pochodzi zaś ona... z odległej, zamorskiej krainy bez nazwy... A jej rodowodem są półdzikie plemiona... I może wygląda dość niepozornie, ale swoimi talentami może wnieść w każdy arystokratyczny dom powiew egzotyki oraz nowości...

– Ciekawe... – wyraża tym razem zainteresowanie przybyły mężczyzna. – Co takiego na przykład potrafi? Niech coś powie...

Na co właściciel załamuje ręce i przez zaciśnięte zęby wycedza:

– Kiedy to... niemowa... Ale zaręczam, że zdrowa na umyśle, pojętna i usłużna. Rozumie polecenia...

– Hm... Może moglibyśmy przyuczyć ją do sztuki cyrkowej – zastanawia się na głos kobieta. – Do widowiskowej jazdy konnej, połykania ognia... Tak, aby zabawiała gości.

– Tak... – wtóruje jej w zamyśleniu arystokratyczny mężczyzna... – Wydaje się zwinna i ma coś niezwykłego w oczach jak magię... – Myślę,

że możemy ją nabyć za trzy złote Aureusy. Co ty na to, kochanie...?

– Za dwa, Artusie, za dwa... W końcu będzie tresowana od podstaw. Wygląda na dość dziką. Na pewno nie gryzie...? – Kobieta ostrożnie wyciąga dłoń z pierścieniami na wysokość mych ust.

– Pocałuj... – posykuje do mnie właściciel i desperacko ściska w rękach bicz. Ja zaś wiem, że jeżeli zawiodę, to zanim odda mnie na arenę, na śmierć, to w akcie zemsty zedrze ze mnie skórę swym batem. Dlatego delikatnie całuję wyciągnięty ku mnie złoty pierścień, czym wywołuję pełen satysfakcji uśmiech na twarzy jego właścicielki.

A zaraz, pokazując batem na klęczącą koło mnie dziewczynę, ponownie odzywa się właściciel:

– Dorzucę jeszcze tę sztukę za... połowę ceny... One, te niewolnice, się znają i pragnąłbym sprzedać je razem...

– Hm... – Arystokratyczny mężczyzna spogląda na wilgotne, nagie piersi dziewczyny, z których miarowo skapują krople deszczu. Lecz w tym momencie kobieta przechwytyje kierunek jego spojrzenia i nie pozostawia mu złudzeń:

– Wykluczone – oświadczają. – Uzgodniliśmy wcześniej, Artusie, że zakupimy co najwyżej jedną niewolnicę, tak było między nami postanowione.

– Racja... – przyznaje mężczyzna.

Na te słowa dziewczyna na klęczkach zaczyna nieśmiało łkać aż całkiem szlocha. Podnosi wykrzywioną grymasem bólu twarz na kobietę i desperacko łapie ją za długą, białą tunikę, szepcząc:

– Błagam... zaklinam...

W odpowiedzi elegancka kobieta z niesmakiem wyrywa swoją nieskazitelnie białą suknię z brudnych, dziewczęcych rąk. Natomiast właściciel bierze zamach batem, aby skarcić niewolnicę. Jednak ta niespodziewanie chwyta go za rękę i gwałtownie odpycha, po czym z zajadłością rzuca się wprost na mnie. Wbija mi długie, brudne paznokcie w twarz i krzycząc, boleśnie rani moją twarz. Następnie bez opamiętania okłada mnie pięściami i wpija zęby w ramię.

Zaskoczona nie zdążam nawet zareagować, gdy wtem dziewczyna zastyga w bezruchu, niczym kamień. Chwyta mnie kurczowo, jakby się podtrzymując, aby nie upaść i powoli osuwa po moim ciele na wilgotne podłoże. Rozkłada się na nim niedbale i otwiera szeroko usta, spoglądając pustymi oczyma w granatowe niebo. Zaś spod jej pleców wypływa stróżka czerwonej krwi, która łączy się z deszczówką i spływa do pobliskich kanałów. W tej chwili w rękach właściciela dostrzegam długi nóż.

Ocieram krew z własnej twarzy. A kiedy znowu spoglądam przed siebie, widzę oddalającą się pospiesznie arystokratyczną parę, która dopiero co zamierzała mnie kupić. Przenoszę wzrok na właściciela i widzę, jak narasta w nim gniew, aż ogarnia go prawdziwa furia. Wymownie spogląda na mnie spode łba i wyrok jest oczywisty, a brzmi on – arena.

Lecz zanim trafiam przed bramy górującego nad miastem Koloseum, otrzymuję tuzin siarczystych batów. Wymierza mi je mężczyzna, który dokonuje tak feralnego zakupu, nabywając mnie i zasztyletowaną przez siebie dziewczynę.

Nieustannie popychana w plecy i przewracając się na marmur czy w błoto, z krwawymi pręgami na tułowiu docieram na obszerny plac w cieniu Koloseum. W tym miejscu za pół worka mąki skupuje się ludzi przeznaczonych na rzeź na arenie. I taki los przytrafia się właśnie mnie.

Teraz kroczę w długim sznurze skazańców przed celami gladiatorów. A już niebawem zostanie mi wskazany mój ostateczny los. Wręcz czuję, jak lodowate wołanie śmierci przyzywa mnie. Jednak zaciskam dłonie w pięści i ze wszystkich sił mówię jej w duchu: nie... jeszcze nie, o nie.

*

– Hah, Dornikusie! I jak tam opanowanie przed walką?! – odzywa się gromko jeden z gladiatorów i nakłada rękaw ochronny na rękę.

– Ciągłe nie mogę się rozluźnić, nosi mnie, Gamidosie – odpowiada, stojący jedynie w przepasce biodrowej samnita w randze ciężkozbrojnego gladiatora.

– Hah! Więc się rozluźnij! Wszak do zachodu słońca mamy jeszcze czas! Wtedy zaś... – Chwyta dwuręczny miecz i wykonuje błyskawiczną sekwencję ruchów w duchu walki, po czym spokojnie, jakby wieńcząc

zwycięski cios, dodaje: – Zabijemy xeratoksa... Samego potwora z Otchłani i... wszystkie damy w Terraticos będą przed nami mdlały!

– Damy... – powarkuje nerwowo Gamidos i podchodzi w pośpiechu do zamkniętych, zakratowanych drzwi. Sugeruje coś stojącemu tam strażnikowi, a już niebawem powraca na uprzednie miejsce, pchając przed sobą niepozorną, piegowatą i rudą dziewczynę. Podrywa ją niczym piórko na ręce i niedbale rzuca na stół. Następnie odwija sobie przepaskę biodrową i staje całkiem nagi.

– Na Boga Biramond, pogromcę demonów! – krzyczy na ten widok jego kompan, przyglądając się zakrwawionej dziewczynie. – Gdzieś ty znalazł coś tak mizernego i żalosnego zarazem?!

– Nieważne. I nie mam czasu szukać dłużej. Po prostu muszę sobie ulżyć przed walką...

– Skoro tak twierdzisz, to powodzenia, Dornikusie! Nie przeszkadzaj sobie! – Mężczyzna odwraca się i przywdziewa okrągły hełm. Z kolei jego kompan chwytą ze swego rynsztunku sztylet i rozcina na dziewczynie ubranie, po czym zaczyna się z nią szamotać. W tym czasie Gamidos wykonuje lekką rozgrzewkę, wywijając mieczem, aż w pewnym momencie rzuca swobodnie za plecy:

– Nie słyszę żadnych jęków, westchnień! Coś słabo! A gdzie namiętność, gdzie pasja w imię Bogini miłości i walki Harremid?! – Robi gwałtowny piruet i raptem zastyga zszokowany. Oto ukazuje mu się kompan klęczący na posadzce i ściskający rękoma za swoje obficie krwawiące krocze. Natomiast w dłoniach półnagiej dziewczyny dostrzega sztylet Dornikusa. – Ty... – posykuje do niej i rusza na nią z obnażonym mieczem.

*

Ciągnięta pospiesznie za rękę, krocę u boku Gamidosa długim korytarzem, gdzie po dwóch stronach płoną zapalone pochodnie, osmalając owalne sklepienie, a para naszych cieni przyjmuje na ścianach postacie złowrogich gigantów.

Samotnie udajemy się wprost na arenę sławetnego Koloseum. Mamy tam stoczyć nocną walkę, mierząc się z krwiożerczym potworem zwanym xeratoksem. Nie mam wyboru, idę, a w uszach ciągle jeszcze pobrzmiwają mi ochryple pokrzykiwania nadzorcy gladiatorów:

„Skoro ta bezimienna karlica wykastrowała samego Dornikusa, to ma teraz większe jaja od niego, ha! Więc niech go zastąpi na arenie, bohaterka! Sprzedamy ją publiczności jako odrodzoną, mityczną władczynię Pendorum! Prawdziwą zabójczynię potworów! I co z tego, że ona sama zaraz także zginie. W końcu mityczna Anrea również nie żyła zbyt długo, ha! I nie, nie obchodzi mnie, Gamidosie, że i ty przez nią zginiesz. Ja zaś hojnie obstawię zwycięstwo xeratoksa i zgarnę garść złotych aureusów za głupotę twojego kompana. Idźcie już! Zejdźcie mi z oczu na chwałę areny! I tak dalej! Niech pozdrowiona będzie śmierć! Ha, ha”!

I oto staję z Gamidosem u wejścia na arenę. Ta jest doprawdy olbrzymia, przytłaczająca, a po ostatnich opadach deszczu znaczy ją błotnisty piasek. Do tego otacza ją wysoki mur, wokół którego płoną setki zawieszonych kadzi z czerwonym ogniem. Te palą się także wyżej na każdej kondygnacji, a tych nie jestem wręcz w stanie zliczyć. Z kolei wszystkie poziomy są szczelnie wypełnione przez krzyczący, wielobarwny tłum ludzi.

Odnoszę wrażenie, że doświadczam prawdziwego szaleństwa. Po dotychczasowej katordze ledwo już słaniam się na nogach i nie wiem, czy dam radę iść dalej, nie upadając. Uginają się podę mną kolana, gdy wtem ktoś wręcza mi sztylet oraz ciężką, krągłą tarczę. Z tą chwilą Gamidos, wskazując na środek areny, przekrzykuje skandujący tłum:

– Masz tam iść! Rozumiesz?! Pójdiesz na środek placu i przyjmiesz na siebie szarżę bestii! Tak! Na siebie! Na swoją tarczę! I nawet nie próbuj atakować! – Wrywa mi z dłoni sztylet i odrzuca daleko. – Masz się tylko cofać! Zaś ja w odpowiednim momencie wyskoczę z za twoich pleców i zabiję potwora! Zaufaj mi! Ćwiczyłem to z... Dornikusem... Zaufaj mi...

A więc krocę niczym w jakimś transie na środek areny z uniesioną przed siebie tarczą. Ludzie na widowni nieustannie coś krzyczą o jakiejś władczyni, pogromczyni bestii z Otchłani. Nie wiem, czy szydzą ze mnie, czy może podziwiają. Wszystko, na czym koncentruję obecnie uwagę, to aby nie upaść, bo wiem, że wtedy nie znajdę już w sobie sił, by na powrót stanąć na nogi

I oto nagle objawia się przede mną prawdziwy potwór.

Po przeciwległej stronie podnosi się krata między murami Koloseum i na arenę wstępuje złowrogie monstrum. Bestia wielkości byka posiada jego

umięśnienie, a długich, ostrych rogów na łbie doliczam się sześciu par i tyle samo dostrzegam czerwonych ślepi. Cztery racice uzbrojone są w orle szpony, a całe ciało pokrywa lśniaca, zielona łuska. Zaś w paszczy pomiędzy dwiema parami szczęk wije się niezwykle długi jęzor przywodzący na myśl bicz, którym bestia smaga na wszystkie strony. Aż ogniskuje ona wzrok wszystkich ognistych oczu właśnie na mnie, zupełnie jakby w ten sposób pragnęła mnie nimi spalić.

Z wrażenia niemal tracę oddech i odruchowo czynię krok w tył, gdzie na przeszkodzie staje mi potężna dłoń Gamidosa. Następnie pcha mnie on bezceremonialnie naprzód z taką siłą, że potykam się i ląduję brzuchem w błocie.

Spoglądam przez ramię na gladiatora, a ten pręży się na ugiętych nogach i trzyma w gotowości dwuręczny miecz. Lecz widzę, że nie patrzy na bestię, a cały czas przygląda się jedynie mi samej, zupełnie jakbym to ja była celem. Czyżbym mogła być nim naprawdę...?

I raptem objawiony mi zostaje prawdziwy zamiar Gamidosa. Wówczas sama się sobie dziwię – iskra gniewu wskrzesza we mnie pragnienie walki i krew w moich żyłach rozgrzewa się.

Dlatego znowu staję na równe nogi, po czym raz jeszcze nawiązuję kontakt wzrokowy z potworem, który wydaje się niepokonany. Co odczytuję w jego ślepiach? Jest tam tylko jedna rzecz – niczym nieopohamowana żądza krwi. Więc dam ją xeratoksowi. Dam mu ją, skoro to krwi tak pożąda.

Odrzucam tarczę, zwracam się plecami do monstrum i w ogłuszającej wrzawie tłumu kroczę wprost na wielce zaskoczonego Gamidosa. Gdy jestem tuż przed nim, chowam dłonie pod moją przepaską biodrową. Następnie wyjmuję unurzane w krwi miesięcznej czerwone ręce i bez wahania wycieram je o nagi, męski tors zszokowanego mężczyzny. Potem się odwracam i zajmuję miejsce z boku.

Z tą chwilą dostrzegam szarżującego na nas xeratoksa. Tuż przed nami wstrzymuje on bieg i łypie ślepiami na mnie to Gamidosa. Aż potwór koncentruje uwagę na zakrwawionym torsie gladiatora i rzuca się w szale wprost na niego.

Ja sama padam na mokry piach, czyniąc to w tym samym momencie, kiedy bestia zderza się mężczyzną. Powala go zdecydowanie na ziemię i skacze mu do gardła, by w fontannie czerwonej krwi rozrywać ludzkie ciało na strzępy.

Podźwigam się do pionu i z wolna z trudem podnoszę porzucony, ciężki, dwuręczny miecz Gamidosa. Xeratoks cały czas pastwi się nad truchłem gladiatora i łapczywie pożera krwawe ochłapy jego ciała. Zajmuję pozycję z jego boku i w niewiarygodnej ekstazie krzyżącego tłumu wznoszę wysoko miecz.

- Władczyni!
- Władczyni areny!
- Władczyni Pendorum!
- Anrea!
- Mityczna Anrea!
- Mityczna Anrea władczyni Pendorum!

Dochodzą do mnie wręcz opętańcze wrzaski i jakby tchną we mnie siłę, nadając memu ciosowi prawdziwą moc. Srebrzyste ostrze miecza opada, przebija się przez łuskowatą skórę i zatapia w karku potwora. Ten pada sparalizowany z przeciętym kręgosłupem, po czym łypie bezradnie ognistymi ślepiami z łbem zanurzonym w krwawych wnętrznościach – pozostałościach Gamidosa.

Biorę głęboki wdech i ponownie unoszę miecz. Pragnę zadać cios w to samo miejsce i ostatecznie zakończyć demoniczne życie istoty, która spoczywa bezradna u moich bosych stóp. Lecz naraz zastygam jak sparalizowana.

Stoję tak dłuższy czas z uniesionym dumnie orężem, niczym mityczny posąg bohaterki, której imieniem zostałam przezwana. Aż na wspomnienie imienia Anrea mój duch sam wyrywa się ze mnie i zupełnie jakby pragnął uciec z tego miejsca, wzbija się wysoko nad Koloseum.

I raptem z lotu ptaka dostrzegam na środku areny drobną dziewczynę z jaśniejącymi oczyma, klęczącą w błocie z mieczem na kolanach, w otoczeniu krwi oraz mięsa u boku dogorywającego potwora. Wzlatuję jeszcze wyżej i wyżej, spoglądając na zatopione w ognistych światłach

Koloseum, a potem na całe miasto, jawiące się niczym mgławica świetlików. I wzbijam się jeszcze dalej, przemierzając nieskończone niebiosy, aż niemal sięgam srebrzystych gwiazd. Nastaje wówczas tak utęskniona przeze mnie cisza, spokój i światłość w mroku. Światło oraz mrok biorą mnie w swe objęcia i otulają.

Czy to jest moja śmierć? Nie, jeszcze nie, o nie. Cokolwiek się stanie, nie poddam się.



II. KOSZARY GLADIATORÓW

Pod moimi gołymi stopami z lekka ugina się ciepły, suchy i złocisty piasek. W oczy zagląda mi jaśniejące słońce. Ubrana jedynie w dwie szare przepaski, biodrową oraz piersiową, znajduję się na obszernym, ćwiczebnym placu otoczonym barakami. Tak, xeratoks umiera i dzieje się to za moją sprawą, ja zaś za dwa złote aureusy trafiam z areny do szkoły gladiatorów.

Rozglądam się ponownie. Po lewej stronie ćwiczą kobiety, a po prawej mężczyźni. Słyszę szcęk stępionej broni, smaganie biczem i gniewne okrzyki nadzorców.

Jeden z nich, niezwykle rosły i barczysty podchodzi do mnie tak blisko, aż uderza mnie od niego kwaśna woń potu. Spogląda na mnie z pogardą, a ja odczytuję w tej postaci bezwzględność i okrucieństwo. Kąciki ust mężczyzny są obniżone ku dołowi, a spod krzywej, górnej wargi wystaje złoty kiel. Nadzorca jest łyśy z tatuażem na czaszce na kształt wzoru pajęczyny. Opuszcza się z niej na nici wytatuowany pajak, umiejscowiony tuż pod zielonym okiem mężczyzny. Ponadto ten zwalisty osobnik jest niemal nagi, wyłącznie w przepasce biodrowej, jego ciało znaczą dziesiątki blizn, a w rękach miętosz gruby, pokryty węzłami biczem.

– Mięso... – chrypi do mnie, zupełnie jakby z odrazą wypluwał to słowo. – Mięso areny... Oto czym teraz jesteś. A żeby to mięso zachowało przez jakiś czas świeżość i nie zgniło po pierwszym prawdziwym starciu na bitewnym piasku, masz być mi bezwzględnie posłuszna, rozumiesz...? – Kiwam z lekka twierdząco głową. – Powiedz, że rozumiesz! – Podnosi głos i unosi nade mną rękę z biczem.

– Pajosie! – Zastygła w napięciu słyszę zza pleców kobiety, odważny głos. – To niemowa! Ta obecna Anrea... czy jak jej tam, która pokonała samego xeratoksa!

– Chyba raczej podstępem zabiła Gamidosa... – Nadzorca opuszcza z lekka bat, ale jego twarz przybiera jeszcze bardziej wzdorczy wyraz. Zaraz zgrzytliwie do mnie mówi: – Wybierz broń, w jakiej się będziesz szkolić. – Łypie oczyma na stojak z rozlicznym orężem. Podchodzę do niego i moje dłonie obejmują łuk. Tak, kiedyś polowałam w lasach koło mojej rodzinnej, obecnie spalonej wioski. Karmiłam upolowaną zwierzyną bliskich, na ten czas martwych, bliskich... – Dobrze, zatem pokaż, co już potrafisz... – Pajos wskazuje na odległą tarczę z pięcioma kręgami namalowanymi białą kredą i umieszczoną na stojaku.

Biorę z kołczanu strzałę, naciągam nią cięciwę i uważnie celuję. To dobry łuk – myślę, gdy wtem nadzorca gwałtownie mnie popycha. Łąduję twarzą w piachu, a wypuszczona przeze mnie strzała trafia w najbardziej zewnętrzny krąg tarczy.

– Ha, trafiła! – krzyczy na to odzywająca się wcześniej kobieta. Na co Pajos gani jej zachwyty:

– Na arenie trafiłaby co najwyżej w kończynę nieruchliwego grubasa! – Wbija we mnie srogi wzrok i cedząc przez zęby, tłumaczy: – W ogniu walki nie ma czasu na celowanie. Chwytasz strzałę tylko po to, aby wypuścić ją z łuku i natychmiast sięgasz po kolejną, a do tego nieustannie musisz być w ruchu. – Składałam razem dwie dłonie, co w języku bez głośnych słów znaczy, że rozumiem. – Zobaczymy... – Pajos najwyraźniej odczytuje mój przekaz i robiąc mi trochę miejsca, wskazuje na kołczan ze strzałami. Chwytam go i zakładam na biodra, a wtedy nadzorca staje pomiędzy mną i tarczą, do tego szeroko rozpościera potężne ramiona. – Teraz traf... – cedzi drwiąco.

Biegnę w bok, ale zanim zajmuję pozycję strzelecką, Pajos jest już naprzeciw mnie i uniemożliwia mi oddanie celnego strzału. Uciekam w drugą stronę i sytuacja się powtarza. Robię zwody i uniki, aby zgubić prześladowcę, ale bez pożądanego rezultatu. Aż naraz zastygam w bezruchu i się odwracam, po czym mierzę w wypowiedającą się uprzednio kobietę, która dotąd podziwia moje wysiłki, a teraz ze zdziwienia szeroko otwiera usta.

Wystrzelona przeze mnie strzała zgodnie z moim zamierzeniem nie rani jej, ale przybija jeden z posiadanych przez nią czarnych warkoczyków

wprost do drewnianej futryny. Błyskawicznie okręcam się na pięcie i widzę zastygłego niczym słup soli Pajosa. To jest ta chwila. Dobywam z kołczanu jeszcze jedną strzałę. Robię przewrotkę w bok i z przykłęku trafiam w sam środek tarczy. Następnie spoglądam pytająco na nadzorcę.

Ten, z krzywym wyrazem na twarzy, miętosi w rękach bat, zastanawiając się widocznie czy zasługuję na nagrodę, czy raczej naganę. I raptem podchodzi do nas kobieta ze strzałą oraz odstrzelonym warkoczykiem w rękę, które wyjęła z futryny.

– Co za wściekła, ruda, suka! – wydaje z siebie krzyk, gdzie gniew miesza się z podziwem. Jednak pierwsze uczucie w niej przeważa i uderza mnie otwartą dłonią w twarz, po czym bezceremonialnie popycha na piasek. Potem odchodzi.

Leżąc, spoglądam za nią i przenoszę wzrok na Pajosa. Ten patrzy na mnie z pewną dziwną satysfakcją i oznajmia:

– Nie jesteś normalna, ale o tym prawie wszyscy już wiedzą, a nieliczni, pozostali, się o tym niedługo przekonają. I wierz mi, że nie będą dla ciebie tak wyrozumiali, jak Viria, z którą miałaś właśnie styczność. Powiem więcej, zachowuj się tak dalej, arogancko, a wojownicy szkoły gladiatorów znamienitego Artusa sami utną ci ten twój piegowaty łeb, zanim stoczysz pierwszą prawdziwą walkę na arenie. Ale to już nie mój kłopot. Ja mam jedynie sprawić, że otrzymasz szansę, by zginąć na piasku areny możliwie widowiskowo oklaskiwana podczas swej agonii przez tłumy. Zatem zobaczmy, jaką dać ci broń białą... – Patrzy zniechęcony na stojak z orężem. – Krótki mieczyk dla krótkiej dziewczynki i mała tarcza dla... małej dziewczynki? – Drwiąc, marszczy twarz do tego stopnia, aż można odnieść wrażenie, że jego wytatuowany pająk opuszcza mu się na nici po policzku.

– Wykluczone! – Dochodzi do nas męski, donośny głos. Spoglądam na jego właściciela i uświadamiam sobie, że ten przyglądał nam się od dłuższego czasu, a ja brałam go do tej pory za posąg. Jego przewiązane przepaską biodrową ciało jest doskonale zrównoważone, a każdy mięsień, jakby wyrzeźbiony wręcz z artystycznym pietyzmem. Rysy twarzy ma niezwykle wyraziste i szlachetne przywodzące na myśl posągowe

wizerunki bohaterów. Włosy posiada kasztanowe i długie, zaplecione w warkocz. Jest pewny siebie, ale nie widać w nim dumy.

Kim jest ten mężczyzna, który dalej do nas przemawia na temat doboru broni?

– Widać, że dziewczyna ma ikrę. Jest niegłupia, a do tego zwinna, gibka i przede wszystkim niekonwencjonalna.

– I co z tego? – pyta zniecierpliwiony Pajos.

– Ona jest inna... – Przygląda mi się intensywnie. – Naprawdę inna, a co za tym idzie, niech otrzyma unikatową broń i walczy, jak jej mityczna imienniczka, Anrea. Niech chwyta dwa krótkie miecze i szkoli się w widowiskowej walce.

– Chyba kpisz, Avesie! – rzuca w odpowiedzi wzgardliwie nadzorca. – Na jedną noc, Bogowie, z tylko sobie znanych względów uczynili z niej swoją ulubienicę. Pewnie jak zwykle, aby zakpić sobie ze śmiertelników. I oto trafia ona tutaj, do szkoły znamienitego Artusa. Ale to koniec jej drogi, nie zaś początek. Samo wielkie imię nie uczyni z niej wielkiej wojowniczką! Przejrzyj na oczy!

– Wolę przeglądać się w nich... w jej oczach, są niezwykle... – Mężczyzna nazwany Aves bierze mnie delikatnie za brodę. Uśmiecha się lekko i kieruje moją twarz ku sobie.

– Wielu widziało to na arenie ten błękit bijący z jej oczu, którego teraz już przecież nie ma. – Pajos spluwa z pogardą na piasek. – Mroczne bestie mają z kolei ślepią, mieniając się czerwienią, a błękit jest boskim przejawem. Ot na arenie jej ciało pewnie przejął na moment wielki Bóg Arezar albo jego brat potężny Gragezon. Ale to w żadnym razie nie czyni jej Boginią!

– Ale uczyniło z niej istotną inwestycję twojego pana, Artusa. Została okrzyknięta mityczną Anreą i tak będzie trzeba ją sprzedać tłumowi. Zaś w naszej gestii leży, aby ją wyszkolić oraz żeby mogła reprezentować szkołę Artusa dumnie i wiele razy.

– Zależy ci na tym, naprawdę...? Więc możesz ją sobie szkolić, do woli!
– rzuca złowrogo Pajos. Patrzy jeszcze na mnie z niesmakiem, po czym

oddala się w inną stronę. Natomiast Aves pozostaje nieustannie w dobrym humorze i tym razem po raz pierwszy zwraca się bezpośrednio do mnie:

– Wiem, że pochodzisz z za wielkiego morza, oraz iż jesteś niemową. Na kontynencie Pendorum nieumiejętność wypowiedzenia głośno słów jest uznawane za klątwę Bogów. Ale nie przejmuj się tym zbytnio. – Puszcz mi oko i szeptem, jakby w tajemnicy, dodaje: – Ja sam przeklinam Bogów... – Następnie powraca do poprzedniego, ciepłego brzmienia swego głosu, zapytując: – Jesteś lewo czy praworęczna? – Wymownie wysuwam przed siebie obie dłonie: – Takaś wszechstronna?! – Nie kryje podziwu. – Dobrze, a zatem... – Bierze ze stojaka na broń dwa krótkie miecze i ich rękojeści wkłada mi do rąk. Sam chwytając buławę oraz tarczę, sugerując: – Zaatakuj i nie bój się mnie zranić. – Odchodzę krok do tyłu, zastanawiając się, jak mogę najlepiej wypaść w tym pokazie. W końcu, co innego mi pozostaje?

Naraz zawzięcie atakuję, młócąc z pasją dwoma mieczami. Wszystkie moje ciosy są z łatwością parowane, aż zziębnięta daję za wygraną i wywołuję jedynie pełen politowania uśmiech na twarzy Avesa.

– W porządku, w porządku... Nie przejmuj się, dopiero zaczynamy – mówi pojednawczo mężczyzna: – Masz niezbyt mocne ręce, za to całkiem dobrze trzymasz się na nogach. Do tego wydajesz się wytrzymała i prezentujesz niezłą gibkość. O technice władania bronią się nie wypowiem, bo takowej praktycznie nie posiadasz. – Zabiera mi z dłoni miecze i wręcza sztylety. – Na początek zaczniesz ćwiczyć z takim orężem. A niebawem odwiedzimy kowala i postaramy się dobrać ci parę krótkich mieczy. Odpowiednio krótkich mieczy – poprawia się z nieschodzącym mu z twarzy uśmiechem. I nagle uderza mnie silnie w brzuch trzymaną ciągle tarczą. Zdezorientowana lecę w powietrzu i padam boleśnie na plecy. – Zawsze bądź czujna, Anreo. Twoja mityczna imienniczka wygrała niezliczoną ilość walk, ale jedna porażka sprawiła, że przegrała wszystko, o co walczyła. Podobnie my, wojownicy areny, możemy dać się pokonać tylko raz...

Niebawem Aves odchodzi ode mnie i instruuje jednego z pomocników Pajosa, jaki powinnam rozpocząć trening. Od tej pory wykonuję dużo ćwiczeń siłowych w ruchu, a także zaznajamiam się z technikami uchwytu i podstawowymi wymachami krótką, białą bronią.

Kiedy słońce staje w zenicie, na placu rozlega się donośny dźwięk trąbki, który wyraźnie przebija się przez stukot ćwiczebnego oręża. Jak się zaraz przekonuję, jest to obwieszczenie czasu wspólnego posiłku. Już się cieszę na samą myśl strawy w moich ustach, bowiem od rana nic nie jadłam i jestem niesamowicie głodna. Wyglądam wzrokiem Avesa, lecz pomocnik Pajosa wskazuje mi miejsce za ławą, gdzie zasiadają osoby niewyglądające na wojowników, a służbę.

Idę tam i zostaję uraczona miską nieco przypalanej kaszy jęczmiennej z dodatkiem soczewicy i warzyw. Mimo dojmującego łaknienia jem niespiesznie, tak jak mnie wychowano, a jednocześnie bacznie obserwuję zasiadające koło mnie osoby. Pierwsza postać, na której spoczywa mój wzrok, po drugiej stronie ławy, ma na sobie poplamiony, kucharski fartuch i wygląda na prawdziwego giganta.

– Bądź pochwalona, królowo areny, o wielka, Anreo! – rzuca do mnie teatralnie ogromny mężczyzna i spogląda z zachwytem na swoją miskę aż czubatą od piętrzącego się pożywienia. Łapie on łyżkę, która rozmiarem przypomina raczej chochlę, a po jego potrójnym podbródku widać, że nad wyraz sprawnie posługuje się tym orężem. Zresztą nie tylko twarz ma nalaną. Cały przypomina zwalistą baryłkę i jest naprawdę ogromny niczym mityczny olbrzym.

Aż w pewnym momencie, gdy ociera rozgotowany jęczmień z nabrzmiałych, czerwonych ust, ponownie wzbudzam jego zainteresowanie i oznajmia:

– Było o tobie naprawdę głośno. Cała stolica podobno aż huczała o tym, jak wysmarowałaś...

– Zamordowałaś... – Tłusty mężczyzna nie kończy zdania, bo otrzymuje uderzenie z łokcia w bok od zasiadającej koło niego, znanej mi już kobiety, która koryguje wypowiedź i pogodnie dodaje: – Jestem Viria. Ty zaś, nowa gladiatrix, jesteś mi winna odstrzelony warkoczyk. – Przeczesuje się po włosach i wyciąga ku mnie dłoń. – A to nasz kucharz, Gabu. – Drugą ręką tarmosi pociesznego tłuszciocha po kędzierzawych blond lokach.

Ja sama nie odwzajemniam powitalnego gestu, tylko przyglądam się kobiecie, czyniąc to obecnie dokładniej niż podczas naszego pierwszego spotkania. Stwierdzam, że jest nieco starsza ode mnie. Trochę wyższa i

krępa. Jej czarne włosy są zdaje się zafarbowane, a do tego posiada czarne piegi. Nie, zaraz dostrzegam, że nie są to naturalne piegi. To kropkowany wzór tatuażu na twarzy, lecz nie wiem, co ma on obrazować. Z kolei Viria obojętnie wzrusza ramionami. Cofa dłoń i widząc, że analizuję jej malunek na niegrzeszącym urodą licu, wyjaśnia:

– To widok gwiazdzistego nieba z miejsca, skąd pochodzę.
– Z konfederacji Favere – precyzuje między kolejnymi kęsami olbrzym Gabu.

– Zgadza się – przytakuje kobieta. – Akurat trwa wojna moich plemion oraz cesarstwa Terraticos no i pech... Przegrana bitwa i...

– Viria trafia do niewoli prosto na mój gulasz z jęczmienia – kwituje beztrosko kucharz i ani na moment nie przestaje pałaszować jadła.

– Można tak powiedzieć – zgadza się ponownie kobieta. – Cóż powiedzieć, walczyłam w ojczyźnie, a teraz będę toczyć boje na arenie, bywa. I zapewne niebawem tutaj zginę. To dobra śmierć. – Wzrusza rezolutnie ramionami. – Choć trochę żałuję, że nie zobaczę już układu gwiazd na nocnym niebie z siedziby mego plemienia. – Pokazuje na swoją twarz, po czym koncentruje się na mnie i nawiązując do moich piegów, zawadiacko zapytuje: – A co oznacza twój wzór na twarzy? I... czy to w ogóle jest tatuaż? – Krzyżuję razem dłonie, co oznacza moje zaprzeczenie. – Aha... rozumiem, że nie. Ale nie przejmuj się. Jeszcze tego dnia otrzymasz prawdziwy i trwały malunek na swoim udzie, zapewniam – kończy tajemniczo.

– Za xeratoksa – rzuca pochłonięty jedzeniem dokładki Gabu. A Viria wyjaśnia:

– Podobno twój nabywca, Artus, nakazał robić ci tatuaż za każdego pokonanego wroga.

– Mityczna władczyni tak miała, Anrea – wtrąca kucharz. – Legendy głoszą, że po każdym zwycięstwie sama tworzyła sobie na udzie obraz czaszki, symbolizujący pokonanego wroga. A kiedy doszła do liczby dziewięciu i prawie zabrakło jej miejsca na nodze, wówczas zaczęła łączyć czachy czarnymi znacznikami. Zaś każdy z tych znaczników to, no... wiadomo... – Gabu na chwilę odrywa się od pałaszowania i ostentacyjnie wymachuje łyżką.

Nieopatrznie część lepkiej strawy zostaje wystrzelona, niczym z katapulty i ląduje przy innej ławie na nagim torsie Pajosa. Nie mija chwila, a nadzorca podchodzi wściekły do grubasa i unosi bat. Jednak, co znamienne nie na kucharza, a siedzącą koło niego Virię i ryczy do niej gardłowo:

– Pięć batów za zniewagę, teraz!

– Agh... ghe... – mamrocze wstrząśnięty Gabu, spoglądając błagalnie na kobietę koło siebie, to na mnie. Z kolei Viria krzepiąco kładzie mu dłoń na plecach. Wstaje i pochyła się nad stołem, aż kładzie się brzuchem na nieoheblowanym blacie.

– Spokojnie... – słyszę z tyłu pełen troski, męski szept i czuję dłoń na moim ramieniu. – Ona wytrzyma, tak... ona wytrzyma... Pajos widział, że to nie Viria zawiniła... Mści się, bo nie może jej mieć...

Spoglądam z ukosa na stojącego za mną nieznanego mi mężczyznę, gdy raptem rozlega się smagnięcie biczem i plask w jego kontakcie ze skórą, na której pozostaje krwawa pręga. Przechodzi mnie dreszcz, a na ramieniu odczuwam zaciskającą się, niczym żelaza klamra dłoń mężczyzny, który cicho posykuje:

– Wytrzyma... ona wytrzyma... Ale Bogowie mi świadkiem, że przyjdzie dzień lub noc, a własnoręcznie zabiję Pajosa. Ja to uczynię, właśnie ja, własnymi rękoma...

Pada drugie uderzenie, a wokół ławy, gdzie wymierzana jest niesprawiedliwa kara, zbiera się coraz więcej osób. Chcę wstać, ale siła trzymającego mnie mężczyzny usadza moją postać na miejscu. Jednocześnie dostrzegam w pobliżu przyglądającego się zajściu Avesa, który kręci do mnie przecząco głową, sugerując, abym nie reagowała.

Pada trzecie uderzenie batem i tym razem Viria wydobywa z siebie żalosne jęknięcie. Odpowiada jej głośnie pociągnięcie nosem Gabu, który naraz kompletnie traci apetyt i drżącymi dłońmi kurczowo obejmuje trzęsącą się miskę z resztą strawy.

Następuje czwarty cios batem, a katowana kobieta wydziera ze swej piersi doniosły krzyk. W tej chwili sama nie wytrzymuję. Gwałtownie nurkuję pod ławę i wyskakuję po jej drugiej stronie, aby oskarżycielsko wbić wskazujący palec w grubasa Gabu. Przyświeca mi tylko jeden cel –

niech ostatni bat będzie dla niego, przecież to on zawinił! Sama dopiero co byłam biczowana przed trafieniem na arenę Koloseum i wiem, jaki to ból oraz ile może wytrzymać jedna osoba.

I raptem się orientuję, że w swoim działaniu nie jestem już osamotniona. Ponownie odczuwam na ramieniu dłoń mężczyzny, który aż do tej pory mnie przytrzymał. Lecz teraz jest to krzepiący dotyk. Stajemy razem w jednej linii, a w sukurs nam idą też inne osoby.

W reakcji na nasze zachowanie Pajos spogląda na mnie zaskoczony i wodzi gniewnym wzrokiem po pozostałych.

Nastaje pełna napięcia cisza. Viria szybko i ciężko oddycha, podczas gdy grubasowi Gabu pojawiają się łzy w oczach. Aż nadzorca robi kwaśną minę, zgina w ręku bat i kładzie go na pośladkach katowanej kobiety, po czym przejeżdża nim po jej kroczu, aż wzgardliwie z siebie wyrzuca:

– Koniec przedstawiania. Opatrzcie ten nieposłuszny, ułomny towar i radzę się nie wychylać. – Odchodzi do innej ławy, gdzie wraz ze swoimi pomocnikami spożywał do tej pory posiłek.

Ja sama zastanawiam się, czego byłam właśnie świadkiem? I dochodzę do wniosku, że w tym dziwnym miejscu panuje specyficzny układ sił. Nadzorcy nie są absolutnymi panami i choć pragnęliby niepodzielnie rządzić, to do pewnego stopnia muszą się liczyć ze zdaniem zniewolonych wojowników. Inaczej ich władza może obrócić się wniwecz, gdy przeciw zbyt radykalnemu działaniu wzniecony zostanie bunt.

Jednak wszystko ma swoją cenę. Kiedy Viria jest opatrywana, a Gabu ze spuszczoną głową sprząta z kilku ław, nie dane jest mi kontynuować treningu. Pajos odsyła mnie do mycia wychodka. I zaśmiewa mi się w twarz, że mam to czynić jedynie gołymi rękoma, aby je ćwiczyć. Więc robię to, a nadzorca zapowiada mi kolejne niespodzianki, które mają nastąpić już o zmierzchu.

W końcu słońce zaczyna się chylić ku zachodowi, a wówczas przybywam na wezwanie Pajosa. Staję na placu pomiędzy barakami, gdzie ćwiczą już tylko najwytrwalsi. Zaś koło mojego zwierchnika dostrzegam postawnego, także łysiego, jak nadzorca Pajos, mężczyznę.

Do tej pory jeszcze nie zwróciłam na niego szczególnej uwagi. Wydaje mi się, że w pewien sposób stronił od innych osób. Nie jest on zbyt

muskularny, ale co specyficzne niemal całkiem pozbawiony owłosienia. Karnację natomiast ma wyjątkowo jasną. Do tego stopnia, że można go uznać za albinosa. I tak jest w rzeczywistości. W półmroku zauważam jego bardzo rzadkie, białe brwi.

Tymczasem Pajos bez ogródek wskazuje batem na jego krocze i oświadcza:

– Mocny mężczyzna, który zostawia w kobiecie swoje nasienie, daje jej tym samym siłę. Kobieta odwdzięcza się dawaną za sprawą swego ciała przyjemnością. A kiedy jest silna i ona wzmacnia mężczyznę. To odwieczne prawo Harremid, uwodzicielskiej i wojowniczej bogini walki, miłości oraz rozkoszy. – Przenosi bat na wizerunek wyryty na drewnianych drzwiach jednego z baraków obrazujący skrzydlatą kobietę z głową łani i z wydatnymi piersiami, a ponadto z włócznią w dłoniach oraz w wyzywającej pozie. – Niniejszym, na rozkaz naszego pana, Artusa, przydzielony zostaje ci mężczyzna, Anreo... z którym od tej pory będziesz dzielić swoją celę, jak i ciało. Heh... – Śmieje się lubieżnie nadzorca. – Ale zanim to nastąpi, dostąpisz jeszcze jednego... zaszczytu... – Spogląda na moje udo i donośnie gwizdże na palcach. Nie mija chwila, a czuję znajomy, męski uścisk na ramieniu i słyszę rezolutnie wypowiedziane do mnie słowa:

– Moje imię brzmi Ravel. Chodźmy, zrobię ci tatuaż. Identyczny z tym, jaki nosiła na skórze mityczna Anrea. Spokojnie, znam się na rzeczy... – Pokazuje na swoje pokryte czarnymi malunkami ramiona. A zaraz, gdy idziemy razem pod rękę, szeptem dodaje: – Z całego serca dziękuję ci za reakcję wobec Pajosa przy Viri. Jestem twoim dłużnikiem i już nim pozostanę.

Wkrótce zasiadam na drewnianym pniaku w kącie placu i przy blasku pochodni spoglądam na klęczącego przede mną mężczyznę z nieco skośnymi oczyma. Macza on narzędzia przypominające gwoździe w czarnej mazi i systematycznie nakłuwa nimi moje ciało na udzie, wprowadzając pod skórę obcą substancję, która już tam pozostaje.

Ta procedura lekko boli, ale wobec tego, co ostatnio przechodzę, ten ból zdaje się niczym. O wiele bardziej przykre dolegliwości odczuwam w brzuchu, spoglądając z ukosa na oczekującego mnie albinosa. Jeszcze nigdy nie byłam z mężczyzną i dałabym naprawdę wiele, aby odwlec ten moment.

Jednak uświadamiam sobie, że nie mam nic, dosłownie niczego, abym zdołała to uczynić. W tym nowym świecie jestem zniewolona, a przez to całkowicie skazana na łaskę obcych Bogów oraz ludzi. I zdaję sobie sprawę, że do czasu odmiany losu będę niemal bezwonną zabawką w ich rękach. Czasem więc wspomniani Bogowie czy ludzie wyciągną do mnie pomocną dłoń jak poznany przeze mnie Aves. A znowu innym razem będą bezwzględni niczym nadzorca Pajos. I aby przetrwać, muszę być na to gotowa. Jednakże z całą siłą uświadamiam sobie, że na to, co ma mnie zaraz spotkać, wcale nie jestem przygotowana i bynajmniej nie będę. I nie zmienię tego ani trochę, nieważne jak bardzo zaklinałabym rzeczywistość.

– Skończone – oznajmia zadowolony z siebie Ravel. Patrzy z uznaniem na swoje dzieło, gdzie na moim udzie widnieje wytatuowany obraz czarnej, trupiej czaszki oznaczający pokonanego wroga. Następnie mężczyzna przemywa budzący respekt wizerunek piekącym mnie płynem.

Nieznaczenie się krzywię na ustach, lecz naprawdę chciałabym to nieprzyjemne uczucie przy sobie zatrzymać, jeżeli tylko mogłabym pozostać z nim tu, na tym pniaku i w obliczu płonącej pochodni czy wstępujących na niebo gwiazd. Z daleka zaś od mężczyzny mającego mnie zaraz osiąść.

Jednak na me nieszczęście nie ma kto spełnić mojego życzenia. Ravel uśmiecha się dobroduszenie i odchodzi niespiesznie do wnętrza baraków. Podobnie czynią też wszyscy pozostali jeszcze na placu wojownicy. Właśnie bowiem rozbrzmiewa sygnał trąbki obwieszczający, że czas udać się na spoczynek.

Więc idę. Kroczę w towarzystwie obcego mi albinosa, który ciągle się do mnie nie odzywa, a nawet nie raczy spojrzeć w moim kierunku, zupełnie jakby mnie nie dostrzegął, czy jakbym nie była dla niego żywą istotą. Czy cały czas będzie mnie tak traktował, jak rzecz? Na tę myśl tylko się wzdrygam.

Czuję się przy tym mężczyźnie mała i słaba, praktycznie bezbronna. Nie jest to dobre uczucie. Ale to nie ja je wybieram. Nieproszone samo przychodzi. Pozostaje moim towarzyszem i prowadzi mnie, niczym za rękę aż do środka celi, która okazuje się moją oraz albinosa.

Jeden z nadzorców zamyka za nami metalowe, zakratowane drzwi i pozostawia nas samych. Wewnątrz widzę wyłącznie jedną zapaloną pochodnię na ścianie, a na podłodze tylko jedno posłanie zasłane szarym kocem. Poza tym stoi tu mały stół. Koło niego z kolei dwa skromne krzesła, a na nim dwa kubki i wiadro z wodą.

To wszystko. Nie ma tu niczego więcej. Żadnego miejsca, gdzie mogłabym się schować, żadnego sposobu, aby stąd uciec. Dlatego odwracam się, przylegam mocno do zakratowanych drzwi i patrzę wprost za nie, tęsknie wyglądając kierunku wolności, która jednak w żaden sposób nie może się stać moim udziałem.

Zaciskam kurczowo dłonie na żelaznych kratkach tak silnie, jak chyba jeszcze nigdy na niczym innym, czując teraz tak dotkliwe brzemię zniewolenia. Aż naraz za plecami słyszę ku sobie powolne kroki, a potem czuję subtelny dotyk na włosach.

Z tą chwilą przechodzi przeze mnie wyjątkowo intensywny dreszcz. Moje ciało samoistnie się wygina do tyłu i naprężone zostają w nim wszystkie mięśnie. A wtedy to coś dzieje się znowu, zupełnie bezwiednie – moje oczy się rozświetlają jasną poświatą, zaś mój duch opuszcza cielesną powłokę. I w takiej ulotnej postaci przekraczam drzwi celi.

I nie chcę być niemyim świadkiem tego, co się tam zaraz wydarzy z moim opuszczonym ciałem. Dlatego kieruję swego ducha korytarzem dalej i dalej. Mijam zamkniętych kobiety oraz mężczyzn, kolejne pary aż zatrzymuję się przy jednej z nich. Rozpoznaję Ravela oraz Virię.

Mężczyzna siedzi na podłodze i z pietyzmem przemywa rany od bicia spoczywającej na podłodze partnerki. Następnie odkłada zwilżoną tkaninę i delikatnie muska ustami nabrzmiałe i krwawe czerwone pręgi na plecach kobiety. Czyni to z wolna z prawdziwym uczuciem, zupełnie jakby tym sposobem wysysał ból z kobiecego ciała i przynosił ukojenie. I można odnieść wrażenie, iż naprawdę tak się dzieje, bo w pewnym momencie Viria się odwraca, po czym uśmiecha, zarażając uśmiechem także mężczyznę.

Obejmują się delikatnie i całują namiętnie. Potem kobieta siada na będącego również w pozycji siedzącej Ravela i oplata go ciasno nogami. W miłosnym połączeniu kochają się, kołysząc coraz szybciej. Kobiece ciało

wygina się do tyłu w łuk, eksponując obfite piersi, które doczekują się pocałunków i dotyku kochanka. Oboje szybko i płytko oddychają, coraz szerzej otwierają usta, a ruchy ich ciał nabierają dynamiki. Wydają z siebie ekstatyczne westchnięcia aż niemal krzyki i nagle zastygają w bezruchu, płynnie przechodząc do delikatnego gładzenia swych nagich ciał. W tym świeżych ran oraz starych blizn, jakie przynosi im ten okrutny świat. Ale dostrzegam, że w tym niezwykłym momencie oni są ponad tym, ponieważ mają siebie nawzajem.

Oszołomiona powracam duchem do swego ciała i zaraz jestem w nim w całości zintegrowana, a moje oczy przestają lśnić. Wciąż kurczowo trzymam się krat, ale odrywam od nich jedną rękę i kieruję ją trwożnie na moje krocze. Zaskoczona dotykam materiału przepaski biodrowej. Więc cały czas posiadam na sobie ubranie, a skoro tak, nic się tu nie wydarzyło. Wspominam nakaz nadzorcy o powinności wobec Bogini Harremid i raptem dochodzą mnie pierwsze, zgrzytliwie wypowiedane słowa albinosa:

– Powinienem bez namysłu roztrzaskać ci głowę o te żelazne kraty, które tak ściskasz. Powinienem rozerwać twoje ciało na strzępy, a jego resztki wypchnąć z tej celi na zewnątrz, by nie dzielić tego miejsca nawet z twym nędznym truchłem. Ale nie dam tej satysfakcji Pajosowi. Tak to sobie zaplanował... – Spoglądam niepewnie przez ramię na stojącego za mną mężczyznę, a ten wyjaśnia: – Nie kocham kobiet. Nigdy nie potrafiłem darzyć ich uczuciem, a nawet odczuwać wobec nich jakiegokolwiek pożądania. Kochałem Gamidosa, tak, to do niego należało me serce. Było ono wojownika, do którego śmierci się przyczyniłaś. Czy więc żywię do ciebie nienawiść? Tak, ponieważ moje serce ciągle jeszcze krwawi i będzie broczyć krwią już na zawsze. – Nastaje złowroga cisza, aż albinos przemawia ponownie, ale tym razem, o dziwo, łagodniejszym głosem: – Jednak świadom jestem też tego i ty także powinnaś to wiedzieć, że gdybyś nie uczyniła swojego fortelu na arenie, Gamidos rozplątałby cię mieczem i rzucił jako przynętę dla xeratoksa. Sam, tuż przed walką, podsunąłem mu taki właśnie zamysł... Przeklęty niech więc będzie ten dzień i wszystko, co się z nim wiąże... Ty zaś, jeżeli pragniesz przeżyć, schodź mi z drogi i nigdy nie patrz mi w oczy. Bo jeśli na powrót rozniecisz we mnie gniew, rozdrapiesz jeszcze świeże rany, wtedy nic nie powstrzyma mnie, aby cię zgładzić. – Mężczyzna rzuca mi koc i dodaje: – Dla własnego dobra owiń

się tym, tylko szczelnie i z dala od mojej osoby. – Kładzie się przy ścianie na posłaniu plecami do mnie i tak kończy się jego wyniosły monolog, który wyjaśnia mi więcej, niż chciałabym słyszeć.

Sprawy czasem przyjmują niespodziewany obrót, a zwykły tok wydarzeń potrafi zaskakiwać. Powinnam to już przecież wiedzieć, ale sytuacje takie, jak ta, ciągle pozostawiają mnie z dojmującym zdziwieniem i niedowierzaniem.

Układam się więc przy kratkach i nakrywam kocem, po czym nakłaniam zmęczone umysł oraz ciało do zaznania kojącego snu. I głęboko wierzę, iż w tym nowym, niezwykłym świecie kolejny raz dane mi się będzie przebudzić, by żyć.



III. TRENING

Zaiste następnego dnia otwieram oczy, w których szarość tęczówek miesza się z lekkim błękitem. A także dane jest mi spoglądać w jasne cykliczne światło słońca pojawiające się po licznych księżycach – z czasem mija naprawdę wiele dni. Zaś wszystkie one naznaczone są przede wszystkim żmudnym treningiem, gdzie nie mam żadnych powodów, aby się choć trochę oszczędzać. Wręcz przeciwnie, daję z siebie wszystko, w końcu to jedyny sposób, by podołać przyszłym próbom na arenie – przeżyć samej, odbierając życie komuś innemu. Raz już zaznaję tego uczucia i wiem, że muszę być silna, bezwzględna i sprytna. To swoista triada, która ma mi zapewnić przetrwanie.

Zawsze jestem pierwsza na treningu i ostatnia schodzę z ćwiczebnego placu. Początkowo trenuję głównie strzelanie z łuku oraz samodzielnie tępyimi sztyletami pod leniwym wzrokiem pomocników Pajosa. Jednak widzący moje oddanie Aves, dochowuje obietnicy i wkrótce wręcza mi dwie pary krótkich mieczy wykutych specjalnie dla mnie. Od tej pory także sam trenuje ze mną, ucząc wyrafinowanej techniki posługiwania się bronią, jak i efektywnego poruszania się na placu boju.

Przy tym znamienitym wojowniku czynię najszybsze postępy. Choć niebawem zdaję sobie sprawę, że muszę się koncentrować nie tylko na nauce walki. Kobieta Avesa, Oksina, jego partnerka w walce, jak i celi, obserwuje mnie coraz bardziej jadowitym wzrokiem. Wszak jestem świadoma, że dostaje ona ku temu powody.

Poza tym, że Aves poświęca mi wiele czasu, kiedy mnie obezwładnia, nieraz łapie mnie w locie. A wówczas ze sprytnym uśmiechem na ustach dotyka dowolnej części mego ciała. Czyni to w chwilach, gdy jestem wytrącona z równowagi i zupełnie nie panuję nad swoją fizycznością, będąc na łasce tego wojownika. Wiele sobie pozwala, ale nie reaguję, w końcu pragnę, aby mnie szkolił, a wszystko, co się między nami dzieje, odbywa

się przecież w duchu walki. Nie dotykałby mnie, gdybym dała radę się przed nim obronić. Wciąż jednak pozostaje on dla mnie niedoścignionym wzorem.

Podobnie podziwiam i innych weteranów areny, którzy przeżyli już nie jeden turniej. Wśród nich przede wszystkim wychwałam Kalillę oraz Exona. Dumnych zwycięzców ostatnich wielkich igrzysk w Koloseum. Wspomniana kobieta, Kalilla, pochodzi z północnego księstwa Razzinal. Jest wysoką, szczupłą i piękną blondynką, na której szlachetnej, pociągłej twarzy nigdy nie dostrzegam choćby cienia emocji. Posiada ona złote włosy oraz błękitne oczy, a wprawiona jest w posługiwaniu się łukiem i włócznią. Z kolei jej partner jest rodem z centralnego królestwa Saladior. Według Gabu to zniewolony wysoko urodzony lord doskonale władający dwuręcznym mieczem. Również i on posiada długie, jasne włosy oraz tak samo, jak jego partnerka wydaje się postacią, niczym wykutą ze skały. Oboje stanowią naprawdę godną podziwu parę. Z rzadka się odzywają, nawet do siebie. Natomiast wolny czas spędzają, stroniąc od innych i nieustannie, do utraty tchu, trenują, bądź spoczywają wspólnie w całkowitym spokoju, być może skupieniu, zawieszając na ten czas wszystkie aktywności.

Choć muszę przyznać, iż podczas treningów z największą przyjemnością obserwuję walczącego dwoma krótkimi mieczami Avesa. To prawdziwy czempion, z którym nie wiedzieć czemu, liczą się nawet nadzorcy. Co ciekawe nikt nie wie, skąd on pochodzi, a Gabu, za dodatkową porcję owsianki, zdradza mi, że być może z samej Otchłani.

Są jeszcze Viria oraz Ravel, którzy również nieraz przykuwają mój wzrok, ponieważ do pewnego stopnia się z nimi zaprzyjaźniam. W przeciwieństwie do kucharza Gabu potrafią oni w miarę prawidłowo odczytywać mój język gestów, w każdym razie Viria. Do tego są całkiem życzliwi, bezpretensjonalni i w szkole Artusa, podobnie jak ja, nowi. A trafiają tu ponoć sprzedani z niewoli po ostatnich wojnach cesarstwa Terraticos.

Partnerka Ravela zgodnie z naturą swego plemiennego ludu z konfederacji Favera walczy tarczą i toporem. Z kolei jej mężczyzna jest retiariuszem, czyli sieciarzem. Posiada na uzbrojeniu trójząb oraz sieć i hełm w kształcie ryby. Oboje znacząco ustępują techniką najlepszym

zawodnikom, ale może to również właśnie dzięki temu czuję się przy nich dość swobodnie. Uświadamiają mi, że nie jestem w szkole Artusa jedyną, która na dobre dopiero uczy się walczyć.

Ja i walka...

Sięgam na moment myślami do mojej rodzinnej wioski. Tam całą moją walkę stanowiło strzelanie z łuku do wilków zagrażających stadom owiec i czasem polowanie na zwierzynę łowną. Ale głównie spędzałam czas na doglądaniu bydła i pracy w polu. Także na przygotowywaniu posiłków, w szczególności, gdy zaniemogli moi rodzice. Osoby, których już nigdy nie dane mi będzie zobaczyć, podobnie jak sióstr oraz braci.

Zaś to, co widzę niemal co noc, gdy zamykam oczy do snu, to złowrogi cień obcych rycerzy, którzy pewnej nocy napadają na moją rodzinną wioskę. Krzycząc, zabijają, gwałcą i palą, a nielicznych ocalałych biorą w niewolę.

Aż do tego tragicznego wydarzenia sądziłam, że wielki, szalony świat poza mym domem jest tylko wytworem wyobraźni wędrownych trubadurów. Natomiast cesarstwa, królestwa i inne władztwa, Otchłań czy odległe kontynenty oraz wielcy Bogowie to tylko opowieści, niczym zdobne tkaniny stworzone z misternie utkanych słów.

Teraz jednak już wiem, że okrutny, bezwzględny i zarazem różnorodny świat naprawdę istnieje i nie pragnąc tego, sama porwana zostaję w jego wir. Nie jestem już dzieckiem, choć sama jeszcze nie wiem na dobre kim. Ale jestem gotowa stać się tym, kim będzie mi przeznaczone, nawet waleczną gladiatrix.

To jedyna droga, by przeżyć, a pewnego dnia być może dokonać nawet sprawiedliwej zemsty na człowieku, który nasycił swój miecz krwią mojej rodziny. To zakuty w stal mężczyzna z lodowatym spojrzeniem stalowych oczu i niezrozumiałymi dla mnie znakami na czole, o których teraz wiem, że to napisy – kreślone słowa.

To on, ten mężczyzna, śni mi się co noc i we śnie odcina mi mieczem dłonie. Czuję płynący z jego ostrza w mym ciele jad, który dociera aż do serca. Ale czy zawsze muszę śnić taki sam sen? Otóż nawet jeżeli tak, to wierzę, że na jawie role się mogą odwrócić. Tak, być może kiedyś dane mi będzie wymierzyć temu potworowi zakutemu w stal słuszną karę – zemścić

się, zabijając go. To mój kolejny cel po samym przeżyciu i posłannictwo, jakie wyznaczam sama sobie. Krew za krew. Tak właśnie powinno się stać...

– Czy aby wszystko w porządku? Tak zawzięcie ściskasz swoją łyżkę nad jęczmieniem, zupełnie jakbyś chciała nią kogoś skrzywdzić – przemawia naraz do mnie Gabu.

– „Bo chcę” – składam razem dłonie, łącząc je z lekkim przykłaśnięciem, co ma oznaczać determinację.

– Że jak...? Nie rozumiem... Chcesz mi oddać swoją porcję jęczmienia...? – dopytuje życzeniowo i całkiem poważnie grubas. W odpowiedzi odruchowo wykonuję nieco bardziej skomplikowane i obszerne gesty dłońmi, aby dokładniej wyjaśnić moje intencje. Na co do coraz bardziej zdezorientowanego kucharza odzywa się zjadliwie Viria:

– Nasza Anrea zdaje się, pragnie przekazać, iż zamierza kogoś zamordować. – Robi pauzę, wbija wzrok w Gabu i dalej posykuje: – Chyba nie smakuje jej żarcie, które przygotowałaś i pragnie na dobre się pozbyć kucharza... – Kobieta ze śmiertelną powagą naśladuje moje gesty, czyniąc to nad wyraz rozczapierzonymi dłońmi, a na koniec jedną z nich przeciąga sobie pod gardłem.

Szybko kręcę przecząco głową, chcąc zaprotestować. Jednak Gabu najwyraźniej wierzy w interpretację świadomie drwiącej sobie z niego Viri i nieznacznie odsuwa się od blatu ławy, aby zachować ode mnie większą odległość. Gdy naraz Ravel przyjaźnie klepie grubasa po wielkich plecach i swobodnie mu oznajmia:

– To była żart. Viri nie poszła dziś walka na placu i musiała komuś po dogryzać. – Spogląda z wyższością na ciemnowłosą kobietę z kropkowanym tatuażem na twarzy, ona zaś ostentacyjnie wysuwa w jego kierunku język. A zaraz oboje się śmieją do siebie, nieznacznie poszturchując. Jednocześnie nastaje dłuższa cisza, aż w końcu Gabu ostrożnie, ściszone głosem mnie podpytuje:

– Umiesz pisać albo czytać...? – Z moje strony pojawia się zaprzeczenie ruchem głową w poziomie. – Tak, tak też myślałem... A może chciałabyś, abym cię nauczył? To mogłoby pomóc we wzajemnej komunikacji. – Patrząc na niego zaciekawiona i dla odmiany kiwam głową na „tak” – Dobrze... –

odzywa się zadowolony Gabu i dodaje: – Jako rekompensatę za dyskretne lekcje proszę tylko o jedno, a mianowicie... oszczędź kucharza – mówi to śmiertelnie poważnie, widocznie nie do końca wierząc w uprzednie wyjaśnienie Ravela. Kiwam twierdząco głową, aby mieć temat już za sobą, a tłuścioch kontynuuje: – Wszak miałbym co do ciebie, jeszcze jedno oczekiwanie. I domniemam, że ze względu twoją swoistą... cichość, jak również to, że jesteś pełna niewiedzy o kontynencie Pendorum, będziesz odpowiednią osobą. Mianowicie w szkole Artusa nikt nie chce przysłuchiwać się moim opowieściom. – Spogląda na pochłoniętych jedynie sobą Ravela oraz Virię. – Ja natomiast po prostu muszę się komuś czasem wygadać, czy na głos pofilozofować przed wdzięcznym audytorium, rozumiesz...? – Z mojej strony Gabu napotyka powolne mrugnięcie oczyma, co także oznacza dość oczywiste potwierdzenie. Wówczas wreszcie rozluźniony kucharz zdaje się łapać jakąś przewodnią myśl i nie mija chwila, a z zadowoleniem wpada w dłuższy monolog: – Mam pod posłaniem schowaną książkę z cytatami wielkiego wojownika-filozofa z zamierzchłej ery, Etosa. Był wybitnym wodzem oraz myślicielem, a jego światłe sentencje możemy traktować jako elementarz dla ciebie do nauki czytania, jak i pisania. I nie pytam, czy się zgadzasz na ten akurat egzemplarz, bo w zasadzie... nie mamy wielkiego wyboru, a właściwie, żadnego... – Zakwita rozbajającym uśmiechem i przechodzi do kolejnego tematu, wychodząc od uprzedniego: – Na początek powinnaś wiedzieć, że Etos był światłym obywatelem cesarstwa Terraticos, który swego czasu niemal całkowicie podbił pięć władztw kontynentu Pendorum, a dodatkowo pokonał licznych najeźdźców z Otchłani, jak konne zastępy Majanu, hordy barbarzyńców czy oddziały Legionów Śmierci oraz Demonów Mroku. Na jego cześć największe miasto Terraticos, stolica, nosi nazwę właśnie Etos. To wspaniała metropolia, gdzie swoją główną siedzibę ma Zakon Miecza Białego Psa walczący w imię cesarskiej władzy pod wezwaniem samego Boga odwagi i walki Arezara. Sam Arezar należy do wąskiego panteonu pięciu najwyższych Bóstw kontynentu Pendorum, którzy to Bogowie istnieli tu od początku i ongiś sami wpuścili tu zamorskich najeźdźców, aby ukarać pierwotnych, dumnych mieszkańców kontynentu, Allearów. Z kolei wśród głównych Bogów Pendorum, poza wspomnianym Arezarem prezentowanym jako skrzydlaty człowiek z głową psa, mamy tu Boginię miłości i walki Harremid, skrzydlatą kobietę z głową

łani. Także skrzydlatym, choć męskim Bóstwem, tym razem z głową ptaka, jest Biramond, patron świętości i walki. Natomiast walce i honorowi patronuje Avenedor przedstawiany jako skrzydlaty mężczyzna z głową lwa. Na koniec mamy męską i skrzydlatą postać człowieka z głową niedźwiedzia. To Gragezon opiekun siły i walki... – Ostatnie słowo Gabu wypowiada wyjątkowo wolno i jakby z powątpiewaniem, a do tego spoglądając z pewnym niesmakiem nad moją głowę. Zanim się zorientuję, jak się sprawy mają, zalewa mnie z góry gorąca ciecz. Zaskoczona podskakuję na pniaku drewna, po czym gwałtownie się odwracam.

– Potknęłam się, wybacz... – mówi lekceważąco, stojąca tuż za mną Oksina. Następnie pustą miskę po zupie w swoim ręku wyciera o moją przepaskę na klatce piersiowej, drwiąco oznajmiając: – Prawie nie masz cycków. Na pewno jesteś kobietą? Bo podobno nie spożywasz swojego przydziału świętego napoju Harremid, aby uniknąć ciąży i każdego dnia być gotową do walki. Więc...? – kończy wielce podejrzliwie i oskarżycielsko zarazem, patrząc na wodę w kubku koło mnie stanowiącą mój napój.

– Czy to prawda...? – Zza pleców zazdrosnej partnerki Avesa wyłania się Pajos i w swoim stylu cedzi gniewnie słowa przez zęby: – No dalej, pokiwaj tym swoim rudym, piegowatym łbem, abym mógł stwierdzić czy słowa Oksiny to prawda. A jeżeli tak, i swoją wstrzeźliwość obrażacie Bogów, to gustujący w mężczyznach albinos Laris poniesie srogą karę, podobnie, jak ty. – Spluwa z pogardą na bok i ścisną w rękach bicz.

Wstaję i jako dowód mej kobiecości zdejmuję z piersi przepaskę, częściowo ukazując swoją nagość.

– Co za niewydarzone pryszczę... – kwituje widok Oksina, ogniskując wzrok na moich małych piersiach.

– Pryszczę jak pryszczę, w walce im mniejsze cycki, tym mniejszy balast, ale to chyba jednak kobieta... – Rozczarowany Pajos ponownie spluwa i zgrzytliwie dodaje: – Zaraz się ostatecznie przekonamy, rozbierz się do końca – zarządza.

– Widziałam ją całkiem nagą podczas mycia, to jest kobieta – odzywa się zdecydowanie w mojej obronie Viria. – Poza tym przecież wiecie, jak i czym potraktowała na arenie Gamidosa.

– Jak chcesz, to rozbierzesz się po niej – kwituje z lubieżnym uśmiechem na ustach nadzorca. Na co słowa Viri potwierdza podchodzący do gromadzących się wokół osób Aves:

– To jest kobieta. – Spogląda na mnie.

– Sprawdzałeś? – posykuje gniewnie Oksina i zamaszystym ruchem ręki zrywa mi z bioder przepaskę. Wszyscy zebrani oglądają mnie teraz całkiem nagą. Tak, jestem i czuję się kobietą, taką się narodziłam. Więc jeżeli chcą, niech patrzą. Nie mam tu nic do ukrycia.

– Nie ma czym wywijać między nogami, to zwykła dziewczka – stwierdza już całkiem zde gustowany nadzorca i z zawziętością dodaje: – Pozostaje więc jeszcze kwestia wspomnianego świętego napoju Harremid. Pijesz swoją porcję? – Kręczę przecząco głową. – Przynajmniej w tym względzie nie kłamiesz... – Rozczarowany Pajos zgrzyta zębami i zgina bat w rękę, po czym zadaje kolejne pytanie: – Czy oddajesz się co noc naszemu albinosowi, hę? Bo jeżeli tak i nie pijesz napoju, to za niepożądaną ciążę czeka cię zsyłka do kopalni żelaza. – Trzaska gwałtownie batem o ziemię. – Jeżeli zaś nie przyjmujesz świętej cieczy do ust, ponieważ Laris tobą wzgardził, to taka postawa jest obrazą Bogini Harremid ze strony albinosa i czekać go będzie stosowna kara, więc...?

Zastygam, jak sparaliżowana, patrząc na Pajosa posiadającego drwiący uśmiech na ustach, to na Oksinę z podobnym wyrazem twarzy. I wiem, że od tego, co teraz zrobię, zależy wiele. Biorę głęboki oddech i nie czekając na ponaglenie, które może być uderzeniem bicia rozcinającego moją skórę, zwracam się do Gabu. W pośpiechu wykonuję w jego kierunku te same ruchy, co wówczas, gdy sugerowałam zabicie mordercy mojej rodziny.

Zdezorientowany grubas patrzy na mnie, sam nagle także oniemiały, a wszyscy wbijają wzrok właśnie w niego. On z kolei, osaczony wzrokiem z trudem przełyka ślinę. Jednak ja w niego wierzę, raptem staje się on moją jedyną nadzieją. Dał mi się już poznać, jako ktoś o łagodnym usposobieniu i dobrych intencjach, a do tego posiadający mądrość. Dlatego decyzję, jak wybrnąć z tej sytuacji, oddaję jemu. Niech będzie moimi słowami. Niech sprawi, że nikt nie ucierpi, proszę, niech tak się stanie...

– Tak więc... – Kucharz chrząka klika razy w dłoń, aby zyskać na czasie, aż w zamyśleniu flegmatycznie oświadcza: – Anrea pragnie

przekazać, że...

– Tak?! – ryczy zniecierpliwiony Pajos i miażdży w dłoniach bicz.

– Ona... – sili się z trudem Gabu. – W imię Bogini Harremid... Anrea co noc oddaje się Larisowi i to po kilka razy, z rozkoszą, naprawdę... – Spogląda na chwilę na mnie, po czym spuszcza nisko wzrok. Podnosi go na resztę obecnych osób i w odkrywczy sposób z uśmiechem na nalanej twarzy, naraz wielce radośnie kończy: – Tak, dokładnie tak! Anrea kocha się w swej celi z Larisem aż wióry lecą z posłania! A nie spożywa świętego napoju Harremid, bo sama nie może mieć dzieci. Jest bezpłodna! Przecież wszyscy wiedzą, że to przeklęta przez Bogów niemowa!

Po tym wyznaniu nastaje pełna konsternacji cisza, która się przedłuża. Wśród niej Pajos, któremu nad wyraz mocno opadają kąciki ust spogląda krzywo na Gabu, potem na mnie, a wreszcie daleko na niezasiadającego z nami albinosa. Następnie macha niedbale ręką z biczem. Wzrusza jeszcze ramionami, patrząc na Oksinę, po czym odchodzi, a zaraz za nim czyni to reszta zgromadzonych osób.

Ja sama dopiero teraz zdejmuję sobie z głowy resztki warzyw z wylanej na mnie zupy i zakładam przepaski na ciało, osłaniając na powrót mą nagość. A gdy zostaję już tylko w towarzystwie Gabu, składam razem dłonie i ich wnętrza łagodnie przeczesuję palcami, oznajmiając:

– „Dziękuję”.

Zaś już niebawem ponownie ćwiczę, po ostatnich emocjach jeszcze intensywniej niż zwykle. Strzelam w biegu z łuku, a także wypuszczam strzały do tarczy, będąc w wyskoku czy z przykłęku tuż po przewrotce. Nie mierzę, po prostu staję się z moją bronią jednością, jest ona niczym przedłużenie mojego ciała, ramion oraz dłoni. Nie rozróżniam pomiędzy sobą i orężem, a wtedy jestem jak natchniona.

Podobnie ćwiczę z przytępionymi mieczami na przemian atakując Avesa, to parując jego ciosy. Kiedy wyłączam umysł i daję się ponieść walce, biegle wykonuję poznane sekwencje ruchów i spontanicznie tworzę ich własne kombinacje, aby mój przeciwnik został zaskoczony i niezdolny się skutecznie bronić bądź zaatakować. Momentami wręcz czuję, jakby mój duch opuszczał ciało i powracał do niego jako esencja walki, jednocząc we mnie wszystkie posiadane talenty i siły.

Aż w końcu jest już niemal noc i muszę zaprzestać ćwiczeń na placu, gdzie pozostaję sama. Wlewam sobie do rozchylonych ust niemal pełen dzban wody, po czym rozbieram się do naga i ciecz z glinianych naczyń wylewam na swoje kleiste od potu ciało pokryte miejscami drapiącym piaskiem.

Później, ponownie w przepaskach biodrowej oraz piersiowej, jestem odprowadzana przez znużonego klucznika do celi. Zamyka on za mną drzwi i obecnie wszystko, czego pragnę, to wycieńczona się położyć, aby we śnie zregenerować nadwątlone siły. Ale niespodziewanie czuję na plecach dłoń, dotyk albinosa. Następnie niespodziewanie kładzie mi rękę na pośladkach i zsuwa ją na moje krocze.

Zbyt wiele ostatnio walczę, aby zareagować inaczej. Odwracam się i uderzam Larisa otwartymi dłońmi w tors, lecz mężczyzna nawet nie drgnie. Zaciskam więc dłonie w pięści i staram się wymierzyć mu ciosy w twarz, ale on czyni niesamowicie zwinne i błyskawiczne uniki. Aż raptem łapie mnie w pól i ani się obejrzę, zostaję uniesiona w powietrze, po czym rzucona na posłanie.

Leżąc na macie ciężko oddycham i już wiem, że z moją dziewczęcą siłą oraz bez mego ostrego oręża za nic nie uda mi się obronić. Albinos robi ze mną, co tylko zechce. Choć myślę, że mam jeszcze ostre zęby i paznokcie, których nie omieszkam użyć. Tak po prostu mu się nie oddam bez walki. Nie jestem już bowiem tamtą rozdygotaną dziewczyną, która trwożnie trzymając się krat, czekała na nieuniknione. I na ten czas jestem skłonna walczyć nawet z nieuchronnym przeznaczeniem. Przez ostatnie tygodnie nieustannie ćwiczyłam nie tylko ciało, ale i hart mego ducha, starając się zostać wojowniczką, gladiatrix. Więc tak, będę walczyć!

Korzystam z tego, że albinos zastyga nade mną, jak kamień i nie wykonuje żadnego ruchu. Porywam się na niego i próbuję zranić w twarz paznokciami. Lecz moje ciosy wydają się wręcz śmieszne i są skrajnie nieskuteczne. Laris nie rusza się z miejsca, a mimo to ani jeden mój rozpaczliwy atak nie dochodzi celu. Podobnie się dzieje, gdy kucam gwałtownie i chcę zaatakować krocze mężczyzny. Wówczas ten wykonuje tylko balans ciałem i moje wymachy pięściami trafiają w próżnię.

Wreszcie wymęczona daremnym wysiłkiem padam na kolana i ciężko dysząc, pochylam się, podpierając dłońmi. Po całodziennym i obecnym trudzie zwyczajnie nie mam już w sobie sił. I choćbym zaklinała wszystkich pięciu dumnych Bogów kontynentu Pendorum, to nie wskrzeszę w sobie już ani krzty potrzebnej mi mocy. Ostatecznie przegrywam, mam tego bolesną świadomość. Niech więc ten, kto wygrywa zerwie owoc swego zwycięstwa. Myślę tak i zaciskam pośladki. Skłamałbym wobec siebie, myśląc, że jestem gotowa.

Ale nieoczekiwanie widzę koło swojej twarzy wyciągniętą ku mnie otwartą dłoń. Zanim ją chwycę, zadzieram głowę i po raz pierwszy widzę na twarzy albinosa lekki uśmiech. Bezwiednie go odwzajemniam, choć mój jest niepewny oraz krzywy, po czym daję się podźwignąć do pionu. Spoglądamy sobie nawzajem w twarz, a wtedy Laris zabiera głos, całkiem swobodnie mówiąc:

– Naprawdę się starasz, nie poddajesz i w pewien sposób nawet mi przez to imponujesz. Ponadto przeszedł mi już na ciebie największy gniew. Może dlatego, że dowiedziałem się o tym, co zaszło dzisiaj w porze posiłku... Muszę ci wyznać, iż cieszy mnie to, że intryga Pajosa oraz Oksiny spełzła na niczym. Słowem pajak i żmija musieli obejść się smakiem... – Jego uśmiech się poszerza nieznacznie i zdradza autentyczną satysfakcję. – W zamian za twoje skuteczne wysiłki decyduję się wyznaczyć ci nagrodę – dodaje.

– „Jaką”? – uderzam dłonią o wnętrze drugiej dłoni i jedną z nich podrywam silnie do góry. Albinos rozumie:

– Otrzymasz ode mnie jedyną nagrodę, na jaką mnie stać. I prawdę powiedziawszy nie wiem, czy chcę ci ją ofiarować ze względu na ciebie, czy raczej samego siebie... – Zawiesza głos i wyjaśnia: – Obserwuję cię i czynisz niezwykle postępy w walce białą bronią i za pomocą łuku. Przyznaję, że coś w tobie jest, coś niewytłumaczalnego... Nie wiem jeszcze, czym to jest... i być może się tego nie dowiem, nie dbam o to. Ale posiadam coś, czego ci brakuje, aby się stać w przyszłości kompletną wojowniczką... – Wysuwa przed siebie otwarte dłonie. – To walka za pomocą własnego ciała. Zauważ, że bez swojej broni w postaci oręża jesteś w tej chwili bezbronna, niczym dziecko i dopiero co dałem ci tego przykład, abyś sama dostrzegła swój brak... I choć nie zostaniemy cielesną

parą, bo nie pragnę kobiety, to wkrótce będziemy parą na arenie i być może sztuka, której zamierzam cię uczyć, uratuje nam kiedyś życie. Z tych wszystkich względów pragnę cię szkolić. Przyjmij więc mój dar zarówno dla mnie, jak i dla siebie, nalegam.

– „Zgadza się” – Bez namysłu składam razem dłonie. I ośmielona szczerze dodaje: – „Dziękuję” – czynię kolejny gest.



IV. TURNIEJ KU CZCI GRAGEZONA

Mija szereg tygodni w szkole Artusa za jej wysokimi murami. Deszczowa jesień przechodzi w chłodną zimę, a ta z kolei w upajającą rozkwitem wiosną. Wraz z odrodzeniem natury także i ja odnajduję w sobie siłę, aby na swój sposób się ponownie narodzić – tym razem jako wojowniczką areny – gladiatrix. Nadchodzi bowiem dzień, kiedy mam się udać na swój pierwszy turniej do średniej wielkości miasta wprost na arenę, by walczyć tam z dzikimi zwierzętami.

Co odczuwam na ten czas? Może to dziwne, ale nie czuję dosłownie niczego. Nie ma w moim sercu lęku. W walce dam z siebie wszystko, aby przeżyć i w przyszłości otrzymać szansę pokierowania własnym losem. Jeżeli zaś przyjdzie mi polec, obecne załamywanie rąk i tak nic nie pomoże.

Jednak naprawdę jestem spokojna. Te ręce, moje dłonie, tak długo ćwiczyłam już do walki, że wiem, jak ich użyć i co mam czynić w obliczu wroga. I to zarówno, gdy dzierżę broń, jak również, kiedy jestem jej pozbawiona.

W tej chwili, za sprawą albinosa, Larisa, nigdy nie czuję się całkiem bezbronna. Jestem mu za to wdzięczna i moje przyszłe starcia, oprócz szkoły, do której należę, zamierzam zadedykować właśnie jemu. Chociaż, jako niemowa, nie ogłoszę tego wielkiemu światu. To dziękczynne przesłanie będzie musiało pozostać jedynie w moim sercu.

*

– Kiedy przeciwnik atakuje, ustępuj mu z drogi. Gdy zaś się cofa, atakuj... – czyta Gabu i jednocześnie pałaszuje swoją owsiankę. – W ten sposób odczytujesz sentencję wielkiego Etosa, Anreo? – zapytuje.

– „Tak” – składam dłonie, spoglądając na wytarte stronnice cienkiej książki gęsto upstrzonej plamami z licznych, przeszłych posiłków kucharza.

– Dobrze... – stwierdza Gabu i z zadowoleniem dodaje: – Sam bym jeszcze dorzucił: gdy jesteś głodny, jedz, a kiedy nie czujesz łaknienia, zawczasu przygotuj sobie coś sycącego. – Głodzi się po wielkim brzuszysku. Kiwam mu głową na zgodę, a po dwóch stronach ławy, gdzie zasiadamy, dołączają do nas Viria oraz Ravel.

– Gotowa na wypatroszenie stada zwierzaków? – rzuca do mnie rezolutnie kobieta.

– Musi być gotowa, bo musi wrócić – oznajmia jej partner, sieciarz i kładzie mi krzepiąco dłoń na plecach. – Przyzwyczailem się już do świszczących strzał koło mego ucha podczas treningów. Poza tym pragnę kontynuować wzór tatuazu identyczny jak na udzie mitycznej Anrei... – Spogląda w niebo, potem na moje udo, a na jego twarzy zaduma miesza się z zachwytem.

– „Wróćę” – gestykuluje.

– W to nie wątpimy. – Na moich plecach do kompletu pojawia się dłoń Viri i czuję, jak na mych łopatkach splata ona palce z Ravelem.

– Na twój powrót postaram się przyrzędzić coś wyjątkowego – wtrąca Gabu. – Choć prawdę mówiąc, mogłabyś mi się odwdzięczyć, przywożąc ze sobą trochę upolowanej na arenie dziczyzny. Marzy mi się potrawa z dzika albo jelenia, wręcz śnię o takiej po nocach... – Oblizuje ze smakiem usta. – Da się coś takiego zrobić...? – Patrzy na mnie z nadzieją. Zaś moją jedyną odpowiedzią jest delikatny uśmiech.

– Już czas. – Dochodzi do mnie zdecydowany, ale ciepły głos Avesa. Odwracam się i wtedy rzędzie mi mina. Na piaszczysty plac właśnie wjeżdża wóz, a na nim drewniana klatka, która jak się domyślam oczekuje właśnie na mnie. Na ten widok i inni markotnieją. Przypominają sobie bowiem, że oprócz znamienitych wojowników, są tu przede wszystkim niewolnikami i to traktowanymi nieraz, niczym zwierzęta rzucane sobie do gardeł na arenie to zamykane w klatkce.

Jednak teraz nie mam żadnego wyboru. Wstaję i z wolna kieruję się do wozu, a odprowadza mnie podtrzymujący na duchu wzrok Avesa. Mijam także dumne oblicza Kalilli oraz Exona. Na koniec odwracam spojrzenie od wzgardliwych pół uśmiechów Pajosa i Oksyny. Lecz są tu też inni i wiem, że dla żadnego z nich nie jestem już obojętna. Każdy z obecnych obdarza

mnie jakimś uczuciem: dobrym lub zły, podziwem czy pogardą bądź współczuciem. Ale coś wobec mnie czują, bo stałam się jedną z nich – gladiatrix.

Wkrótce jestem już zamknięta w klatce i po raz pierwszy od dawna opuszczam wysokie mury szkoły gladiatorów Artusa. Poruszam się wozem zaprzężonym w kare rumaki, a towarzyszy mi woźnica z czterema strażnikami, którzy jadą konno przodem.

Spoglądam na swoją eskortę i myślę sobie, że jestem teraz o wiele więcej warta niż wówczas, kiedy mnie po raz pierwszy zakupiono po przybyciu na kontynent Pendorum. Zresztą czuję to, iż staję się kimś innym. A może inaczej – dopiero samą siebie odkrywam? Siebie, czyli właściwie kogo?

Myślę, że za wcześnie na ostateczne odpowiedzi. Choć nie jest zbyt wcześnie na zadawanie pytań. Taką naukę wynoszę z Traktatów Etosa podczas kolejnych lekcji czytania z Gabu. Zaiste język pisany jest niezwykle i za jego sprawą można przekazać prawdziwe brzmienie myśli. Urzeka mnie to na swój sposób i w czytaniu odnajduję przyjemność oraz inspirację. I nawet w tej chwili, spoglądając na rozściełane wokół wiosenne dywany kwiatów, wspominam niektóre świątłe sentencje:

„Czasem krótka chwila rozstrzyga o doniosłych rzeczach”. To niewątpliwie prawda i jak nigdy doświadczam jej, gdy w przeciągu jednego momentu staję się niewolnicą i sierotą. Również po pokonaniu xeratoksa, co zupełnie niespodziewanie otwiera mi drogę do szkoły gladiatorów Artusa.

„Jeżeli posiadasz oczekiwania, pojawią się też rozczarowania, wiedz, iż to nieuniknione”. To głęboka myśl, której w duchu także przyznaję mądrość. Zaś traktuje ona w moim mniemaniu o pokorze. I to prawda, sądzę, że należy po prostu brać to, co przynosi nam dany dzień. Jeżeli natomiast sami będziemy czegoś wymagać od dnia, on nie zawsze spełni nasze prośby. A wtedy, rozczarowani, będziemy złorzeczyć.

„Dobry pasterz strzyże swoje owce, a nie obdziera ze skóry”. Z kolei te słowa dają mi otuchę, że takim akurat dobrym pasterzem jest Artus. Skoro zakupił mnie do swej szkoły, żywię nadzieję, że nie posyła mnie właśnie na pewną śmierć, a przeciw wyzwaniu, któremu mogę podołać. W końcu moje

przeżycie będzie wiązać się z tym, że cena za mnie ponownie wzrośnie i będzie można jeszcze więcej na mojej osobie zarobić, niczym na strzyżonej cyklicznie owcy.

Tak oto wspominam wielkie myśli i snującego je niegdyś wielkiego myśliciela. Jednak abym mogła je zastosować we własnym życiu i poznać nowe, muszę uprzednio sprawdzić się na arenie, słowem muszę zwyciężyć, by przeżyć. Bowiem zbliżamy się już do murów miasta. Nadchodzi więc walka, nadchodzi to, co mi przeznaczone.

Wraz z przekroczeniem przeze mnie miejskich bram ludzie po obu stronach drogi się rozstępują i wznoszą nieśmiałe wiwaty. Czynią to głównie ku chwale Boga siły i walki Gragezona, którego święto obchodzą. Choć tu i ówdzie przebijają się też nieśmiałe okrzyki „Anrea”, zapewne nawiązujące do mitycznej postaci mojej imienniczki.

Tak czy inaczej, mieszkańcy wiedzą, jakie jest moje przeznaczenie i gdzie niebawem trafię, aby dać upust ich woli podziwiania krwawej walki i śmierci. Lecz pokaz ma się odbyć dopiero nazajutrz i obecnie, na noc, zostaję zamknięta w jednej z szeregowych cel w podziemiach tutejszej areny.

Układam się na posłaniu, ale nie dane jest mi zaznać szybkiego snu. Dochodzą mnie liczne, głośne rozmowy i śmiechy strażników i innych, przysyłanych tu wojowniczek. Szczególnie donośna jest kobieta naprzeciw mnie w celi, gdzie stoi, nieustannie rechocąc do jednego z pilnujących.

Ma ona niezwykle długie i czarne włosy zaplecione w trzy grube warkocze. Jest bardzo wysoka oraz postawna. Posiada naprawdę budzącą respekt posturę. A gdy tak się jej przyglądam, ona, pochłonięta rozmową, zdejmuje górną przepaskę i ukazuje w całej swej krasie wydatne, nagie piersi. Strażnik chwyta za nie łapczywie, przeciskając dłonie przez kraty, po czym mocno ściska, a kobieta nie przestaje się śmiać. Zaraz pilnujący mężczyzna odchodzi i powraca ze sporym, glinianym dzbanem. Unosi go wysoko i przez kraty próbuje wlać zawartość naczynia kobiecie do rozchylonych szeroko ust. Ta pije do upojenia bordową ciecz, zapewne wino, które obficie spływa jej po brodzie i nagich piersiach aż na sam brzuch. Potem, już nasycona, się odwraca. Zdejmuje do kompletu przepaskę biodrową i mocno przylega pośladkami do krat. Strażnik sam

bierze spory łyk z dzbana. Odkłada go i ściąga swoje spodnie, a jego ręce spoczywają na kobiecych biodrach. Następnie spoglądam spokojnie, jak upojeni alkoholem ciągle się śmieją i kopulują ze sobą przez kraty. A niebawem znowu rozmawiają, rechocą i piją wino. Czynią to, nie wiem, jak długo, ponieważ w końcu zapadam w sen.

Moje przebudzenie dokonuje się tradycyjnie skoro świt. Od zawsze wstaję razem ze słońcem. Kiedy ono jest przebudzone, mi także nigdy nie pozwala już dłużej spać.

Siadam ze skrzyżowanymi nogami na podłodze i czekam na to, co ma się dalej wydarzyć. Jednocześnie, po przeciwległej stronie, oglądam za kratami nagą kobietę śpiącą w celi w niedbałej pozie, na korytarzu zaś dostrzegam rozbity dzban.

Mija sporo czasu, przestrzeń podziemi zapełnia się nowymi strażnikami i wtedy zostaję poprowadzona do przedsionka samego placu na arenie. Tutaj, w towarzystwie trzech innych gladiatrix, w tym znanej mi już postawnej brunetki, przywdziewam przeznaczone mi ubranie. Są to skórzane, dobrej jakości wysokie buty, pas z pochwami na miecze, a do tego lekki napierśnik z metalowymi elementami oraz delikatną siatką stanowiącą gorset. Tak ubrana wkładam do pochew dopiero teraz oddane mi moje krótkie ostrza, jak również zakładam na biodra przeznaczony mi kołczan ze strzałami i chwytam lekki łuk.

Zakratowana brama się podnosi i wskazane mi zostaje, abym wyszła na piach areny. Czynię to i w pierwszej chwili oślepia mnie jasne światło słońca. Przysłaniam ręką czoło, przesuwając się nieco przy ścianie w bok, by uniknąć ponownego pogorszenia ostrości wzroku. Potem rozglądam się naokoło.

U góry wita mnie widok rozentuzjasmowanego tłumu. Setki zgromadzonych tu osób zasiadają na wznoszących się spiralnie, kolistych ławach i pokrzykując, podnoszą wysoko pięści. Opuszczam wzrok niżej i pośrodku areny dostrzegam klatkę, a w niej przeszło dwadzieścia kłębiących się wilków. Ponadto wokół klatki, mniej więcej symetrycznie, rozstawione są pozostałe trzy wojowniczeki. Natomiast znaną mi już brunetkę mam po mojej lewej stronie.

Ciągle jestem dziwnie spokojna i nie czuję strachu o to, co zaraz się stanie. Przecież wiem, co mam zrobić. Przygotowywałam się do tego od szeregu miesięcy, więc jak miałabym nie być gotowa?

Z tą myślą wsłuchuję się w słowa mówcy, który wychwala pod niebiosa wielkość Boga Gragezona o postaci skrzydlatego mężczyzny z głową niedźwiedzia. Natomiast nas, czworo gladiatrix, przedstawia, jako jego cztery córki wojowniczk, które stoczą walkę z bezwzględną naturą o miłość swego ojca.

I naraz rozlegają się wielce uroczyste fanfary, gdzie dźwięk donośnych trąb miesza się z biciem w bębny i łagodną melodią płynącą z fletów. Następnie grupa mężczyzn podaje nam złote puchary ze zwierzęcą krwią. Mamy opróżnić je do końca, co niniejszym zgodnie czynimy.

Sama nie czuję obrzydzenia, a nawet niemal smaku, nie czuję prawie nic. Cała skoncentrowana jestem wyłącznie na nadchodzącej walce. Z kolei ci sami mężczyźni, którzy podali nam naczynia, teraz opuszczają arenę i z widowni ciągną za linę przywiązaną do klatki bez dna i ta się podnosi. Wilki zostają oswobodzone i powoli rozchodzą się na boki. A ja, podobnie jak inne wojowniczki, wydaję strzałę z kołczanu i z pietyzmem zakładam na cięciwę łuku.

To tylko zwierzęta – myślę sobie o moich przeciwnikach – przecież wiem, jak się z nimi obchodzić. Nie powinnam wykonywać żadnego gwałtownego ruchu, by ich nie sprowokować, a mam przed sobą całą sforę. Jeżeli więc ruszy na mnie przywódca, to pociągnie całą resztę watahy i wówczas będę bez szans.

Jednak ta wiedza najwidoczniej nie jest dana wszystkim obecnym tu gladiatrix, ponieważ jedna z nich wydobywa ze swej piersi wojownicze okrzyki i bez namysłu ostrzeliwuję wilki strzałami. I nie inaczej, czyni to na swą nieuchronną zgubę.

Rozchodzące się do tej pory stado zbija się razem, po czym jak jedna istota rusza pędem na osamotnioną kobietę. Nie mija chwila, a wilki zalewają ją masą niczym futrzana rzeka pełna zabójczych kłów i pazurów. Wojownicze krzyki kobiety przechodzą w dzikie wrzaski, a potem dźwięki absolutnej rozpacz.

Teraz nie mam już na co czekać, podobnie, jak pozostałe dwie wojowniczkę. Pierwsza z nas jest rozrywana na strzępy, a my posyłamy w watahę strzałę za strzałą. Aż naraz wilki zmieniają kierunek natarcia i każda z rozjuszonych bestii atakuje wybraną przez siebie ofiarę.

Sama zaczynam biec wzdłuż ściany areny, nieustannie strzelając. Im bliżej mnie gnają wilki, tym moje strzały są celniejsze i sieją większe spustoszenie. Celuję w wilcze głowy, szczególnie oczy. Aż w pewnym momencie odrzucam łuk i wyjmuję z pochew miecze.

Pierwszego przeciwnika szlachtuję w powietrzu, kiedy czynię szybki nawrót i razem skaczemy ku sobie. Tym sposobem mijam trzy inne wilki. Łapię kontakt z podłożem, okręcam się na pięcie i natychmiast atakuję. Białą bronią uderzam w futrzane grzbiety, nacinając je głęboko. Wśród żalostnego skamlania robię przewrotkę pomiędzy bestie i będąc w przykłęku na jedno kolano, poprawiam cięciami w gardła. Wstaję i zasłaniam się ostrzami przed kolejnym, szarżującym przeciwnikiem. Daję się przewrócić i aby nie upaść boleśni na plecy i głowę, wypuszczam broń, by zamortyzować upadek rękoma.

Leżę na boku, a wilk zajadłe atakuje moją twarz. Lecz jego zębata paszcza trafia w próżnię, a ja, po błyskawicznym uniku, łapię go ręką za grzywę i wbijam mu dwa palce w czarne oko. Zwierz skowyczy przeraźliwie i odskakuje do tyłu. Turlam się więc do porzuconego uprzednio łuku. Sięgam po strzałę z kołczanu na biodrach i z pozycji leżącej posyłam bestii strzałę prosto w rozwartą gardziel. Klękam i nakładam na cięciwę jeszcze jedno drzewce zakończone grotem, po czym bacznie wodzę wzrokiem po arenie w poszukiwaniu żywych przeciwników.

Dostrzegam, że znana mi postawna brunetka operuje młotem bojowym i właśnie miażdży czaszkę ostatniego z osaczających ją wilków. Z kolei po przeciwległej stronie jasnowłosa kobieta szarpie się na ziemi ze swoim wrogiem, który dotkliwie ją rani. Przymierzam dokładnie i wypuszczam strzałę, a ta przeszywa szyję bestii i pada ona w konwulsjach.

To koniec walki z dziką watahą. Ja oraz brunetka wychodzimy ze starcia jedynie z lekkimi zadrapaniami, podczas gdy jasnowłosa kobieta posiada na ciele liczne krwawe rany od kłów i pazurów. Natomiast czwarta z nas

zostaje zmasakrowana do tego stopnia, że nie sposób odróżnić poszczególnych części jej rozczłonkowanego ciała.

Powoli dochodzę do siebie po walce i dopiero teraz wlewa mi się w uszy entuzjastyczny szal widowni, która gromko wykrzykuje moje imię, Anrea, oraz zapewne brunetki – Okala. Ponadto ludzie ochoczo wskazują na nas palcami. Bardzo niewiele spogląda na poranioną, jasnowłosą kobietę. Z kolei o tej gladiatrix, która dopiero co poległa, nikt zdaje się już nie pamiętać, zupełnie jakby jej tu nigdy nie było. Dociera do mnie okrutna prawda, a mianowicie, że w świadomości widowni istnieją wyłącznie zwycięscy.

Tymczasem nie dane jest nam do końca ochłonąć, bo na arenę wkraczają słudzy uprzętające martwe zwierzęta oraz kawałki ludzkiego ciała. Natomiast orator zagrzewa publiczność do dalszego wiwatowania i zapowiada rychłe sprowadzenie tu trójki rozwścieczonych byków.

Na te słowa oddycham głębiej i intuicyjnie cofam się do kolistej ściany otaczającej piaszczysty plac. Nie wiem, ile przyjdzie stoczyć mi dzisiaj walk i nikt nie informował mnie o zasadach ani przeciwnikach, z jakimi będę musiała się mierzyć. Lecz domyślam się już, że każda kolejna potyczka będzie trudniejsza od poprzedniczki. Więc zapewne powinnam oszczędzać siły, tylko jak, skoro nieustannie muszę je zużywać, walcząc o życie.

Normując oddech, odprowadzam wzrokiem schodzącego z areny mówcę. I naraz po przeciwległej stronie otwiera się zakratowana brama, zza której z wolna wychodzą trzy olbrzymie, białe byki. Zastygam w bezruchu, kurczowo ściskając w rękach łuk. Jedna z rogatych bestii kieruje uwagę na kobietę z młotem bojowym, zaś pozostałe dwie rozpoczynają szturm wprost na mnie.

Nie mam czasu, aby myśleć, a tym bardziej celować. Błyskawicznie reaguję, wypuszczając strzałę za strzałą i staram się trafić w oko jednego z byków. Groty wbijają się w monstrualne łby tuż nad brwiami, ale nie są w stanie uszkodzić masywnej czaszki.

Po chwili zaczynam biec wzdłuż ściany, nieustannie posyłając strzały za plecy. A kiedy jeden z byków jest już tuż za mną, wówczas grot zagłębia

mu się w oczodole. W efekcie mój przeciwnik traci koordynację ruchów, płaczą mu się nogi i pada, ryjąc masywnym cielskiem w piachu.

To moja szansa. Gwałtownie się zatrzymuję i uskakuję z linii ataku drugiego byka. Podbiegam do przeciwnika leżącego na piachu, odrzucam łuk i dobywam miecze, po czym zamaszystymi ruchami rozcinam zwierzęce gardło.

Intuicyjnie odwracam się i tuż przed sobą widzę szarżującą bestię, która zrobiła nawrót. Aby się ratować, skaczę przez konające na piachu zwierzę stanowiące teraz naturalną osłonę na arenie. Zdrowy byk biegnie wokół krwawego cielska, by mnie dopaść, a po drodze racicami miażdży mój porzucony łuk. Więc pozostają mi w walce już tylko ostrza. Nie, jednak nie tylko one...

Odchodzę na wolną przestrzeń. Chowam do pochwy jeden z mieczy i zdejmuję swój ochronny napierśnik, pozostając jedynie w skąpych przepaskach na klatce piersiowej oraz biodrach. Będąc w takim stroju, posiadam teraz miecz w rękę do zadawania ciosów oraz materiał na wzór płachty, którym prowokacyjnie macham przed bykiem. Ten, zgodnie z oczekiwaniem, koncentruje swój atak na moim napierśniku. Ja sama raz za razem podrywam materiał ochronny z linii ataku i jednocześnie zadaję powierzchowne rany w łopatki lub grzbiet mojego wroga.

Aż w pewnym momencie dostrzegam w cielsku szarżującego przeciwnika posyłane w niego strzały. Zauważam, że to ranna jasnowłosa kobieta idzie mi w sukurs, raniąc dotkliwie byka, w którym wzbiera nieokiełznana wręcz furia. Ponadto rejestruję wzrokiem, że w pobliżu brunetka Okala pokonuje trzeciego buhaja, właśnie gruchocząc mu młotem bojowym czaszkę.

Zatem teraz czas na mnie. Na krótką chwilę dochodzą mnie ogłuszające wiwaty rozochoczonej krwawym widowiskiem publiczności. Lecz zaraz jestem już całą sobą wyłącznie w samej esencji walki. Ponownie zabieram sprzed szarżującego byka napierśnik i będąc z boku przeciwnika, przejeżdżam mieczem po jego potężnych żebrach. Ten znowu robi nawrót i sytuacja się powtarza.

Aż nagle rozwścieczony buhaj zmienia kierunek ataku i spogląda na szyjącą do niego z łuku jasnowłosą kobietę. To moment oddechu

podarowany mojej osobie, choć wiem, że jeżeli ma sojuszniczka zaraz zginie, to nie będę mogła liczyć na jej pomoc w kolejnej walce. Dlatego rzucam przed łeb byka napierśnik, a przeciwnik zawzięcie atakuje go rogami. Kiedy zaś rozrywa go na strzępy, kieruje uwagę wprost na mnie.

W odpowiedzi wyjmuję drugi miecz i w gotowości nisko uginam kolana. Tym razem całą uwagę koncentruję na skutecznym uniku. Wiem, że najmniejszy błąd będzie kosztował mnie życie. I raptem naszpikowane strzałami, poranione i ociekające krwią monstrum kończy kopać kopytem w piachu i rozpoczyna szaleńczą szarżę.

Od tej chwili odnoszę wrażenie, jakby wszystko wokół mnie działało się w zwolnionym tempie. Obserwuję rytmicznie uderzające o ziemię racice, kiwający się na potężnym karku łeb z zakrzywionymi rogami i cielsko, zakrwawione cielsko, którego masa jest po prostu olbrzymia.

I raptem stoję, jak zahipnotyzowana, dosłownie nie mogąc się ruszyć. Właśnie w tej chwili mój duch pragnie wyjść z mego ciała, jakby rozłożyć niebiańskie skrzydła i poszybować wysoko ponad arenę, by zaznać prawdziwej wolności.

Nie chcę tego i jak zwykle tego nie planuję, ale to wydaje się mocniejsze ode mnie. Jednak obecnie z tym walczę, czyniąc to ze wszystkich możliwych sił, bo wiem, że jeżeli to się stanie, mój duch nie będzie już miał powrotu do mego ciała, ono zginie.

Tak oto siłą woli po raz pierwszy nie daję wydrzeć z siebie duszy. Ale równocześnie nie jestem w stanie od razu wznowić walki i opuszczam nisko uzbrojone ramiona. Więc mimo wszystko czy to już konie? Otóż nie.

Raptem pomiędzy przednimi nogami rozpędzonego zwierzęcia znajduje się rzucony młot bojowy. Byk potyka się o niego i przewrócony ryje w piachu, zatrzymując się tuż przede mną. Z tą chwilą, jakby obudzona ze snu, unoszę miecze i dwa ostrza wbijam buhajowi w czerwone ślepia, po czym przez dłuższy czas zastygam w tej pozycji.

To koniec tego starcia. Zwycięstwo jest nasze. Spoglądam na uśmiechającą się do mnie z przekąsem brunetkę, a potem na ranną kobietę będącą w przykłęku, której imienia nawet nie znam. I dalej nie dane mi jest go poznać. Wokół słyszę niebywale chwalebne wiwaty i przeplatające się gardłowo wykrzykiwane imiona: „Anrea, Okala”!

Kiedy po dłuższym czasie fala wzbudzonego entuzjazmu nieco opada, na arenę wkraczają słudzy, którzy ściągają z placu boju zabite zwierzęta. Ponadto naszą ocalałą trójkę raczą kolejnymi pucharami z krwią.

Gaszę dojmujące pragnienie, z którego zdaję sobie sprawę, dopiero gdy widzę przed sobą czerwoną ciecz. Następnie chcę oddać opróżnione naczynie. Lecz sługa, który mi je wręczył, oznajmia, że właśnie wypiłam krew zabitych przez siebie wilków, a sam puchar mam rzucić w tłum wznoszącej ręce widowni.

Więc czynię to, czym znowu wzbudzam wielki aplauz. Ludzie na trybunach staczają ze sobą mały bój o podarowaną im rzecz, w przestrzeni zaś rozbrzmiewa już tylko jedno słowo: „Anrea, Anrea”!

Aż rozlega się nietypowy dźwięk trąb i wkrótce wszyscy na arenie milkną. Cisza jest absolutna i pośród niej moje oczy zostają przewiązane opaską. Jestem instruowana, że mam ją zdjąć dopiero na kolejny sygnał dźwiękowy. Ten pojawia się po dłuższym czasie, a wespół z nim przetaczają się przez widownię pomruki nieskrywanego podziwu oraz grozy.

Ściągam z twarzy przesłone na oczy i przez chwilę niemal mięknię mi kolana, ale tylko przez chwilę. Zaraz zbieram się w sobie i zaciskam dłonie na rękojeściach mieczy. Xeratoks... – mówię sobie w myślach, obserwując nową bestię i jestem gotowa ponownie pokonać potwora.

Ten jest nieco większy od zgładzonego przeze mnie w Koloseum i posiada szkarłatną łuskę. Ale i ja nie jestem już tamtą zagubioną dziewczyną, kiedy mierzyłam się z podobnym monstrum po raz pierwszy. Wtedy czyniłam zachowawcze kroki do tyłu. Teraz natomiast stąпам odważnie naprzód i kiwam porozumiewawczo głową do brunetki Okali z młotem bojowym.

Ona rozumie i zacieśniamy szyk wokół xeratoksa. Musimy to uczynić i same zaatakować. Ponieważ stwór poczuł już krew rannej, jasnowłosej kobiety z łukiem i ją, jako pierwszą, będzie chciał rozszarpać na strzępy, by pożreć.

Sytuacja nagli, więc zrywam się do biegu i uderzam mieczami w łuskowaty grzbiet zwróconego do mnie tyłem xeratoksa. Zaskoczona orientuję się, że mój oręż odbija się od twardej łuski. Najwyraźniej ta, w

kolorze szkarłatu, jest inna, praktycznie nie do przebiccia przez zwykłą stal. Jednak tym manewrem ściągam już na siebie uwagę potwora, który jednocześnie wykonuje ku mnie gwałtowne machnięcie ogonem.

Otrzymuję potężne uderzenie w boczną część uda, po którym padam jak ścięta na piasek. Moja noga zostaje niemal złamana, a z bólu pragnę się za nią chwycić. Lecz muszę się szybko cofać i to na siedząco, bo monstrum strzela we mnie, jak z bicia niezwykle długim, czerwonym jęzorem.

Z trudem czynię uniki, patrząc na wypuszczane w potwora strzały, odbijające się od jego łuskowatej głowy. Aż naraz pokryty wyrostkami łeb xeratoksa zostaje uderzony młotem bojowym. W efekcie bestia wykonuje machnięcie masywnym ogonem wprost w Okalę. Ona także zostaje uderzona w udo i złożona plackiem na piasek. Jednak równocześnie jest to szansa podarowana właśnie dla mnie.

Podrywam się gwałtownie na równe nogi i biegnę wprost na monstrum z Otchłani. Mój przeciwnik przekrzywia ku mnie łeb i z zawrotną prędkością wystrzeliwuje swój jęzor, który wielokrotnie nawija się na mój wysunięty miecz, niczym makaron na widelcu. A wtedy czynię krok do tyłu, po czym drugim mieczem zamaszystym ruchem odcinam naprężony język.

Oszołomiony potwór rozdziawia szeroko pełną zębów paszczę, wydając z siebie potępińczy ryk. Wówczas rzucam się w wyskoku ze zwróconymi przed sobą mieczami. Szybuję w powietrzu, aż oba ostrza zagłębiają się daleko w gardzieli potwora, umiejscawiając w jego miękkim podniebieniu.

Dopiero wtedy puszczam oręż i koziółkuję na bok. Bezbronna zastygam w przykłęku i obserwuję w napięciu, jak bestia rzuca się niczym oszalała w konwulsjach, co raz wymiotując krwią. Ale dwa wbite do wnętrza jej gardła miecze tkwią tam nieustannie.

Niebawem xeratoks pada i już tylko rzezi, po czym w wielkiej kałuży ciemno-czerwonej krwi oddaje swe ostatnie chrapliwe tchnienie. Publiczność na trybunach szaleje, a ja, zmęczona i obolała spoglądam tępo w upstrzony krwią piach areny. I czynię to tak długo, aż padają złowrogie słowa oratora.

W pierwszym momencie naprawdę nie mogę w nie uwierzyć. Ale gdy podnoszę do góry oczy, widzę, że to prawda. Mój wzrok spotyka się ze śmiertelnie poważnym spojrzeniem brunetki Okali i rannej jasnowłosej

kobiety. One także to słyszały, słowa mówcy. Okazuje się, że nie miałyśmy tu walczyć wyłącznie z dzikimi zwierzętami oraz xeratoksem. O laury zwycięstwa mamy stoczyć ostateczny bój same ze sobą.

Nie chcę tego, tak bardzo nie chcę, jak niemal nigdy i niczego na świecie. Lecz jeżeli nie podejmę walki, wiem, co się wydarzy, ostrzegano mnie. Zaniechanie konfrontacji na świętej arenie to najwyższa obraza Bogów i natychmiastowe ukrzyżowanie, przekleństwo i wieczna pogarda.

Zatem staję do walki i bez wiary obracam w dłoniach oddane mi ociekające krwią miecze. Spoglądam na czarnowłosą wojowniczkę, która z trudem podźwiga się do pionu, podpierając mocno młotem bojowym. I zaraz już wiem. Spotyka ją coś, przed czym sama cudem ocalałam – ma ona złamaną nogę przez xeratoksa.

Z kolei drugiej, jasnowłosej kobiecie zabrano łuk i wręczono włócznię. Ta postać z wolna podchodzi do mnie. A kiedy stajemy twarzą w twarz, klęka i pochyla przede mną głowę. Rozumiem. Uznaje mnie za zwyciężczynię i pragnie przyjąć z moich rąk godną śmierć.

Na arenie zapada martwa cisza, a ja unoszę wysoko miecz. Ten zestyga w powietrzu i żadna siła nie jest w stanie go ruszyć. Aż tłumię w sobie wszystkie emocje. W tej chwili jestem jedynie gladiatrix, po prostu wojowniczką areny. Poza tym mnie nie ma, nie istnieję!

Gwałtownie opuszczam ostrze, zatapiając srebrną klingę w sercu rannej kobiety. Obdarza mnie ona ostatnim, tęsknym spojrzeniem za życiem i w swoje ramiona bierze ją śmierć. Wszak na arenie nikt nie celebruje tej śmierci. Rozlegają się wyłącznie głębokie westchnięcia, a wszyscy oczekują na ostatni pojedynek.

Brunetka z młotem bojowy stoi z trudem na nogach i patrzy na mnie bez wiary. Jest praktycznie unieruchomiona, co daje mi wielką przewagę, ale ta kobieta nie zamierza się poddać. Przekonuję się o tym, gdy podchodzę bliżej, a wojowniczka czyni ku mnie gwałtowny wymach bronią. Obszerny do tego stopnia, że ciężka głowica młota ściąga Okalę do przodu i kobieta pada na piasek. Z pewnymi kłopotami wstaje i znowu jest w gotowości.

Ja sama, po uprzednim uniku, ostrożnie obchodzę ją naokoło na ugiętych nogach i z mieczami wysuniętymi przed siebie. Wspominam jej ostatnie przyjemności, gdy oddawała się upojeniu winem i szybkiej miłości z

przygodnym kochankiem. A teraz przyjdzie jej tu zakończyć żywot, bo wiem, iż ją pokonam, czuję to całą sobą.

Jednakże nie spieszy mi się odbierać jej życia, wręcz pragnę, aby mogła jeszcze zaczerpnąć powietrza do płuc, poczuć ciepło słońca na skórze i spojrzeć na otaczający nas wielobarwny tłum. Te ostatnie chwile podarowuję właśnie jej, czyniąc niegroźne wypadki mieczami, których nie musi nawet parować. Aż zniecierpliwione okrzyki publiczności podpowiadają mi, że nie mogę tej walki przeciągać w nieskończoność. Skoro tak, niech koniec nadejdzie bez bólu.

Okala zbiera się w sobie i raz jeszcze próbuje dosięgnąć mnie głowicą młota bojowego. Wtedy nurkują pod nim i z przykłęku głęboko zatapiam ostrze w trzewiach potężnej gladiatrix. Jej ciało tężeje, a ja, nie wyjmując pierwszego ostrza, drugim natychmiast poprawiam cięciem przez gardło. I naraz obficie zalewa mnie ciepła krew. Zaś postać przede mną pada na kolana, po czym jej oczy gasną i przewraca się martwa na bok.

Wstaję w ogłuszającym aplauzie, choć nie unoszę rąk w geście triumfu. Tak, jestem nią, zwyciężczynią, już to do mnie dociera. Ale nie czuję się nią, wcale. Nagle, gdy jest już po wszystkim, zdaję sobie sprawę, że przeżyłam. Po prostu przeżyłam, odbierając życie. To wszystko i tylko tyle. I wieniec laurowy, który orator właśnie zakłada mi na zakrwawione skronie, nie sprawia, że doświadczam większego splendoru.

Czy to, co się tutaj wydarzyło, walka na śmierć i życie, czy to naprawdę ucieszyło tutejszych Bogów Pendorum na święto jednego z nich? Jeżeli tak, cóż to za okrutna kraina i jej bezwzględni Bogowie? Nie wiem tego, nie znam ich, ale to z nimi najchętniej skrzyżowałabym oręż i zmierzyła się na arenie. Po to, aby pościć tych, którzy musieli tu dla nich zginąć.



V. POWRÓT

W drodze powrotnej w kwestii moich odczuć nic się nie zmienia, nie przeżywam wzniosłe zwycięstwa w turnieju. Coś zostaje mi podarowane – przeżycie. Ale także coś bezpowrotnie tracę – niewinność, ponieważ zmierzając pomiędzy mury szkoły Artusa, czynię to, mając ludzką krew na rękach. Choć w parze z brakiem dumy zauważam także nieobecność wyrzutów sumienia. Nie czuję właściwie niczego. Jestem niczym przedłużenie mego miecza i łuku. Czy zatem w istocie staję się prawdziwą gladiatrix? Nieczułą istotą stworzoną, by w widowiskowy sposób zabijać ku uciechu gawiedzi i bezwzględnych Bogów? Czy mam się z tym po prostu pogodzić, bo taki widocznie przeznaczono mi los? Co raz zadaję sobie to pytanie, ale odpowiedź wciąż nie nadchodzi.

Tymczasem po kilku dniach, cały czas zamknięta w klatce, w samo południe powracam na znany mi ćwiczebny plac szkoły gladiatorów Artusa. To dziwne uczucie, gdy opuszczam swoje miejsce na wozie, a wszyscy, których stąd znam, zbierają się wokół mnie i spoglądają, zupełnie jakby oglądali ducha.

Pierwszy podchodzi do mnie Aves. Kładzie mi dłonie na ramionach i pochyla się, dotykając swoim czołem mojego czoła. To znak szacunku. Zaraz potem rozwartą z wrażenia szczękę domyka Gabu i oczywiście nie omieszka wypowiedzieć kilku niefrasobliwych słów:

– Jest pora posiłku. Zatem przygotuję kolejną miskę na strawę, bo nikt nie sądził, że wrócisz...

– „Nie czekaliście na mnie”? – czynię gesty dłońmi i uśmiecham się lekko zakłopotana. Głos zabiera Ravel na przemian z Virią:

– Ćwiczyłaś tylko pół roku... – mówi mężczyzna.

– Właśnie... – wtóruje kobieta.

– Stado wściekłych wilków?

- Rozjuszony byki?
- Kolejny xeratoks?
- I...

– Słynna Okala zwana Czarna Moc – kończy Pajos, który chyba po raz pierwszy nie patrzy na mnie z pogardą. – Znałem ją, Okalę, i to nie tylko od strony posuwania jej przez kraty na turniejach. Choć to było akurat najlepsze, słynęła z tego... – Spluwa w bok. – Była naprawdę mocna i obstawiano, że jeżeli któraś z gladiatrix przeżyje krwawe święto Gragezona, będzie to właśnie ona... – Moje spojrzenie prześlizguje się z wypowiadającego się Pajosa na Kalillę oraz Exona, którzy skinieniami głowy potwierdzają słowa nadzorca. Ten zaś, już z dezaprobatą w głosie, kontynuuje: – Twoja sława cię wyprzedza, dzika piegusko, dlatego nasz pan, Artus, z okazji twojego sukcesu śle ci podarki. – Nadzorca klaszcze w dłonie i jego pomocnicy przynoszą nowe przepaski na piersi oraz biodra. – Od teraz masz prawo codziennie zmieniać ubranie. Możesz także zażyczyć sobie jeden strój w dowolnym kolorze ze zdobieniami, tylko bez przesady... Ponadto zaczniesz się uczyć jazdy konnej. Winszuję... – Ponowne splunięcie tym razem nad wyraz siarczyste.

– „Dziękuję” – składam razem dłonie, a wielu z obecnych tu wojowników podchodzi do mnie, aby z uśmiechami na ustach poklepać krzepiąco po plecach. Co raz też słyszę, że przyczyniam się do sławy ich szkoły, co podnosi rangę ich samych.

A już niebawem zasiadam przy ławie z jedzeniem, ale obecnie przy nowej, gdzie mają prawo zasiadać zasłużeni wojownicy i otrzymują tu lepsze pożywienie.

Sycąc się po raz pierwszy od wielu miesięcy kawałkiem pieczonego mięsa, chyba z indyka, zagryzam pajdą jęczmiennego chleba i wsłuchuję w prowadzone przy ławie rozmowy. Ponoć wkrótce rozpocznie się święto Boga odwagi i walki Arezara, skrzydlatego człowieka z głową psa i z tej okazji w stolicy Terraticos wielka gala gladiatorów i najbardziej popularne w cesarstwie walki par mieszanych. Szkoła Artusa ma prawo wystawić aż cztery pary zawodników. Słyszę, że zapadła już decyzja, iż w turnieju wezmą udział Aves z Oksiną oraz Kalilla z Exonem. Natomiast wśród

kolejnych dwóch par jest typowana Viria z Ravelem oraz obecnie, po moim zwycięstwie, także ja sama z albinosem Larisem.

Myślę o nadchodzącej, prawdopodobnej konfrontacji z moim udziałem i bynajmniej nie wzbudza to we mnie entuzjazmu. Lecz z ulgą przyjmuję choć jedno. Mianowicie na igrzyskach wyłania się zwycięską szkołę, a nie koniecznie daną parę. Niniejszym oznacza to, że znajomi z jednej szkoły nie potykają się ze sobą na śmierć i życie, a tylko do zadania rany decydującej o eliminacji przeciwnika.

Następnie rozmowy przy ławie przechodzą na odrębne tematy. Słucham między innymi o tym, że cesarzowa jest w swojej pierwszej ciąży. Ponadto o konfliktach i wojnach prowadzonych na obszarze kontynentu Pendorum. Cesarstwo Terraticos, aby odzyskać utracone niedawno ziemie, rozpoczyna walkę z królestwem Saladior. Z kolei chanat Precis najeżdża nieoczekiwanie księstwo Razzinal. A baczna uwaga skupiona jest także na konfederacji Favers, która również szykuje się ponoć do wojny.

Dla mnie samej te nazwy i opisywane krainy nic konkretnego nie znaczą. Są to tylko słowa, które dają mi pewne wyobrażenia. W umyśle wizualizuję sobie pokryte łąkami i łanami zbóż bogate, leżące na wschodzie cesarstwo Terraticos i centralne królestwo Saladior. Oczyma wyobraźni widzę pół pustynny, południowy chanat Precis, na zachodzie zaś lesistą konfederację Favers, czy północne, zaśnieżone księstwo Razzinal.

Choć moją największą uwagę przykuwa wspomnienie przy ławie o Allearach, rdzennym i dumnym ludzie, który niegdyś zamieszkiwał całe Pendorum. Kontynent jednak doczekał się licznych najazdów z zewnątrz. W efekcie powstało na nim pięć walczących ze sobą władztwa obcych przybyszy. Natomiast wspomniani Allearzy zostali zepchnięci w niedostępną, górzystą i zalesioną, północno-wschodnią część kontynentu. Lecz nigdy nie zaprzestali oni walki z najeźdźcami i właśnie słyszę, że podobno zbierają wielką armię pod wodzą swego wybrańca.

Pod koniec posiłku temat schodzi na przenikanie zbrojnych band z Otchłani na południowe, nadmorskie rubieże cesarstwa. Wtedy nakładam sobie do miski garść smażonych warzyw i odchodzę z nią do ławy, gdzie zasiada Gabu w towarzystwie służby i nowo zakupionych kandydatów na gladiatorów.

Gdy widzę zaś, że nikt z pilnujących nie spogląda w moją stronę, przy nowej ławie dzielę się lepszą strawą z innymi. Nie, nie czynię tego z dobroci serca, a obowiązku. Taką naukę wynoszę z rodzinnego domu, że jeżeli przytrafia mi się coś lepszego, powinnam się tym podzielić z tymi, dla których los nie okazał się tak łaskawy. W ten sposób przyczyniam się do równowagi i w przyszłości, jeśli sama znajdę się w potrzebie, będę miała prawo liczyć na wyciągniętą ku mnie pomocną dłoń.

Z tych samych względów wykonuję gesty dłońmi oznaczające, że jestem skłonna pomóc w nauce walki nowym reprezentantom szkoły Artusa. Niestety jak zwykle mój otyły znajomy Gabu błędnie odczytuje moje intencje i wyjątkowo szybko wpycha sobie do ust dodatkową porcję podarowanych mu smażonych warzyw.

– „Nie, nie chodziło mi o to, że masz się z innymi podzielić strawą” – wykonuję wręcz rozpaczliwe gesty dłońmi, wskazując kucharzowi na trzech nowych chłopców i dziewczynę. Ale i tak nie mam złudzeń, że zostanę prawidłowo zrozumiana, więc odpuszczam.

Co prawda pewnie potrafiłabym już zapisać moją myśl na papierze, ale ten jest drogi, podobnie jak przybory do pisania. Jednak od czego jest wszędobylski piasek – myślę raptem ożywiona.

Chwytam więc łyżkę i kreślę nią na piaszczystym podłożu odpowiednie znaki, a wtedy nalane oblicze tłuściocha nagle promienieje. Już spokojnie przełyka podarowane mu warzywa, które zresztą sam przyrządził i na początek zwraca moją uwagę na liczne błędy w pisowni. Niemniej tym razem właściwie odczytuje moją myśl i przekazuje ją ustnie siedzącym koło nas młodym kandydatom na wojowników.

Ci spoglądają na mnie z politowaniem. Lecz jedynie do czasu, gdy Gabu pokazuje im wytatuowaną czaszkę na moim udzie i dodaje, że zaraz pojawią się tam kolejne malunki oznaczające zabitych wrogów. Od tego momentu młode osoby zmieniają swoje nastawienie i patrzą na mnie wręcz z uwielbieniem, słysząc dodatkowo, że pokonałam dwa xeratoksy oraz właśnie zostałam zwyciężczynią turnieju.

Po skończonym posiłku i chwili odpoczynku pragnę zobaczyć, na co stać nowych przybyszy do szkoły Artusa. Chwytam przytępiony oręż:

włócznie oraz miecze i próbujemy na piaszczystym placu symulowanej walki. Przy czym całej czwórce pozwalam atakować mnie jednocześnie.

Szybko się orientuję, że bez trudu poradziłabym sobie nawet z dwukrotnością przeciwników o takich zdolnościach. Ale uderza mnie inna rzecz. Otóż uświadamiam sobie, że trafiając tutaj, do szkoły wojowników, również nie miałam nic wspólnego z umiejętnościami gladiatora poza sporadycznym strzelaniem z łuku. Jednak już na początku swojej bytności w tym miejscu przejawiałam o wiele większy spryt, talent oraz zaangażowanie do walki.

Czyżby więc bycie wojowniczką areny rzeczywiście mogło stanowić moje prawdziwe przeznaczenie? I czy podążając tą drogą, mogę w przyszłości stać się godną swego mitycznego imienia, Anrea? Przyznaję przed sobą, że przyzwyczajam się już do nazywania mnie w ten sposób. I to do tego stopnia, że moje dawne imię zostaje już przede mną niemal zapomniane.

Aż naraz, podczas treningu z kandydatami na gladiatorów, ktoś podcina mi nogi od tyłu i padam boleśnie na piasek, który zaraz wypluwam z ust. Nie wypuszczam z dłoni przytępionych mieczy, tylko spoglądam z ukosa i widzę sprawczynię tego zajścia, Oksinę. Ta uśmiecha się drwiąco i lekceważąco rozkłada ręce, gdzie w jednej z dłoni dzierży włócznie.

Jednakże ja nie czuję gniewu i nie zamierzam dać się sprowokować. Wstaję i ustawiam się w takiej pozycji do dalszego treningu, aby mieć partnerkę Avesa na oku. Ta, wyraźnie zawiedziona, odkłada swoją broń na miejsce, gdzie trzymany jest nieprzytępiony oręż. Czyżby więc była skłonna tak dalece się posunąć, sprokurować między nami walkę i mnie zabić? Myślę, że to możliwe. W końcu obie stąpamy po piachu na wzór tego z areny, gdzie Oksina nie raz już odebrała komuś życie. Dlaczego więc miałyby mieć skrupuły przed zgładzeniem mnie samej, skoro nie darzy mnie sympatią? A może nawet więcej, myśli, że jej zagrażam? Czy rzeczywiście jestem jej rywalką?

Patrzę na miejsce, gdzie samotnie ćwiczy w pocie czoła Aves, podobnie jak ja, używający dwóch mieczy. I naraz dostrzegam, że mimo wielkiego zaangażowania w trening, co raz zerka w moim kierunku. Kiedy zaś napotyka mój wzrok, uśmiecha się znacząco. Zapewne Oksina także

dostrzega jego niedwuznaczne gesty, a skoro tak, usprawiedliwiam jej zachowanie. Co nie zmienia faktu, że muszę bacznie na nią uważać.

Na nią i na Pajosa, rzecz jasna. Choć po moim powrocie nadzorca po raz pierwszy zdawał się nie gardzić moją osobą, to obecnie i jego wzrok coraz częściej odczuwam na sobie. A znam ten rodzaj spojrzenia i wiem, że w przyszłości nie wyniknie z tego nic dobrego.

Na szczęście jestem tu jeszcze w gronie licznych, wspierających mnie osób. Odczuwam bowiem, że wiele postaci naprawdę cieszy mój powrót. Wśród nich mogę wymienić przede wszystkim poczciwego Gabu, ale też niewątpliwie Virię i Ravela. Choć odnoszę wrażenie, że po moim zwycięstwie w turnieju, również Kalilla oraz Exon zaczęli mnie zauważać. Cieszy mnie to, ponieważ sędzę, że to naprawdę istotne, aby mieć po swojej stronie sprzymierzeńców, skoro wokół czają się skryci i jawni wrogowie.

Zapada już zmierzch i na ćwiczebnym placu pozostaję sama jedynie ze swoim zmęczeniem. Jak zwykle przez cały dzień się nie oszczędzałam. Ale moje ciało zaczyna mi już odmawiać posłuszeństwa i nawet z ulgą oczekuję dźwięku trąbki obwieszczającego definitywny koniec treningu. Znany mi odgłos jednak ciągle nie nadchodzi.

Aby odsapnąć, staję koło drzwi do baraków i opieram dłonie o pobliską ścianę. Gdy naraz odczuwam koło siebie czyjąś obecność. Zastygam w gotowości i z tą chwilą ktoś mocno przylega do mnie od tyłu. Reaguję błyskawicznie, stosując jeden z chwytów Larisa – uderzam za siebie łokciem i poprawiam piętą w miejsce, gdzie spodziewam się dosięgnąć krocze napastnika. Następnie gwałtownie się wyślizguję z uchwytu, odwracam w gotowości i dostrzegam zwijającego się z bólu Pajosa. Nic nie mówi, tylko ściska równocześnie swe oko i krocze. Ja zaś nie czekam na jego słowa czy inną reakcję, a jedynie otwieram drzwi do baraków, po czym biegnę co sił do swej celi.

Wpadam do niej na pełnym biegu i bezwiednie wtulam się w ciało opierającego się o ścianę albinosa. Orientuję się, że traktuję go, niczym oparcie w trudnych chwilach, kogoś, jak ojca. Zmieszana odsuwam się na pewien dystans. Staram się już nie myśleć o dopiero co zaistniałym incydencie na ćwiczebnym placu i zamiast tego koncentruję uwagę na

słowach podziękowania dla Larisa. Spotykam go bowiem twarzą w twarz po raz pierwszy od mego powrotu.

– „Wróciłam i dokonałam tego także dzięki tobie, dziękuję” – gestykuluję. Nie wiem, czy albinos prawidłowo odczytuje moje przesłanie, nie wyraża bowiem żadnych emocji. Nie obdarza mnie nawet najmniejszym uśmiechem. A zaraz z pewnym smutkiem w głosie oświadcza:

– Wyznaczono nas jako parę do walki w Koloseum na święto Arezara, to już postanowione. I mam silne przeczucie, że już stamtąd nie powrócę. – Zawiesza na moment głos. Ja natomiast kręcę głową, aby zaprzeczyć jego złowrogim słowom, a on z niezmienną powagą kontynuuje: – Pragnę ci przekazać pozostałe sekrety walki za pomocą własnego ciała. Przyjmij ten dar, aby wraz z moim odejściem ta wiedza nie zginęła. – Kłaniam się w podzięce i składam dłonie na zgodę, a Laris dodaje: – Wiem, iż jesteś zmęczona, ale odpoczniesz we śnie, a teraz ćwiczmy. Do turnieju nie pozostało już wiele czasu. – Albinos przyjmuje pozycję bojową. W odpowiedzi biorę głęboki oddech, aby wraz z nabraniem tchu zaczerpnąć nowych sił i czynię lustrzaną pozycję w odniesieniu do mojego partnera. Ofiarowuje mi on prawdziwy dar, który może nie raz mnie uratować, jak choćby przed niespełną chwilą przed samym Pajosem. Więc jak mogłabym z takiej szansy nie skorzystać? Choć słowa Larisa o przepowiedzianej sobie śmierci mnie niepokoją. Nie chcę jego odejścia i to bardzo. Nie chcę tego zarówno dla niego samego, jak i dla siebie. Bowiem zgodnie z wolą Bogini Harremid zostanę wówczas oddana innemu wojownikowi. Dlatego tym bardziej muszę się skoncentrować na sztukach walki, aby przełamać przepowiedziane, złowrogie fatum. Jestem silna, coraz silniejsza i głęboko wierzę, że mogę tego dokonać.

W końcu zbliża się północ i po dodatkowym treningu padam wycieńczona na swoje posłanie. Sam moment, kiedy mój duch z jawy przechodzi w sen, jest dla mnie zawsze niezwykły i skutkuje tym, że często tracę nad nim kontrolę. W konsekwencji moje oczy rozświetla jasna poświata i opuszczam swe ciało, aby snuć się po zatopionych w mroku barakach. Z reguły szybko powracam z takich wędrówek i zapadam w sen. Jednak tym razem mój duch zostaje zwabiony i zatrzymany przez płonąca pochodnię w ręku Pajosa. Widzę, że nadzoraca przezywany Pajakiem jest zły.

Dochodzi on ciężkim krokiem do celi, gdzie samotnie zamknięta jest nowo zakupiona dziewczyna, którą dzisiaj poznałam, niewolnica Adora. Jest ona niska i dość pulchna z pyzată twarzą oraz zielonymi oczyma, zdradzającymi pewną inteligencję. Włosy ma rudawe, długie, lekko kręcone i co charakterystyczne często unosi górną wargę, która teraz nienaturalnie jej drga. Po chwili wiem już dlaczego – to objaw dojmującego niepokoju.

Pajos umieszcza w stojaku na korytarzu płonąca pochodnię i przesuwa przez kraty potężne dłonie. Natomiast Adora usłużnie zdejmuje z siebie górną przepaskę, po czym daje nadzorcy ścisnąć swe obfite piersi. Lecz inaczej, jak to się miało z brunetką Okalą, ta dziewczyna nie oddaje się temu mężczyźnie z przyjemnością. Wręcz przeciwnie, widać w niej aż poczucie wstrętu. Ale to bynajmniej nie zniechęca Pajosa. Otwiera on kluczem drzwi do celi i przylega silnie masywnym ciałem do dziewczyny.

Nie chcę oglądać tego, co będzie dalej. Dlatego mój duch pospiesznie ulatuje z powrotem do mego leżącego ciała, a odprowadza go cichy płacz, potem zaś pełne bólu miarowe stęknienia Adory.

Poznaję tę niepozorną dziewczynę w świetle dnia, a w mroku nocy zaznajamiam się z przekleństwem, jakie niesie jej to miejsce oraz status niewolnicy. I nie mogę przejść koło tego obojętnie. Zakwita we mnie gniew wobec Pajosa i nie inaczej, będę go w sobie pielęgnować, aby w przyszłości wydał swój owoc w postaci stosownej kary. Z tą myślą zamykam powieki i zaciskając dłonie w pięści, zaznaję krótkiego, ożywczego snu.

Z kolei we śnie znowu jestem w mojej rodzinnej wiosce. Tak, to ten sam dzień. Jest chłodno i dżdżysto, a w powietrzu już daje się wyczuć coś złowrogiego. To coś niebawem się ziszcza w postaci nawałnicy ubranych na czarno-biało jeźdźców zakutych w stalowe pancerze. Niektórzy z nich dzierżą łopoczące na wietrze sztandary, na których widnieje, jakby księżyc opasający słońce z pięcioma promieniami. Obcy najeźdźcy nie żądają darów, okupu czy ludzi, tylko niczym w amoku zabijają, jakby sycąc się samym przelewem krwi. A kiedy niemal wszyscy mieszkańcy wioski zostają zabici, wtedy maczają swoje chorągwie w krwi ofiar i można by pomyśleć, że tym samym odprawiają jakiś rytuał. Jedną z takich chorągwi dotyka także i mnie, gdy po uderzeniu w głowę leżę w błocie zalana krwią moich rodziców.

Wówczas, w tamtej rzeczywistości, udaje mi się ocknąć i jestem taka bezradna, po czym zostaję związaną i zniewolona. Lecz obecnie, we śnie, gdy podczas najazdu jestem w wiosce, rzucając się na oprawcę moich najbliższych – widziałam, jak ich zabijał, przeszywając mieczem. Próbuję podjąć walkę z mężczyzną ze stalowymi oczyma i tatuażem na czole, czyniąc to ze wszystkich sił, a czuję, że mam ich sporo. Ale mój trud jest daremny. Tajemniczy wojownik, jak zwykle w moim śnie, umiejętnymi ciosami odcina mi mieczem obie dłonie. Ja zaś patrzę bezradnie, jak me kończyny spadają prosto w błoto. Potem z kolei, ze wzgardliwym uśmiechem na ustach, okrutny mężczyzna zawiązuje moje krwawe kikuty chorągwiemi, aż te nasycają się intensywną czerwienią.

Gwałtownie otwieram oczy. Już nie śpię, a więc właśnie nastaje świt. Podrywam się na równe nogi, zupełnie jakbym zaraz ponownie miała walczyć. Czuję w sobie tę presję, jest we mnie każdej nocy, co następnie przekłada się na pełen determinacji dzień. Tak, wyłącznie, czego pragnę, to ćwiczyć walkę, aby być lepszą wojowniczką i móc się kiedyś zemścić, wreszcie zwyciężyć. Muszę się stać wybitną gladiatrix, a wtedy pokonam posępnego wojownika, mordercę moich rodziców. Pragnę, aby dane mi było tego dokonać przynajmniej we śnie.



VI. IGRZYSKA KU CZCI AREZARA

Nadchodzi czas kolejnej próby, walki o przetrwanie, sławę, laury i być może nową, życiową naukę. Wyruszam na turniej do wielkiego i sławetnego Koloseum w stolicy królestwa Terraticos.

Tym razem droga nie jest daleka, a towarzyszy mi grupa wojowników ze szkoły Artusa. Co znamienne pod znaczącą eskortą strażników nie jesteśmy transportowani w klatkach, a kroczymy pieszo parami, w jakich będziemy walczyć.

I tak z przodu idą dumnie Kalilla oraz Exon. Tuż za nimi Oksina z Avesem, a nieco dalej ja sama z Larisem. Natomiast pochód wojowników zamyka Viria oraz Ravel, którzy jako jedyni prawie cały czas rozmawiają, przekomarzają się i rzucają w siebie nawzajem zerwanymi przy drodze kwiatami.

Tak, mamy już początek lata. Jest ono spokojne, ciepłe i suche czyli dokładnie takie, jakiego podobno można się spodziewać w tej części kontynentu Pendorum. A żeby nadal takie było, sprzyjające ludziom i ich uprawom, potrzebna jest łaska Bogów. Z kolei najskuteczniejszym sposobem na jej pozyskanie jest ponoć uraczyć boskie istoty widowiskową walką na śmierć i życie mężczyzn oraz kobiet.

Przyzwyczajam się już do myśli, że w tej części świata ludzie wyjątkowo hołubią życiu stawianemu na szali i odbieranemu w spektakularny sposób. Fascynuje to widownię i daje prawdziwe, pożądane przez nią emocje, kiedy w grę wchodzi jedynie najwyższa stawka – przetrwanie. Ludzie na trybunach często łączą niejako swój los z losami bohaterów na arenie, obstawiając walki i czynią to nieraz na ogromne kwoty. W ten sposób dorabiają się dzięki śmierci jednych gladiatorów fortuny, a za sprawą zwycięstw innym przegrywają całe majątki.

Jednak dla mnie, niewolnicy, podobnie jak moich kompanów, złote monety nic nie znaczą, zupełnie jakby nie istniały. My nigdy nie oglądamy ich na oczy. Walczymy wyłącznie o przetrwanie, a niektórzy z nas być może także o jakże ulotną i zwodniczą chwałę. I choć mnie samej nie ma wśród tych ostatnich to być może wyłącznie dlatego, że prawdziwej sławy jeszcze nie uświadczyłam. Ale słyszałam już opowieści o gladiatorach, zwycięzcach wielu turniejów, wielbionych za swe czyny niczym prawdziwi Bogowie. Czy mogłoby to urzec również i mnie? Nie wiem, niemniej coraz bardziej wierzę w swoje umiejętności i być może dane mi się będzie o tym w przyszłości przekonać.

Tymczasem przekraczamy otwartą bramę miasta, której rzeźbione obramowania niegdyś już pokonywałam. Wtedy samotna i pogardzana, niemal złamana przez los. Obecnie natomiast krocę pośród dwóch szpalerów wiwatujących na moją cześć mieszkańców. Ubrani są w długie, białe oraz kremowe tuniki i rzucają nam pod nogi kwiaty, a także gałązki oliwne. Niektórzy zaś zraszają czerwoną krwią zwierząt. Co raz też wyławiam z ogólnej wrzawy znane mi imiona. Najczęściej słyszę „Aves”, ale często pada również gromkie zawołanie Kalilla, Exon, Oksina, oraz o dziwo, Anrea.

Wtem przebiega przede mną ktoś z maską na twarzy imitującą xeratoksa i słyszę okrzyki: „pogromczyni, pogromczyni potworów”! „Zabójczyni, zabójczyni demonów”! Kilka osób z tłumu próbuje mnie dotknąć, ale są bezceremonialnie odganiane przez maszerujących z nami strażników.

A już niebawem gościmy w piwnicach wielkiego Koloseum. Tutaj, znanym mi już zwyczajem, zostajemy w parach zamknięci w osobnych celach. Jednak nie dane nam będzie spokojnie czekać do świtu. Święto Arezara trwa bowiem kilka dni, a rozpoczyna się już dziś, podobnie jak pierwsze walki w samo południe, do którego pozostaje już naprawdę niewiele czasu.

Widzę, że Laris siada za skrzyżowanymi nogami i zatapia się w wewnętrznej koncentracji. Identycznie, po drugiej stronie w bliźniaczej celi, zachowują się Kalilla oraz Exon. Lecz ja sama nie jestem w stanie spokojnie spoczywać na miejscu. Co raz przemierzam małą przestrzeń zamkniętego pomieszczenia, zatrzymując się przy kratkach, które silnie obejmuję dłońmi. Rękoma, które tak długo i wytrwale ćwiczyłam do walki.

Obecnie zaś przyjdzie mi się zmierzyć z tymi, którzy trenowali znacznie dłużej i posiadają o wiele większe doświadczenie. Czy im podołam? Muszę...

Z naszej szkoły pierwsi w szranki stają Aves z Oksiną. Po drodze znany mi mężczyzna zerka na mnie, uśmiecha się i dyskretnie puszcza mi całusa. Ale jego partnerka to zauważa i uderza go silnie łokciem w bok, a mi posyła nienawistne spojrzenie. I zaraz oboje znikają z mojego widoku. Potem docierają do mnie już tylko odgłosy wiwatującego tłumu.

Najpierw jest to wielka wrzawa, która poprzedza grobową ciszę. Następnie publiczność co raz wyrywa ze swych niezliczonych gardeł okrzyki o różnym natężeniu. Pojawiają się jęki zawodu to znów rzęsiste oklaski. Aż nagle wydaje się, jakby tłum z zachwytu niemal oszalał raz i drugi.

Z tą chwilą zdaję sobie sprawę, że na arenę zawitała dwukrotnie śmierć, ktoś zginął. Zaś pręty od krat ściskam obecnie kurczowo z całych swoich sił. Tak, nie ukrywam tego przed sobą, chcę, aby Aves przetrwał, a nawet bardzo tego pragnę. I bynajmniej nie życzę śmierci Oksinie. Nie poróżniło nas nic istotnego i żadna z nas nie wyrzuciła drugiej prawdziwej krzywdy. Choć zdaję sobie sprawę, że jej śmierć na arenie przyjąłabym ze spokojem. Ale nie, nie z wdzięcznością.

I naraz są... Aves oraz jego partnerka idą pewnym krokiem, zupełnie jakby wybrali się uprzednio na niewinny spacer. Aczkolwiek gdy mnie mijają, zauważam, że pokryci są lśniąącym potem i miejscami przyklejonym do niego pisakiem na skórze. Natomiast Oksina posiada krwawą przepaskę na prawym ramieniu. I tym razem żadne z nich nie spogląda w moją stronę. Przechodzą koło mnie bez słowa, bez żadnego gestu, a w ich miejsce pojawia się przed zakratowanymi drzwiami klucznik ze strażnikami.

Cofam się gwałtownie o krok i czuję na plecach krzepiącą dłoń Larisa, który najwyraźniej już wstał. Więc teraz czas na nas. Przełykam ślinę i staram się sobie przypomnieć nasze wspólne ustalenia w nadchodzącej walce. Mam atakować kobietę, podczas gdy albinos będzie walczył z mężczyzną. Jeżeli któreś z nas pokona swojego przeciwnika, wtedy idzie na odsiecz drugiemu i wszystkie chwytów są dozwolone, także niespodziewany cios w plecy – liczy się tylko jedno – zwycięstwo.

Zatem idę! Kroczę, aby wygrać, zwyciężyć...

Wchodzimy na arenę i tłum, który zdążył już okrzepnąć, teraz wita nas na powrót żywiołowymi oklaskami. Kłaniamy się wspólnie zgodnie z protokołem. Zaś po drugiej stronie to samo czyni inna para. Dostrzegam kobietę, która jest łysa i prawie naga jedynie z przepaską biodrową. Całe jej ciało zdobią tatuaże jadowitych zwierząt oraz insektów jak skorpiony, węże czy pająki. Wygląda naprawdę dziko, a uzbrojona jest we włócznię. Natomiast jej partner posiada topór i masywną, okrągłą tarczę, a uzbrojoną rękę oplata mu masywny rękaw z metalowymi osłonami. Do tego ma on odkryty hełm. Z kolei Laris walczy za pomocą długiej buławy najeżonej kolcami i dzierży niewielką, kwadratową tarczę. Nie posiada on hełmu, ale analogicznie, jak jego przeciwnik ma rękaw stanowiący osłonę na rękę z buławą.

Ja sama ściskam w dłoniach dwa krótkie miecze. Ubrana jestem w nowe, skórzane buty z metalowymi kłamrami. Ponadto wyróżnia mnie skórzany gorset i wzmocniony metalem napierśnik. Do kompletu zakładam jeszcze, zamówioną dla siebie w podzięcie od Artusa, chustę na głowę, zdobną w znaki z mojej rodzimej wioski. Nakryciem głowy zwiążuję długie, rude włosy.

Aż naraz orator kończy swoją uroczystą przemowę i dostojnie schodzi z areny, co jest równoznaczne z rozpoczęciem walki.

Koncentruję uwagę na swojej przeciwniczce i patrzę, w jaki sposób się porusza, jak trzyma broń oraz jakie wykonuje nią ruchy. Zawczasu pragnę wiedzieć z kim mam do czynienia. I bynajmniej nie robi na mnie wrażenia jej budzący respekt wygląd. W końcu także i na moim udzie przybywa trupich czaszek. Tak czy inaczej, nie dam się zastraszyć. Jak głosi Etos: „Bogowie sprzyjają odważnym”. Więc będę pełna odwagi i wygram!

Słyszę z boku uderzenia ciężkiej broni o tarcze. To odgłosy walki Larisa, ale ja muszę się skoncentrować na własnej potyczce. Czekam na pierwszy atak mojej przeciwniczki, która podchodzi do mnie i próbuje obejść po łuku, aż niespodziewanie wykonuje ona pchnięcie włócznią. Jestem na to gotowa i paruję cios mieczem. Choć sama nie przeprowadzam kontrataku, tylko zachowawczo czynię krok do tyłu. Tak, pamiętam słowa Etosa: „kiedy przeciwnik atakuje, wtedy się cofaj, a zaatakuj, gdy ruszy do

odwrotu”. Stosuję się do tej maksy, ponieważ w walce z człowiekiem czuję o wiele większy respekt, niż potykając się na arenie ze zwierzętami.

Z kolei kobieta z włócznią jest ciągle w natarciu i co rusz próbuje mnie kąsać w nogę, to na wysokości torsu. Jednak ja nieustannie mam wyciągnięty przed siebie oręż, którym zbijam każdy niegroźny atak, a dodatkowo asekuranko czynię kolejne kroki wstecz.

Aż w pewnym momencie zniecierpliwiona włóczniczka staje w miejscu i spogląda na walczących mężczyzn. To moja szansa. Po raz pierwszy rzucam się do ataku i czynię to z pełnym zaangażowaniem. Zaskoczona kobieta próbuje zasłonić się trzonkiem włóczni, ale nie jest to osłona gotowa zatrzymać oba miecze. Podczas gdy jeden z nich zostaje odbity na bok drzewcem, drugi wchodzi głęboko w trzewia kobiety na wysokości jej pępka. Ponadto z impetem zderzam się własnym ciałem z włóczniczką. Ona zaś leci zraniona do tyłu. Wtedy zamaszystym ruchem drugim ostrzem rozcinam ją mocno pomiędzy piersiami i od razu poprawiam ciosem w gardło z taką siłą, aż opadająca na plecy głowa kobiety zawisa tylko na kręgosłupie i cienkim płacie skóry. Piach areny zalewa prawdziwa fontanna krwi, a ja, w oparach szału wiwatującego tłumu, zastygam w napięciu i spoglądam na walczących wojowników.

Nie... oni już nie walczą. Laris klęczy na jedno kolano tuż koło leżącego gladiatora z czaszką rozbitą buławą. Albinos posyła mi uspokajające spojrzenie, a ja nie wykazuję żadnych emocji. Aż jakby porwane wiwatem tłumów, moje ramiona niemal same podrywają się do góry.

Tak, wygrałam! Jestem zwycięską gladiatrix! Nagle to czuję, jak zalewa mnie duma ze zwycięstwa i z przyjemnością spijam zasłużoną mi chwałę. I czynię to tak długo, aż słudzy ściągają z areny pokonanych zawodników i zasypują ślady krwi świeżym piaskiem.

Następnie jesteśmy z Larisem prowadzeni do łaźni w Koloseum, gdzie w obszernym basenie możemy obmyć swe ciała z krwi, piachu i potu. Zanurzający się w wodzie nagi albinos jest mi w jakiś sposób bliski, a przede wszystkim nie czuję wobec niego lęku. Wręcz darzę go pewnym ojcowskim zaufaniem. Dlatego bez większego wstydu również rozbieram się do nagości, aby po trudach walki ukoić swoje ciało w kąpieli.

Dopiero teraz, od zabarwiającej się na czerwono wody, dostrzegam, że Laris odnosi powierzchowne rany. Posiada podłużną szramę na udzie i podobną na żebrach. Ja sama nie mam nawet zadrapania. Kiedy wychodzimy z wody, słudzy szyją rany albinosa. Ja z kolei jestem samotnie odprowadzana do celi.

Po drodze nie mogę się powstrzymać i zerkam w kierunku pomieszczenia Avesa i jego partnerki. Unoszę nieco dumnie podbródek i widzę, że tak dobrze znany mi mężczyzna spogląda na mnie wręcz z zachwytem i zaraz zapytuje, jakby z nadzieją:

– Laris zginął?

W odpowiedzi kręcę przecząco głową, wskazując kciukiem za siebie. Aves robi nieco kwaśną minę, a zanim odwrócę wzrok od jego celi, dostrzegam jeszcze iskrzące nienawiścią oczy Oksiny. Zdają się one wręcz krzyczeć: „to ty powinnaś była zginąć”! Odczytuję w tym spojrzeniu prawdziwy ogień, którego właścicielka pragnęłaby mnie spalić na popiół. Ale przecież to ona ma przy sobie Avesa. Mężczyznę, którego wcale nie pragnę.

Nie pragnę...?

Czy aby na pewno...?

Nie odpowiadam sobie na te, nagle nie wiedzieć czemu, trudne dla mnie pytanie. Zamiast tego siadam w swojej celi na macie i staram się uspokoić niedawne emocje po walce i odpocząć przed kolejnym starciem. Albowiem przed wieczorem czeka mnie jeszcze jedna potyczka.

Wkrótce powraca Laris i przynosi krzepiące wieści, że swoją walkę wygrywają również Kalilla z Exonem. Przyjmuję to, jak najbardziej za dobrą wiadomość, kiwając na potwierdzenie głową i w podzięcie składam razem dłonie. Lecz zaraz moja głowa porusza się w poziomie i rozkładam bezradnie ramiona, gdy albinos informuje mnie, że to właśnie oni będą naszymi najbliższymi rywalami na arenie. Zaraz Laris próbuje mnie uspokoić, przypominając o pewnej istotnej zasadzie, jednak studzi moje emocje tylko trochę:

– Nasze pary są z jednej szkoły, więc nie obowiązuje nas zasada walki na śmierć i życie – oznajmia. – Walczymy do pierwszej poważnej rany. Zaufaj mi, znam Kalillę oraz Exona. Będą z nami walczyć, ale nas nie

zabiją i my postarajmy się toczyć starcie w tym samym duchu. Wiem, że dasz radę, postaraj się ochłonać.

I oto słońce chyli się powoli ku zachodowi, a my, znajomi z jednej szkoły Artusa, stajemy naprzeciw siebie, aby ku ucieście tłumu skrzyżować ze sobą oręż i przelać nawzajem krew. Nie jestem tym zachwycona i staram się pamiętać tylko o jednym. Muszę bez wahania mierzyć wyłącznie w kończyny moich obecnych przeciwników. Nie mogę ich dotkliwie skrzywdzić i muszę również uważać, aby samej się za bardzo nie odsłonić. Ponieważ nigdy nie wiadomo, kto i dlaczego mógłby nagle zapragnąć zguby gladiatrix Anrei...

Rozpoczyna się walka. Zgodnie z tradycją mężczyzna staje naprzeciw mężczyźnie, a kobieta potyka się z kobietą. Kalilla, podobnie jak moja poprzednia rywalka, walczy za pomocą włóczni, a ubrana jest jedynie w białą zwiewną tunikę bez żadnych osłon oraz pancerza. Jej wysoka, smukła postać wygląda doprawdy majestatycznie, dodatkowo, gdy kroczy z gracją i boso w rozpuszczonych, długich, prostych i złocistych włosach.

Jednak, aby przejść do następnej rundy, muszę tę kobietę zranić, okaleczyć jej wyjątkowo piękne ciało i splamić krwią nieskazitelny strój. Dlatego, czując pewne napięcie i bużującą we mnie energię, postanawiam z miejsca zaatakować.

Wchodzę w lekki trucht, po czym coraz bardziej przyspieszam aż na pełnym biegu rzucam się na Kalillę. Ona zaś stoi z włócznią wyciągniętą przed siebie, zastygła niczym posąg i dopiero w ostatniej chwili czyni unik, zręcznie schodząc z linii ciosu. Robię natychmiastowy nawrót i już bez posiadanego rozpędu wykonuję szereg krótkich cięć mieczami. Moje ataki są skutecznie parowane przez przeciwniczkę, która wcale nie ustępuje mi pola. A jej dalekosiężna broń i obszerny zasięg smukłych ramion sprawiają, że w żaden sposób nie mogę skrócić dystansu, aby się do niej dostać.

Aż zaabsorbowana nieustanną szarżą, gwałtownie uchylam się przed grotem włóczni wymierzonym w moje ramię. Cudem unikam zranienia, ale jednocześnie korzystam w wypadu Kalilli i czyniąc przewrót w przód, skacząc do kobiety, po czym atakuję jej uda. Ona wyskakuje gwałtownie do góry, a spadając, zamierza przyszpilić moją nogę włócznią do ziemi.

Dlatego teraz to ja muszę błyskawicznie schodzić z linii ciosu, co czynię, przetaczając się na bok.

Szybko wstaję i zwracam się ku przeciwniczce, a ona zamasyście uderza drzewcową bronią w moją stronę. Tym razem otrzymuję silny cios w zebra trzonkiem włóczni. Zginam się z bólu i krzywię na twarzy. Natomiast Kalilla, zupełnie jakby zatopiona w tańcu, nie w walce, wykonuje taki sam cios tylko z drugiej strony. Udaje mi się osłonić płazem miecza, ale czynię to z trudem i naraz zdaję sobie sprawę, że walczę w coraz większej defensywie. Już nie próbuję nawet zranić Kalilli, jedynie sama staram się uchować przed jej sprytnymi atakami. Zachowawczo się cofam, a kolejne pchnięcia grotem włóczni w moją stronę sprawiają, iż czynię to coraz szybciej, aż nieporadnie potykam się o własne nogi i padam na piasek. W mgnieniu oka znajoma gladiatrix jest tuż nade mną, mierząc grotem w moje ramię przy łokciu i już wiem, że nie zdołam się osłonić. Zastygam w napięciu, oczekując bolesnego ciosu, gdy wtem na trybunach rozlega się ogłuszający aplauz. Wyczekuję jeszcze chwilę i wspólnie z Kalillą spoglądamy na walczących mężczyzn.

Exon klęczy z grymasem bólu na twarzy i trzyma się za krwawiące udo. Zaś nad nim stoi triumfująco Laris z tarczą oraz buławą. I raptem dociera do mnie, że jest już po walce. Partner Kalilli odnosi na tyle silne zranienie, iż nie będzie mógł kontynuować pojedynku, a jego partnerka, zgodnie z zasadami, ma prawo złożyć broń. I czyni to, kładąc przede mną włócznię.

Niespodziewanie obdarowana zostaję uśmiechem na twarzy kobiety i podaje mi ona pomocną dłoń. Przyjmuję ją i zostaję podźwignięta do pionu, a wówczas Kalilla, przy ogłuszających wiwatach tłumu, podrywa moją rękę wysoko do góry.

Spoglądam na nią z pewnym podziwem, ponieważ choć właśnie przegrywa, mimo tak bliskiego zwycięstwa, to nie widzę w niej choćby cienia zawodu, a wręcz przeciwnie. Ona szczerze mi gratuluje. Dostrzegam także, iż utykający Exon wstaje w końcu na nogi i klepie po przyjacielsku po plecach Larisa. W tej chwili czuję naprawdę niewyobrażalną ulgę i cieszę się zwycięstwem, choć dokonuje się ono nie za moją sprawą.

Po tej potyczce niebawem nadchodzi noc, a wraz z nią czas na zregenerowanie sił i jutrzejszy półfinał. Tak, już wiem, kto stanie mi oraz

Larisowi na drodze do wielkiego finału. Słyszając to, w pierwszym momencie odczuwam wyraźny niepokój. Lecz pomna konfrontacji z Kalillą oraz Exonem niebawem miejsce lęku zastępuje ulga.

Otóż w nadchodzącej walce przyjdzie nam się zmierzyć z Oksiną oraz Avesem. Ale już wiem, że w takiej potyczce nie musi nikt ginąć, aby ktoś inny otrzymał laury zwycięscy. A skoro tak i stawka nie jest najwyższa – życie, to jestem gotowa nawet na przegraną. I być może to właśnie Oksina okaże się tą, która zada mi decydującą ranę. Niech i tak będzie, jeżeli to sprawi, że spojrzę na mnie łaskawszym, zwycięskim okiem i nastanie między nami nowe rozdanie. Z tą myślą zasypiam, a wraz z bladym świtem jestem w pełni gotowa do nowych wyzwań.

Zanim nadejdzie czas walki siadam na podłodze i staram się uważnie przeanalizować każdy detal walki z Kalillą. Wspominam starcie, które niechybnie bym przegrała. Uświadamiam sobie, że partnerka Exona jest zdecydowanie lepsza ode mnie i mam z tego taki wniosek, że muszę się szkolić nie tylko w doskonałym władaniu moją bonią – dwoma mieczami. Powinnam również opracować stosowną taktykę przeciw każdemu przeciwnikowi z odmiennym orężem.

Więc jeżeli dane mi będzie przeżyć ten turniej, poproszę Kalillę o próbne walki przeciw jej włóczni. Pragnęłabym się zmierzyć także z Exonem i dwuręcznym mieczem w jego dłoniach. Poczynię zabiegi, aby potykać się z uzbrojoną w topór i tarczę Virią oraz Ravelem z trójzębem i siecią.

Choć ta ostatnia para odpada już w pierwszej rundzie turnieju po poważnej ranie w brzuch zadanej kobiecie z konfederacji Favere. I mimo zwycięstwa w swojej walce oraz zgładzenia przeciwników, moi znajomi zostali wycofani z igrzysk, których nie mogła kontynuować zraniona kobieta ze szkoły Artusa.

Z rozmyślań i analiz wyrywa mnie dźwięk żelaznego klucza chrzęszczącego w zamku. Więc już czas. Zatem wspólnie z Larisem udajemy się na półfinałową walkę.

Sytuacja wygląda tak samo, jak uprzedniego dnia. Po wzniósłej przemowie oratora, gdzie sławi on bohaterstwo nieustraszonych wojowników oraz potęgę Boga Arezara, sam opuszcza arenę, pozostawiając ją tylko gladiatorom.

Laris staje naprzeciw Avesa, ja zaś mierzę się, na początek wzrokiem, z Oksiną uzbrojoną w tarczę i topór. Na twarzy wojowniczkę odczytuję zawziętość i gniew, gdy obnażając kły, uderza rytmicznie orężem o swoją osłonę. Ponadto posiada ona lekką kolczugę i wysokie buty. Wszystko w surowym stanie bez żadnych zdobień. Podobnie jak Viria pochodzi ona z konfederacji Favera i prezentowany przez nią rynsztunek jest odpowiednikiem powszechnie używanym w jej ojczyźnie. Z kolei ja przedstawiam się dość nietypowo w lekkim opancerzeniu w stylu z cesarstwa Terraticos, a do kompletu z chustą na głowie w ludowe wzory. Jednakże ja sama dobrze się czuję w moim ubiorze, który w moim mniemaniu właściwie odzwierciedla to, kim obecnie jestem. Gladiatrix Anreą z cesarstwa Terraticos z rodzowymi korzeniami z zamorskiej wioski, miejsca bez nazwy, z którego pozostało już tylko wspomnienie.

I naraz dochodzi do pierwszych wymachów mieczy oraz toporów. „Arena pragnie krwi”! „Arena pragnie krwi”! Słysząc skandujący tłum. Więc damy mu ją, damy tłumowi czerwoną jak wino krew, byle nie do upojenia. Potrzebna jest tylko jedna, decydująca rana, która położy tej walce kres.

Przyjmuję na klingi mieczy iście furiackie ataki Oksiny. Jej zamaszyste uderzenia toporem, jakby wzmacniają jeszcze potężne, kobiece okrzyki. Lecz jednocześnie partnerka Avesa jest szczelnie zasłonięta przez obszerną tarczę. Natomiast ja sama nie atakuję. Pomna uprzedniej potyczki z Kalillą, obecnej przeciwniczce chcę dać się wykazać. Zamierzam odkryć jej atuty oraz słabe punkty i zmęczyć ją. Dlatego stoję w defensywie i pragnę zobaczyć, na co naprawdę ją stać.

Aż naraz Oksina zaskakuje mnie, uderzając w moim kierunku tarczą. Na chwilę tracę równowagę, a wtedy prosto ku mej skroni szybuje ostrze topora i lekko rani mnie w głowę, ścisnąc przy okazji kosmyk włosów. Zaskoczona spoglądam na opadające na piach rude włosy zraszone kroplami mojej krwi. Oksina zaś, krzycząc gardłowo, wyprowadza w moje piersi cios toporem. Rozpaczliwie paruję atak skrzyżowanymi mieczami, a od impetu uderzenia przewracam się na plecy. Następnie turlam się szybko na bok, a w miejsce, gdzie dopiero co leżałam, trafiają wbite w piach kant tarczy oraz ostrze topora. Podrywam się na nogi i ocieram krew z twarzy, odnajdując się w nowej sytuacji. Nagle dociera bowiem do mnie, że wbrew

pierwotnym przypuszczeniom nie toczę walki do pierwszej poważnej rany, a walczę na śmierć i życie. A więc walczmy! Raptem wzbiera we mnie gorąca krew!

Okisna ponownie atakuje. Sama markuję unik w bok, jednak rzucam się w przeciwną stronę i zamazyście tnę mieczem w kierunku wrogiej gladiatrix. Rozcinam jej uzbrojone w topór ramię i poprawiam jeszcze silniejszym atakiem, prowadząc drugie ostrze z góry na dół. Odcinam dłoń z tarczą, a zanim te opadną na piach, z przykłąku wprowadzam poziomo uprzedni miecz w trzewia, zaś kolejnym otwieram klatkę piersiową.

W jednej chwili zmasakrowana kobieta z Favera spada na mnie i czuję na sobie jej ciepłą krew. Ta, po wyciągnięciu ostrzy z ciała, płynie szerokim strumieniem, podobnie jak wiwaty rozszalałej nagle publiczności.

Konwulsyjne ruchy Oksiny ustają i odpycham od siebie trupa, choć wrzaski publiczności jeszcze się wzmagają. Oszołomiona klękam na oba kolana i spoglądam w kierunku mężczyzny, po czym naraz braknie mi w płucach tchu. Oto widzę samego Avesa, jak dumnie kroczy po arenie prezentując publiczności odciętą głowę Larisa.

Nie... Nie mogę w to uwierzyć...

Dlaczego to się dzieje...?

To się nie może dziać naprawdę...

Patrzę na swoje zakrwawione dłonie i bezwiednie odkładam oręż na piach. Następnie przecieram oczy zalane krwią Oksiny, ciągle nie mogąc dać wiary temu, co się właśnie wydarza. Kręcę głowę, spoglądając bezradnie na zwłoki kobiety, to albinosa, a tłum nie przestaje wiwatować. Trwa to naprawdę nie wiem jak długo, aż dwoje sług bierze mnie pod ramiona i wyprowadza z areny, na której ciągle pozostaje pozdrawiany gromko Aves.

Zostaję pozostawiona w łaźni, abym obmyła swoje ciało z krwi oraz piachu, ale zamiast tego kulę się w pozycji embrionalnej i po raz pierwszy odkąd tracę rodziców, ronię z oczu łzy.

Cały czas nie mogę do końca zrozumieć tego, co dokonało się na arenie. Płaczę tym mocniej, kiedy uświadamiam sobie, że nie tyle nie mogę, co nie chcę tego zrozumieć. Motywów, jakie przyświecały Avesowi oraz Oksinie

w walce na śmierć i życie z kompanami z jednej szkoły, z ludźmi, których znali, dzielili dach nad głową i spożywali wspólne posiłki.

Gdzieś daleko w tle odzywa się we mnie głos, że przecież jestem gladiatrix. Gladiatrix! Istotą, niczym narodzoną ponownie kobietą, stworzoną do walki, by zadawać śmierć i samej zginąć. Ale nie... W tej chwili, po śmierci Larisa, wszystkie idee rodem z areny wydają mi się takie puste. Zaś ja sama i wszystko, co robię, jawi mi się zupełnie jako pozbawione znaczenia.

Wreszcie po dłuższym czasie siadam pod ścianą i ociera spod oczu łzy zmieszane z krwią. Co teraz? Zapytuję samą siebie. A odpowiedzi udziela mi przybyły właśnie sługa w obstawie strażników. Oto przyjdzie mi wkrótce stoczyć finałową walkę. I nie inaczej, mam stanąć na piachu areny u boku Avesa, jako jego nowa partnerka z nadania Bogini Harremid.

Więc czynię zgodnie z wolą Bogów, skoro będąc niewolnicą, nie posiadam własnej. Oto podźwigam się do pionu. Jestem gladiatrix, tak, jestem gladiatrix. Idę na arenę, na piach pokryty przez pot i krew, ale nie po to, aby dalej ronić tam swoje łzy. Jestem gladiatrix, gladiatrix... Idę, by zabić lub, aby zostać zabita... To wszystko i poza tym nie ma teraz zupełnie nic...

Jest już noc i tym razem Koloseum tonie w mroku rozświetlanym wyjątkowym niebieskim ogniem pochodni. Rozlegają się także chóralne, kobiece śpiewy oraz rozbrzmiewa donośne bicie w bębny. Dociera do mnie, że to finał, tak, to wielki finał i dlatego na ten czas pojawiają się wyjątkowe fanfary.

Staję w szeregu ramię w ramię z Avesem, zabójcą Larisa, ale nawet nie spoglądam w jego stronę. Za to lodowatym wzrokiem mierzę swoją przeciwniczkę, a tym, co sobą reprezentuje, jestem doprawdy zaskoczona. Kobieta naprzeciw od stóp do głów obleczona jest ciężkim pancerzem, czarnym z białymi elementami, a na jej piersi wymalowany jest człowiek z głową psa i rozłożonymi skrzydłami. Ponadto wojowniczka posiada pełny hełm z przyłbicą, więc nie dostrzegam rysów jej twarzy, a uzbrojona jest w długi miecz. Z elokwentnych ust oratora słyszę, że para, z którą stoczymy walkę, należy do Zakonu Miecza Białego Psa. Zakonu Boga Arezara patrona odwagi i walki.

Patrzę z ukosa na przeciwnika Aves i dostrzegam mężczyznę także całkowicie zakutego w stal i uzbrojonego w długi miecz. Przenoszę spojrzenie na własne krótkie ostrza i już wiem, że czeka mnie walka inna niż wszystkie. Ale nagle, zupełnie niespodziewanie, ze wszech miar pragnę tej walki. Tak, chcę wyładować powstałą we mnie furię owoc goryczy i rozczarowań. Czuję się w jakiś sposób zdradzona i tracę w swej istocie resztki niewinności. Przedstawione mi zostaje z całą brutalną siłą to, jak wygląda droga przez świat wojownika. Na lewo okrucieństwo, na prawo bezwzględność, zaś na końcu tej drogi jest śmierć. Sentymenty natomiast są dla słabych, nic nie znaczą i zamieniają się w łzy, które samotnie wysychają na policzkach bądź pochłania je suchy piach bezdusznej areny. A skoro tak...

Wraz z ustaniem doniosłych fanfar pierwsza rzucam się jak w amoku na swoją przeciwniczkę. Próbuję dosięgnąć ją wślizgiem i rozciąć pachwinę, ale napotykam ostrze miecza, które szybuje na mnie z góry z niesamowitą prędkością. W ostatniej chwili odtaczam się na bok, unikając pewnej śmierci. Wstaję plecami do wroga i czuję za sobą nagły podmuch powietrza – wymierzony we mnie cios, który nie dosięga mnie dosłownie o włos. Czynię piruet i od razu przewrót w przód, po czym osłaniając się jednym mieczem, drugim uderzam w opancerzoną goleń. Moje ostrze odbije się z łoskotem, zaś długi miecz wroga uderza z impetem w moją broń, którą osłaniam tułów. Pod wpływem siły ciosu nie jestem w stanie utrzymać w dłoni miecza i rozpaczliwie zasłaniam się drugim. Sytuacja natychmiast się powtarza. Kolejny cios – utrata drugiej broni – pozostaję bezbronna. Kobieta naprzeciw mnie bierze potężny zamach, aby w morzu mojej krwi zakończyć tę szybką, nierówną walkę. A wtedy zakonniczka zostaje staranowana obcym ciałem.

Oszołomiona dostrzegam, że rzucił się na nią Aves, z którym zaczyna się szamotać. Gorączkowo szukam wzrokiem po arenie jego pokonanego wroga, ale zamiast tego dostrzegam ciężko stąpającego ku niemu uzbrojonego zakonnika. Nie zastanawiając się, podnoszę z piasku moje miecze i zagradzam obcemu wojownikowi drogę. Więc w tej chwili walczę z mężczyzną. Niech i tak będzie! Nie ustąpię!

Lecz po tym, co zaprezentowała zakonniczka, nie kwapię się do ataku i słusznie. Mój nowy przeciwnik wykonuje ku mnie zamaszyste ruchy po

skosie w nieznanym mi stylu walki. Jego długi miecz zdaje się jeszcze wydłużać w moim kierunku, a jego ciosy są dla mnie zbyt obszerne i szybkie. Przez to cofam się coraz bardziej, jedynie markując kontrataki.

Aż jeden z kolejnych ciosów w moją stronę zostaje niespodziewanie poprowadzony w dół wprost na moje kostki. Cudem nadałam podskoczyć, unikając odcięcia stóp, a wtedy potężna, opancerzona pięść uderza mnie z niesamowitą siłą w brzuch. Padam jak nieżywa bezwładnie na piach i dłuższy czas duszę się boleśnie, nie mogąc nabrać tchu. Ściskam za pulsujący bólem żołądek i wiję się niczym w przedśmiertnych konwulsjach.

Wreszcie z trudem dochodzę trochę do siebie i leżąc, rozglądam się wokół. A pierwszym widokiem, jaki mi się ukazuje, jest klęczący Aves z pochyloną pokornie głową i kobiecym mieczem przy swoim karku. Zdaję sobie sprawę, że on czeka na śmierć!

Przenoszę błagalne spojrzenie na opancerzonego zakonnika i widzę, że także i on oczekuje na moją decyzję: czy pragnę godnie zginąć, przyjmując ostrze w samo serce, czy też zhańbię się, daremnie pełznąć brzuchem po piasku i łkając, przyjmę cios w plecy.

Gladiatrix, jestem gladiatrix... – powtarzam to sobie w duchu, ale przegrana czynię to bez wiary, zupełnie bez żadnego wyrazu. Zrezygnowana, niemal już martwa, zdobywam się jednak, aby wyprostować się na kolanach i odsłonić swą pierś. Skoro nieuchronna śmierć i tak ma nadejść, to zapraszam ją do siebie, do swego serca. Nie będę uciekać i tak nie mam gdzie się skryć.

Spoglądam w górę na żelazną maskę na twarzy zakonnika i wykonuję dłońmi ostatnie gesty:

– „Dziewczyna z wioski bez nazwy, sierota i niemowa. Anrea gladiatrix z Terraticos. Ta postać oddaje ci swoje życie”. – Czekam na nieunikniony cios w moje serce. Jednakże ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, zakonnik wbija miecz w piach, po czym opancerzonymi dłońmi sam gestykułuje:

– „Mężczyzna imieniem Zan z Zakonu Miecza Białego Psa i powiernik losu mitycznej Anrei. Ta postać daruję ci twoje cenne życie. Przyjdzie czas, że się jeszcze spotkamy. Zawsze się spotykamy, taki pisany nam wieczny los”. – Następnie mężczyzna zabiera swój miecz i przy wtórze gwizdów

oburzonej publiczności odchodzi. Zaraz za nim ciężko kroczy również opancerzona kobieta, która oszczędza Avesa.

Ciągle nie do końca dociera do mnie to, co się dzieje i tylko spoglądam, niczym we śnie, jak para zakonników klęka w części areny, gdzie na trybunach znajduje się cesarski tron. Czekają na decyzję najwyższego władcy czy za sprzeciwienie się prawu areny spotka ich najwyższa kara i natychmiastowe ukrzyżowanie. Jednak monarcha, jakby po chwili wahania, ucisza zbulwersowany tłum i wygłasza mowę traktującą o łasce oraz darowaniu życia, które tak obficie ofiarowane zostało w półfinałowych pojedynkach. Cesarz opowiada o przewrotności Bogów, której ludzie muszą się podporządkować.

W efekcie publiczność uwiedzioną głosem cesarza na powrót ogarnia wyśmienity nastrój, a para zakonników nie niepokojona opuszcza arenę. Klęcząc, spoglądam za nimi tak długo, aż ktoś ujmuje mnie za drżącą dłoń. To Aves, który uśmiecha się do mnie z uczuciem. Przy wtórze wiwatów tłum chwytając moje drobne ciało na ręce i w ten sposób opuszcza arenę niczym ze swoją zdobyczą. I niebawem się okazuje, iż rzeczywiście nią jestem – zdobyczą.

Gdy tylko trafiamy do łaźni, stawia mnie na nogi tuż pod ścianą. Gwałtownie zrywa nam z bioder przepaski biodrowe i odrzuca do wody. Następnie chwytając mnie pod kolana, podnosi wysoko i przyciskając plecami do ściany, zaczyna się ze mną kochać. Obejmuję go mocno i jest mi tak dziwnie, że nie daje się tego wyrazić w myślach, tak różnorodną przeżywam obecnie mozaikę uczuć. Ale nie wzbraniam się i jednocześnie coraz mniej jestem duchem w swym ciele.

Moje oczy się rozświetlają intensywną poświatą i zupełnie jakbym czegoś poszukiwała, podążam gdzieś w przestrzeni, choć sama nie wiem gdzie i dlaczego. Przez ulotną chwilę jestem na arenie i witam tu huczne święto. Wzlatuję wyżej i widzę gwarne, zatopione w świetle oraz mroku ulice, gdzie ludzie tańczą, śpiewają i piją wino. Jednakże ja podążam dalej i dalej aż trafiam do bram miasta, które mijam, a wówczas już wiem, czego szukam.

Dostrzegam jadącą konno parę tajemniczych zakonników z areny. Odprowadzam ich tęsknym wzrokiem i tak pragnę za nimi podążyć, ale

wiem, że nie mogę. Nie w tej formie, która będąc tylko ulotnym duchem, nie posiada materialnego ciała. Moje ciało...

I naraz znów jest cała w swojej postaci. Widzę Avesa, który plecami do mnie zanurza się po czubek głowy w wodzie. Ja sam jestem cała naga i ciągle stoję oparta plecami o ścianę, choć...

Dotykam dłońmi mego krocza i spoglądam na rękę. Widzę zmieszane ze sobą krew oraz nasienie. Zatem dokonało się i nie jestem już niewinną dziewczyną. Oto w ten pełen bólu i trudnych do zrozumienia sytuacji dzień święta Arezara staje się w pełni kobietą.



VII. KOLEJNY POWRÓT

Wracamy. Wracamy zarówno jako zwycięzcy, jak i pokonani. Zaś na pewno doświadczeni przez los. Mój obecny partner z nadania Bogini Harremid zarzeka się, że Laris walczył, aby zabić. Czy mogę mu wierzyć? Nie wiem, ale sama pragnę dać temu wiarę. Niszczy to w pewnym stopniu pamięć o drogim mi albinosie, ale pozwala łatwiej przyjmować kolejne dni u boku Avesa, którego kochanką się staję.

On sam wybacza mi zabicie Oksiny bez zająknięcia. Twierdzi, że jesteśmy sobie przeznaczeni, a jego dotychczasowa partnerka była zazdrosną, nieczułą suką. Może i była, nie wiem. Ale wierząc w to, łatwiej jest mi przyjmować wspomniane wspólne noce i dni z nowym mężczyzną u mego boku.

Wiara... Jestem do niej nakłaniana z każdej ze stron i musi mi ona zastąpić prawdziwą wiedzę.

Wiedza... Czym ona jest i gdzie można ją zdobyć?

Tak, on coś wie. Zakonnik, który mnie pokonał i darował życie. Wspominam jego tajemnicze słowa. On bez wątpienia wie coś prawdziwego, coś o mnie, ponieważ mówił gestami dłoni tak, jakby mnie znał. Czy rzeczywiście w jakiś niezwykły sposób nie jestem mu obca? Czy to w ogóle możliwe? Jeżeli tylko będę miała kiedyś ku temu sposobność, ze wszech miar pragnę się o tym przekonać.

Tymczasem od powrotu między mury szkoły Artusa, mając w pamięci moje liczne trudności w walkach na arenie i widmo porażek, sama wyznaczam sobie jeszcze cięższy trening. Na przemian ćwiczę walkę z Avesem, Revałem i Kalillą, jak również Exonem oraz Virią, gdy ci ostatni dochodzą do zdrowia. Natomiast w międzyczasie doskonalam technikę strzelania z łuku i jazdy konnej, a nawet powozę rydwanem. Kiedy z kolei trenuję samodzielnie, koncentruję się przede wszystkim na wzmacnianiu

siły rąk. Posiadam wrodzoną szybkość i zwinność, ale potężne ciosy w moją broń ciągle są w stanie wytrącić mi miecze z dłoni. Ponadto uświadamiam sobie, że nie jestem w stanie skutecznie ugodzić ciężko opancerzonych przeciwników. A na nich przecież także musi być jakiś sposób.

Jednakże na początek sama pragnę zadbać o swoje większe bezpieczeństwo w walkach. Dlatego za pośrednictwem Pajosa ślę prośbę do mego pana, Artusa, o wbudowanie w moją zbroję większej ilości metalowych elementów. Jestem wytrzymała i nie obawiam się dodatkowej wagi oraz utraty zwinności. Ale z powodu braku tarczy potrzebuję silniejszej osłony przede wszystkim ramion. Tak, przydałyby mi się stalowe naramienniki, które przeciwstawiłyby się niespodziewanym ciosom. Ponadto pożądany przeze mnie jest mocniejszy napierśnik oraz wzmocniony gorset.

Prośb mam wiele, ale chodzą słuchy, że nasz pan, Artus, zarobił już na mnie duże pieniądze. Więc liczę, iż poczyni w dobrze rokującą gladiatrix dalsze inwestycje. A nieoczekiwanie dowiaduję się, że ma on odwiedzić mury naszej szkoły i osobiście mam się przed nim stawić, aby przyjrzał mi się z bliska i ocenił moją przydatność.

Jest kolejny słoneczny dzień w środku lata i spożywam posiłek, odpoczywając w oczekiwaniu rychłej audiencji. Tradycyjnie zasiadam razem z Gabu przy ławach dla służby, ale z miską lepszego jedzenia dla uzdolnionych wojowników. Poza pociesznym tłuszciochem otacza mnie trójka młodych adeptów walki, którym pomagam w szkoleniu, a także dziewczyna Adora, ciągle brana gwałtem przez ohydny Pajosa. Jest tu również Viria z Revałem, którzy po ostatnim turnieju popadają w niełaskę naszego pana i tracą status wyższych rangą wojowników. Oni na szczęście nie za bardzo się tym przejmują. Wydają się największą przyjemność czerpać z własnego towarzystwa, co raz przekomarzając się i karmiąc uszczypliwościami, to kiepskiej jakości strawą. Ja sama koncentruję uwagę na Gabu, który oświadcza:

– Tak jak prosiłaś, Anreo, zebrałem posiadaną przeze mnie wiedzę na temat Zakonów. Interesuje cię któryś konkretny?

– „Zakon Miecza Białego Psa” – gestykuluję w dość skomplikowany sposób, aby wyrazić moje myśli.

– Zakon Kija Bladej Wiewiórki? – Tłusciuch nieudolnie odczytuje mój przekaz. Na co Reval tłumi śmiech i poprawia Gabu:

– Anrea chciała powiedzieć Zakon Kija od Szczotki Wysmażonej Karkówki...

– Ależ nie, ha! – włącza się prześmiewczo Viria i stuka kompana łokciem w bok. – Nasza wielka gladiatrix miała na myśli Zakon Kijanki i Pełzającej Jałówki!

W efekcie tych szyderczych wyjaśnień Gabu jest na dobre zdezorientowany, a ja spoglądam na drwiącą parę już na dobre zniecierpliwiona. Ale zaraz wzruszam tylko ramionami i kreślę łyżką na piasku odpowiednie znaki. Grubas spogląda na nie w skupieniu. Jak zwykle poprawia kilka liter, ale zaraz z ulgą oznajmia:

– Aaa... Zakon Miecza Białego Psa.

– A nie kota...?

– Chomika...? – próbują się jeszcze podśmiechiwać Viria z kompanem, ale Gabu nie daje się już zbić z tropu, tylko gładząc po nalanej tłuszczem brodzie, odpowiada:

– Zakon Miecza Białego Psa został założony wraz z powstaniem Cesarstwa Terraticos. Jego pierwszymi członkami byli przedstawiciele arystokracji i najwięksi wojownicy wśród przybyłych najeźdźców. Zakon za główny cel obrał sobie ochronę i powiększanie cesarskiej władzy. Zaś hołduje on odwadze i walce ku czci Boga Arezara. Jego odwiecznym antagonistą jest zakon Buławy Czerwonego Lwa z królestwa Saladior, którego zakonnicy walczą o równość wszystkich władztw bez wywyższania żadnego z nich. Generalnie zakony stacjonują w zamkach nadanych przez monarchów arystokratom, jeżeli ci ostatni udostępnią zakonnikom odpowiednie warunki. Same zakony nie są zbyt liczne, ale ich wojownicy absolutnie wybitni. Czasem biorą oni udział w sporach pomiędzy poszczególnymi władztwami, a innym razem są w konflikcie same ze sobą bądź wykonują własne misje. Każdy zakon posiada na czele wielkiego mistarza oraz przestrzega własnego kodeksu... Co jeszcze pragnęłabyś wiedzieć...? – zapytuje całkiem dumny ze swego wywodu Gabu.

– „Ile jest zakonów w Pendorum”? – kreślę łyżką na piasku.

– W Pendorum funkcjonuje pięć pradawnych, głównych zakonów. Wspomniany zakon Miecza Białego Psa oraz Buławy Czerwonego Lwa. Z kolei z północnego księstwa Razzinal pochodzi zakon Łuku i Strzał Srebrzystej Łani związany z Harremid, Boginią walki i miłości, który działa głównie w obronie słabszych. Następnie Zakon Topora Zielonego Niedźwiedzia funkcjonuje przede wszystkim w konfederacji Favfers. Oddany jest walce o prawość pod patronatem Boga siły i walki, Gragezona. Natomiast w chanacie Precis mamy Zakon Lancy Czarnego Orła pod wezwaniem Boga Biramond, patrona świętości oraz walki. Ten zakon zwalcza kultury niewiernych i tępi wszystko, co pochodzi z Otchłani, a także Allearów.

Już zamierzam zadać kolejne pytanie związane z zakonami, ale rzucony jest przede mnie jakiś ludzki cień. A zaraz padają chrapliwie i drwiąco wypowiedane słowa:

– Czy to aby nie święty napój Bogini Harremid bierzesz do swoich niemych ust, o wielka, Anreo? – Przybyły mężczyzna, którym jest Pajos, wskazuje na kubek z różanym płynem koło mego jada. – Odkąd spółkujesz z jurnym Avesem nagle stajesz się płodna...? – szydzi nadzorca. Zastygam w bezruchu, a odpowiedzi w moim imieniu udziela Gabu, który na dobre się rozgaduje i najwyraźniej nie ma zamiaru zamykać swej elokwentnej buzi.

– Zaiste to niebywała w naturze rzecz – oznajmia. – Ale niezwykle szczodra w swej miłości Bogini Harremid, za sprawą sukcesów naszej Anrei, spogląda teraz na nią łaskawszym okiem. I oto w boski sposób przywraca jej prawdziwie kobiecą naturę.

– I jak ją o tym poinformowała, hę? – Krzywiąc się na twarzy, Pasjos złowrogo zgina w rękę bat. Ale niezrażony Gabu daje się ponieść i kontynuuje wylewanie z siebie potoku natchnionych słów:

– Otóż sen jest świętym czasem, kiedy raczą odwiedzać nas sami Bogowie i udzielają nam wówczas audiencji. I tak w sennych marach Bogini Harremid zdradza naszej gladiatrix, Anrei, jak wielką wspaniałością ją na powrót obdarza. – Grubas składa razem dłonie i nisko pochylając głowę, zupełnie jakby szykował się do modlitwy, podniośle dodaje: – Zaiste

święta audyencja udzielana przez samych wielkich Bogów to wspaniała rzecz dla każdego z nas...

– Audyencja... – mruczy pod nosem nadzorcy i zgrzytliwie zwraca się do mnie: – Właśnie przybył ktoś wielki, kto sporo w ciebie zainwestował i zamierza podjąć decyzję, czy po twojej ostatniej klęsce... – Pajos silnie akcentuje ostatni słowo – jest nadal sens w ciebie inwestować... Umyj się zatem, tylko porządnie i wróć do mnie w swoim najlepszym ubraniu, a udzielona ci zostanie... audyencja...

Czynię zgodnie ze wskazaniem nadzorcy i wkrótce zostaję poprowadzona do tej części szkoły Artusa, której jeszcze nigdy nie dane mi było oglądać. Przemierzam gustowne, zanurzone w bieli korytarze, co raz zdobione drewnem, a także egzotycznymi roślinami w wazonach. Potem otwierają się przede mną podwójne wrota, na których widnieje rzeźbienie człowieka z głową psa i ze skrzydłami. Następnie w towarzystwie Pajosa oraz uzbrojonych strażników wkraczam do obszernej, białej komnaty. Również i tu zauważam zdobne rośliny oraz drewniane elementy pośród dominującej bieli z wypolerowanego kamienia. Wszak jest tu jeszcze okazałych rozmiarów biurko i krzesła oraz odwrócona do mnie plecami postawna kobieca postać ubrana w wykwintną, jasną tunikę.

Dostrzegam, że kobieta karmi kawałkami owoców małpkę w klatce zawieszanej z sufitu i jest tą czynnością mocno pochłonięta, nie zwracając uwagi na przybyłe osoby. W końcu jednak odwraca się do nas i z tą chwilą następuje kilka rzeczy. Wszyscy w pomieszczeniu nisko kłaniają się tej osobie, nie wyłączając mnie samej. Lecz ponadto na jej twarzy odczytuję znajome oblicze. Jest to ta sama postać, która niegdyś chciała mnie kupić na targu niewolników, abym zabawiła w jej domu gości. Czy mnie rozpoznaje? Nie wiem, ale ogniskuje wzrok właśnie na mnie. Uśmiecha się w sprytny sposób i zasiada za biurkiem, po czym spogląda na leżące tam zapisane kartki papieru. Uważnie je studiuje, poprawiając zaczesane w wysoki kok jasne blond włosy, aż ponownie mi się przypatruje i podejrzliwie zapytuje Pajosa:

– Czy trenowana przez ciebie gladiatrix o dumnym imieniu Anrea, przykłada się do treningu?

– Wcale – odpowiada wzgardliwie nadzorca. Patrzą na niego zaskoczona, a wówczas padają kolejne pytania kobiety przeplatane kłamstwami Pajosa:

– Czy ta ruda, niewydarzona niewolnica czyni jakiegokolwiek postępy w nauce walki?

– Jest po prostu żałosna.

– Czy ta nędznej postury pieguska szanuje kodeks szkoły i wychwala jej właścicieli?

– Gardzi nimi, jak na dzikuskę przystało.

– Czy jest w niej cokolwiek, co miałoby mnie powstrzymać przed oddaniem jej na galery?

– Zaklinam się, że nic. – Pasjos szczyrzy zębiska z wielkim zadowoleniem. – To i tak będzie dla niej, dla tego czegoś, prawdziwy zaszczyt, pani – kończy dobitnie.

Wobec tej szybkiej i niespodziewanej wymiany zdań moje dłonie samoistnie zaciskają się w pięści. Nie jestem w stanie przemówić, nie mogę się bronić i nikt nie pyta mnie tu o zdanie. Mimo że jestem oklaskiwaną przez tłumy gladiatrix czuję się w tej chwili tak bardzo bezradna i słaba, kompletnie na łasce obcych mi osób. Nie jest to dobre odczucie. I naraz z usta eleganckiej kobiety padają do mnie nieoczekiwane w tej sytuacji, pobłażliwie wypowiedane słowa:

– Możesz już rozluźnić palce, Anreo, albowiem pełne jadu wyznania Pajaka Pajosa świadczą jedynie o tym, że przemawia przez niego zawiść. Ty zaś jesteś urodzoną wojowniczką. – W odpowiedzi nadzorca wbija wzrok w podłogę i nerwowo miętosi w dłoniach bat. Natomiast kobieta rezolutnie przemawia dalej: – Bogowie ci sprzyjają, moja ty gladiatrix... I nie są to li tylko puste słowa. Wiedz bowiem, że mój małżonek, Artus, pokłócił się z samym cesarzem, przez co popadł w niełaskę. Z kolei wymierzoną, cesarską karą, miała być śmierć na arenie wojowników Artusa, między innymi twoja śmierć, Anreo, nie inaczej... Ponieważ nikt nie przewidział tego, że w ostatnich igrzyskach wezmą udział wierni stronnicy cesarza, zakonnicy Miecza Białego Psa. A sens ich udziału w turnieju był tylko jeden. Oni nie mieli walczyć z gladiatorami. Mieli dokonać na arenie ich egzekucji i poświadczyć jednoznacznie o absolutnym

prymacie i dominacji cesarza. Lecz niezrozumiałym zrządzeniem losu zakonnik, który cię pokonał, zaniechał zatopienia w twym sercu miecza. Jakże więc wytłumaczyć to inaczej niż wolą Bogów...? – Kobieta zawiesza głós. Wznosi otwarte dłonie, uśmiechając się kpiąco i nieco drwiąc, kontynuuje: – To niewątpliwie oni, Bogowie, własnymi rękoma musieli powstrzymać wymierzony w ciebie oręż. A skoro tak... cena za oglądanie ciebie, boskiej Anrei, jeszcze wzrośnie... Nie da się bowiem zaprzeczyć, że do tej pory przyniosłaś mi już niemałe pieniądze, także rozstawiłaś szkołę Artusa. Nie ukrywam więc, że stałaś się cenna. Lecz tak naprawdę uzyskuje za twoją sprawą coś znacznie więcej. Mianowicie przyczyniasz się do podkopania autorytetu cesarza. Co w obecnych okolicznościach jest dla mnie wręcz bezcenne. Dlatego... spełnię wszystkie twoje prośby odnośnie nowego rynsztunku na arenę. Nawet więcej, otrzymasz nowych trenerów, również z zamorskich krain...

– Ależ... – Teraz to Pajos zaciska dłonie w pięści. Na co kobieta wznosi zdecydowanie otwartą dłoń i nadzorca w jednej chwili pochyła nisko głowę, pokorniejac. Wtedy kobieta mówi dalej:

– Od tej pory, Anreo, będziesz się potykać wyłącznie ze stronnikami cesarza i z góry zaznaczam, iż musisz się wykazać całkowitą bezwzględnością. Z tego powodu tu i teraz musisz mi poprzysięgnąć, że nigdy nie okażesz na arenie moim wrogo łaski i zawsze pozostaniesz wierna szkole Artusa. – Kobieta wysuwa zdobną w pierścienie dłoń, aż ta zatrzymuje się na krawędzi biurka.

Ja sama z całego tego potoku słów wyławiam tylko jedno. Mianowicie, że mam walczyć i zabijać, a w zamian za to spełnione zostaną moje życzenia, abym mogła czynić swoją powinność skuteczniej. Skoro tak, to się nie waham. Klękam na jedno kolano i całuję pierścień. Tę samą błyskotkę, na której niegdyś już składałam swoje usta i który to pocałunek zaprowadził mnie wprost na arenę. Czyżby więc to naprawdę było moje jedyne przeznaczenie, walka?

– Doskonale... – oznajmia z kolei kobieta i zwraca się do Pajosa: – Jako jedyny zostań ze mną. Muszę z tobą porozmawiać na kilka ważnych tematów. Albowiem czeka nas do rozstrzygnięcia naprawdę sporo nawarstwiających się, kluczowych spraw, a mój małżonek jest zbyt zajęty, aby się nimi osobiście zająć.

Wychodzę mocno oszołomiona na ćwiczebny plac, próbując zebrać myśli i raptem podchodzi do mnie złotowłosa Kalilla. Przygląda mi się dłuższy czas, jakby krytycznie aż na jej twarzy pojawia się lekki uśmiech i spokojnym głosem oznajmia:

– Razem z Exonem zdecydowaliśmy się ofiarować ci pomoc.

– „Jaką”? – gestykułuję zaciekawiona. Kalilla rozumie moje ruchy dłońmi i odpowiada:

– Obserwujemy cię. Posiadasz rozliczne talenty, ale masz za dużo gorącej, młodzieńczej krwi. Innym razem z kolei jesteś zbyt pasywna.

– „Nie rozumiem”.

– Aby być skuteczniejszą w walce, musisz się stać bardziej zrównoważona. Dlatego ofiarujemy ci Kan Li, tajemną naukę ognia oraz wody.

– „Nie słyszałam o tej nauce”.

– Ja nie uczyłam się języka gestów, a mimo tego potrafię cię rozumieć. To właśnie to, co znaczy się dostosować. Dostosować do danej sytuacji zawsze i wszędzie, w każdych okolicznościach. Aby to uzyskać, należy zrównoważyć w swoim wnętrzu podstawowe, przeciwstawne esencje.

– „Ale to Laris, gdy jeszcze żył... pokonał na arenie Exona” – zauważam.

– To błędne myślenie.

– „Dlaczego”?

– Ponieważ tak naprawdę to Exon zwyciężył. On bowiem ciągle żyje, a albinosa zabrała śmierć.

– „Chyba rozumiem” – czynię powolny gest i zaraz pochylam głowę, dodając: – „To będzie zaszczyt przyjąć wspomnianą naukę. Jestem gotowa. Co mogę zaofiarować w zamian za to”?

– Tak, jest coś, co być może będziesz mogła uczynić, ale jeszcze nie teraz. Znaczysz coraz więcej, więc pragniemy mieć cię po swojej stronie. Bogowie bawią się nami i nikt nie jest w stanie przewidzieć, co się wydarzy. Ale gdy przyjdzie czas i sposobność, być może otrzymasz okazję spłaty długu wdzięczności.

– „Zgadzam się”.

– Bądź pozdrowiona. – Kalilla odchodzi z nieodzowną jej gracją ćwiczyć w samotności, a ja idę w jej ślady. Najpierw na pełnym biegu okrążam kilka razy plac ćwiczeń. Następnie wyrównuję oddech i chwytam dwa przytępione miecze. Podchodzę do drewnianego manekina i zawzięcie okładam go bronią, walcząc z wyimaginowanym przeciwnikiem. Później podciągam się i wspinam na rękach, aby za jakiś czas znowu walczyć z udziałem broni w dłoniach. Na koniec zaś, gdy już zapada zmierzch i pozostaję na placu sama, podchodzi do mnie Exon, by wyjawić mi pierwsze tajemnice przemiany ognia i wody oraz wskazówki, w jaki sposób powinnam ćwiczyć.

Wkrótce jestem odprowadzona do swojej celi, którą obecnie dzielę z Avesem. Kiedy mnie widzi, wstaje z posłania i mocno mnie przytula, całując w usta. Sama stoję sztywno pełna rezerwy i nie wykazuję emocji. Z kolei mój obecny partner powraca na posłanie, rozbiera się do naga i klęka, po czym intonuje świętą modlitwę do Bogini Harremid.

Przyglądam mu się dłuższą chwilę, po czym znajduję dla siebie miejsce w przeciwnym rogu pomieszczenia i tam ćwiczę walkę wręcz, chwyt, których swego czasu nauczył mnie Laris. Z każdym wymachem rąk i nóg myślę, że dzielę teraz celę z zabójcą albinosa, a niebawem zapewne ponownie będę dzielić ciało. I tak już pozostanie, dopóki na arenie nie rozłączy nas śmierć.

I rzeczywiście w pewnym momencie Aves podchodzi do mnie, chwytając za dłoń i uśmiechając się, ciągnie w kierunku posłania. Tam kładzie się na plecach i wskazuje gestem dłoni, abym zdjęła ubranie. Nie wzbraniam się. Nie pragnę cielesnego zbliżenia, ale też nie ma we mnie lęku. Aves, odkąd go poznaję, jest mi w jakiś sposób naprawdę bliski, a nawet czuję do niego coś więcej. Jednak nadal mam w pamięci to, co wydarzyło się na arenie pomiędzy nim, a Larisem. I tamto wydarzenie ciągle kładzie się między nami cieniem.

Tymczasem siadam na mężczyźnie i składam dłonie na jego klatce piersiowej. On delikatnie gładzi moje piersi, po czym obejmuje talię i zaraz poddajemy się lekkim rytmem miłości. Potem kochamy się szybciej.

Aves pojękuje z rozkoszy, ja sama zaś nie czuję niczego szczególnego, jedynie to, jakbym spełniała swoją powinność.

Aż kiedy odchyłam głowę do tyłu i rozpuszczone rude włosy łaskoczą moje własne pośladki, a na nich dłonie mężczyzny, moje oczy jaśnieją poświatą. I już nie jestem duchem w mym ciele. Ten ponownie wybiera się na wędrówkę i tym razem zastyga przy celi Exona oraz Kalilli. Przyglądam im się z zainteresowaniem.

Tak, oni także się kochają, ale czynią to inaczej. Siedzą połączeni w pozycji lotosu i prawie się nie poruszają, wydając wręcz jedną istotą. Spoglądają sobie głęboko w oczy, jakby nawzajem hipnotyzując się wzrokiem i z lekka gładzą opuszkami palców po plecach.

Ten widok tchnie we mnie spokój i przypomina o nauce ognia oraz wody. Dlatego powracam do swej fizycznej postaci i koncentruję się na męskim ciele pode mną, które symbolizuje ogień. Sama, jako kobieta, reprezentuję esencję wody. Natomiast wspólnie połączeni miłością możemy harmonizować energię, wprowadzając w nią równowagę i pokój.

Kołysząc się miarowo, zatapiam się we wspólnej miłości, niczym w transie i spokojnie czekam na spełnienie Avesa. Gdy naraz kątem oka dostrzegam przyglądającego się nam zza krat Pajosa. Ten szczyrzy lubieżnie zęby i drapie się wulgarnie po kroczu. Aż naraz odchodzi.

Nie mija wiele czasu, a z głębi korytarza słyszę pełne cierpienia krzyki Adory. Wtedy zastygam w bezruchu, ponieważ raptem tracę ochotę na dalszą miłość. Lecz bynajmniej nie mężczyzna pode mną. On sam od żądy dosłownie już płonie, wręcz czuję, jak spala go jego wewnętrzny ogień. Spogląda na mnie zniecierpliwiony, a wobec braku mojej reakcji spycha mnie z siebie. Ustawia mnie na czworakach i klęka za moimi pośladkami, pozwalając mi się w tej pozycji chwycić za kraty. Następnie, niemal z agresją, kontynuuje cielesną miłość, głośno i coraz szybciej powarkując.

Aż zastyga w ekstazie, a ja przyjmuję w siebie męską esencję. Koncentruję się na punkcie powyżej kości łonowej, gdzie czuję naraz wibrującą energię, mieszające się ze sobą ciepło oraz zimno. Siłą umysłu sprowadzam ten strumień na dół i podciągam kręgosłupem przez plecy do głowy. Wtedy odczuwam w umyśle jakby zalewającą mnie ożywczą, morską bryzę. Zaraz opada ona i zostaje wchłonięta przez moje ciało.

Ogrzewa moje zbyt chłodne serce, a studzi gorącą skórę. W efekcie, odrywając ręce od krat, odczuwam równowagę. Natomiast mój kochanek pada zmęczony na posłanie i głośno dyszy. Uśmiecha się do mnie odprężony i lekko przeczesuje moje włosy. Jest spełniony, a ja, zgodnie z nauką Exona oraz Kalilli, uzyskuję doznanie harmonii. Za sprawą wzajemnego zbliżenia każdy z nas otrzymuje to, czego oczekiwał. Choć moje właśnie ogrzane serce sprawia, że odwzajemniam lekki uśmiech. I samej sobie się dziwiąc, całuję Avesa w usta, aby zaraz wtulić się w jego męskie ciało i w takiej błogości zasnąć.



VIII. SŁAWA

W południe, podczas pory jedyne go posiłku, tradycyjnie zasiadam za ławą. Jem rozgotowany jęczmień z warzywami oraz dodatkiem mięsa i popijając różany napój Harremid, zwracam się gestami dłoni do Gabu:

– „Opowiedz mi coś więcej o pięciu władztwach kontynentu Pendorum”.

– Chcesz usłyszeć opowieść o... pięciu grzechach Pendorum...? – zapytuje niepewnie tłuścioch i rękawem mokrym od zupy przylizuje sobie na bok opadającą na czoło grzywkę.

– Grzechów jest dziesięć – wtrąca się, o dziwo z powagą, Reval. I zaraz, chichocząc, spogląda na Virię, po czym dodaje: – Zaś my popełniliśmy już chyba wszystkie!

– Ha, policzmy! – podchwytuje ochoczo kobieta rodem z konfederacji Favere i zaczyna wymieniać: – Łakomstwo, a jakże! – Wkłada sobie do ust nad wyraz dużą porcję owsianki i z pełną buzią kontynuuje: – Rozpusta... – Puszczą oko Ravelowi. – Chciwość. – Pokazuje na palcu srebrną obrączkę. – Gniew! – krzyczy, uderzając pięścią w stół. – Zazdrość... – posykuje, tym razem patrząc podejrzliwie na swego partnera. – Pycha. – Zadziera do góry podbródek i spogląda niemal w słońce. – Smutek... – Udaje, że ociera z oka łzę. – Mściwość. – Uderza się gwałtownie w rękę, imitując zabicie insekta pijącego jej krew. – Zdrada... – Nieco przysuwa się do Gabu i namiętnie całuje go w nalany, różowy policzek. – Kłamstwo – kończy złowrogo, a jej ostatnie słowo, jakby zawisa w powietrzu i wówczas zdecydowanie odzywa się Ravel:

– Nie, my nie kłamiemy. – Obejmuje Virię. – Więc spośród wymienionych dziesięciu grzechów popełniliśmy jedynie... dziewięć, ha! – Na powrót zakwita dobrym humorem, podobnie jak jego partnerka, która stuka go łokciem w żebra i zaraz oboje unoszą do toastu swoje kubki. Kobieta z napojem Harremid, a mężczyzna z czystą wodą.

Sama słucham wypowiedzi Viri z prawdziwym zainteresowaniem. Choć zaraz pragnę powrócić do pierwotnego tematu i tym razem kreślę stosowne słowa łyżką na piasku.

– Aaa... – Na widok napisu Gabu ociera brodę moką od warzywnego bulionu i mówi: – Interesuje cię pięć władztw Pendorum. Trzeba tak było od razu. – Na te rezolutnie wypowiedziane słowa spoglądam na niego z wymownym, krzywym uśmiechem, a on rozpoczyna skrupulatne wyjaśnienia: – Nam samym, jak wiesz, przychodzi żyć w niewoli w cesarstwie Terraticos. Ziemie tego władztwa rozciągają się na wschodzie kontynentu Pendorum. Są w większości równinne i żyzne, naprawdę bogate, a ich uprawą zajmują się głównie niewolnicy. Wojsko cesarstwa słynie z dyscypliny, a także jednostek wyposażonych w oszczepy oraz kusze, jak również wybornych mieczników. Z kolei na południu Pendorum położony jest chanat Precis. Powszechnie znany jest on z wielkich połaci jałowych pustyń i dla odmiany niezwykle bogatych oaz, gdzie zakładane są miasta oraz wioski. Wśród doborowych wojowników chanatu spotyka się różnorodne zastępy lekkiej konnicy, w tym wspaniałych łuczników konnych. Dalej na zachodzie rozciąga się konfederacja Favers. Zielone łąki i lasy zajmują różnorodne plemiona, które łączą się na czas wojny. Zaś w walce posługują się głównie toporami oraz tarczami, a bardzo oszczędnie korzystają z wierzchowców. I tak docieramy na północ, gdzie leży wieczny śnieg. W tych rejonach znajduje się księstwo Razzinal. Zamieszkuje tam niezbyt nieliczny, ale bitny lud. Żyje on głównie z hodowli reniferów, ale także owiec i kóz. Wśród wojowników znajdziemy potężną konnicę uzbrojoną w miecze i kopie, ale też wybornych pieszych łuczników. Natomiast w samym sercu kontynentu umiejscowione są ziemie królestwa Saladior. Król tego władztwa ma pod bronią wybitnie silną, ciężką jazdę, jak również wybornych, opancerzonych halabardników. Cały obszar królestwa jest niezwykle żyzny i z jego ziem można zbierać plony przez cały rok. To najbogatsze ze wszystkich władztw, które ze względu na swój dostatek, jak i położenie najczęściej musi toczyć krwawe wojny z sąsiadami. I to chyba z grubsza tyle... Natomiast jeżeli interesują cię detale, to...

– Są jeszcze Allearzy – zauważa niby obojętnie Ravel.

– Tak, są i Allearzy... – zgadza się bez przekonania Gabu. – Podobno mają nawet władcę i gdzieś w swojej niedostępnej puszczy zamek. Ale nikt nie udokumentował tego jednoznacznie w źródłach pisanych. A skoro tak... – Rozkłada bezradnie potężna ramiona.

– „Opowiedz, o Allearach” – piszę łyżką na piasku.

– Cóż... – Gabu wylizuje dokładnie swoją miskę, po czym spogląda łapczywie do wnętrza mojej, gdzie został jeszcze kawałek mięsa z warzywami. Kiwam na zgodę głową, odczytując intencję tłściocha. Ten chwyta resztę mojej porcji i pomiędzy kolejnymi kęsami, tłumaczy: – Do Allearów należał niegdyś cały kontynent Pendorum, zanim zjawili się tu obcy przybysze zza mór, którzy wypierając rodzimy lud, założyli własne pięć władztw, każde z odrębną kulturą. Resztki Allearów znalazły wówczas schronienie daleko na wschodzie, na pograniczu z cesarstwem Terraticos i królestwem Saladior. Zajęli oni bardzo niedostępny górzysty oraz zalesiony teren i mimo podejmowanych tam licznych krucjat, także przez zakony, aż do tej pory nie dali się stamtąd wyprzeć.

– Powiedz dlaczego – rzuca w powietrze Viria.

– Taaak... – Gabu, który skończył już posiłek, zarówno swój, jak i resztki pozostałych biesiadników, gładzi się w zamyśleniu po mocno wypukłym brzuszysku. – Ich łucznicy... – mówi jakby z ostrożnością.

– To prawdziwi czempioni, a ich niezwykła broń jest najdoskonalsza na całym kontynencie Pendorum – oznajmia tym razem z pewnym podziwem Ravel.

– Otóż to – potwierdza Gabu. – Ten eksterminowany lud nie miał wyboru. W pewnym momencie musiał walczyć dosłownie ze wszystkimi i na każdym froncie. Tak oto wykształcił niepokonanych, choć już bardzo nielicznych wojowników.

– Prawda to czy fałsz? – Viria puszcza oko do Gabu. Ten spogląda na nią krzywo i wyjaśnia:

– Od pewnego czasu chodzą plotki, że gdzieś w wielkiej puszczy Allearzy gromadzą nieprzeliczoną armię, która najedzie kontynent Pendorum, aby rozpętać na nim wyzwolenczą wojnę...

– Prawda to czy fałsz? – Tym razem słowa partnerki powtarza Ravel.

– Jak powiedziałam, to plotki... – Grubas kolejny już raz rozkłada wymownie olbrzymie ramiona.

– „Jak mogę zdobyć ich broń”? – zapytuję Gabu.

– Cóż... We władztwach Pendorum zdobycza broń Allearów jest bardzo nieliczna i niezwykle droga. Zaś do nich samych raczej bym się nie zwracał z prośbą zakupu... Ponieważ obcych przybyszy zwykle witają...

– Przeszywając ich swoją doskonałą strzałą... – kwituje Viria, wywracając oczy do góry.

– Otóż to... – przytakuje kucharz.

– „Dziękuję za głośno wypowiedziane słowa” – piszę i odkładam łyżkę na stół. Następnie udaję się do czekającego już na mnie Avesa i strażników. Razem Kalillą oraz Exonem właśnie ruszamy na objazdowe turne po całym cesarstwie Terraticos. Na rozlicznych, pomniejszych arenach będziemy toczyć krwawe boje w imię szkoły Artusa. Choć jak zapowiedziała żona wspomnianego mężczyzny, obecnie będziemy walczyć także w imię jego rodu i przeciw cesarskim stronnikom.

*

Miasto Rakus położone jest w malowniczej zatoczce nad brzegiem morza, gdzie od wielu pokoleń z cesarskiego nadania włada ród Widiuszów. I nie inaczej tylko przybywamy tutaj jedynie po to, aby utopić we krwi wszystko, co zostanie przeciw nam wypuszczone na arenę.

Trwa przepiękny złocisty dzień u schyłku lata. Powietrze jest ciepłe, suche, a w przestrzeni rozbrzmiewają wiwaty tłumu na widowni. Stoję w szeregu obok Avesa, Kalilli oraz Exona i wszyscy pozdrawiamy szkołę Artusa, wznosząc wysoko oręż, kolejno cztery krótkie ostrza, długi miecz i włócznię. Ponadto ja sama demonstruję na sobie nowy pancerz. Moje wysokie skórzane buty zostają dodatkowo okute metalem, abym odpowiednio mogła wykorzystać siłę nóg w wymierzaniu zabójczych kopniaków – sztuce, w której szkolił mnie Laris. Uda mam odsłonięte, a lewe z nich prezentuje się z szeregiem widniejących na nim wytatuowanych czaszek symbolizujących pokonanych wrogów, by wzbudzać podziw i trwogę. Sztywny gorset posiadam obecnie wzmocniony żelaznymi klamrami, a kołczan ze strzałami przytwierdzony do pasa przy biodrach. Ponadto wzdłuż żeber chroni mnie siatka z mocnych włókien. Za to moje

ramiona są silnie opancerzone i osłonięte kilkoma warstwami nachodzących na siebie metalowych naramienników w kolorze złota. Z kolei włosy nieodzownie przykrywam długą, częściowo odwiniętą ciemną chustą ozdobioną we wzory rodem z mojej rodzimej wioski.

W takim oto rynsztunku chowam krótkie miecze do pochew przy pasie i zdejmuję z pleców łuk oraz do kompletu dobywam strzałę. W tym czasie moi kompani rozchodzą się na boki, a ja krocę z wolna samotnie do przodu ku wypuszczonej na nas sforze wściekłych psów.

I naraz posyłam strzałę za strzałą wprost w czerwone i czarne, zwierzęce ślepie. Następnie przy wtórze zajadłych szczeknięć, warknięć i żalosnych pisków, dobywam miecze i przechodzę płynnie do walki białą bronią. Atakuję zręcznie ostrzami, czyniąc na przemian uniki. W ten sposób większość bestii rozcinam już w locie, kiedy rzucają się na mnie z rozwartymi paszczami. Gdy zaś osacza mnie większa liczba przeciwników, w sukurs idą mi błyskawiczne i silne kopniaki, którymi trzymam rozwścieczone zwierzęta na dystans. Psy padają martwe i konające na piach areny jeden za drugim, a ja nie przestaję zabijać. Aż w końcu nie ma przy mnie już żadnych zdolnych do walki przeciwników i rozglądam się wokół, po czym ponownie uzbrajam w łuk. Strzała za strzałą przeszywam tułowia pozostałych na arenie psów, które walczą jeszcze z trójką moich kompanów.

Po chwili jest już po wszystkich, wygrana jest nasza! Potem na arenę wkraczają kolejno rozjuszony byk, lwy i tygrysy, ale żadne z tych dzikich stworzeń nie są nas w stanie powstrzymać. We czwórkę zabijamy zręcznie wszystkie zwierzęta, rozsławiając samych siebie i szkołę Artusa. Tak, w mieście rodu Widiuszów, cesarskich stronników z dziada pradziada, oszalały tłum skanduje właśnie nasze imiona oraz imię naszego pana. To my zwyciężamy! My, gladiatorzy oraz gladiatrix ze szkoły Artusa!

Zaś po zwycięskiej walce tradycyjnie odprowadzani jesteśmy do łaźni, aby zmyć z siebie trudy walki, jak piach, krew i pot. Kalilla z Exonem zanurzają się nadzy w ciepłym basenie. Natomiast Aves porywa się do mnie i silnie przyciska do ściany. Gwałtownie całuje mnie po szyi i w usta, sprawiając mi tym przyjemność. Sama rozbieram się w całości i pomagam zdjąć ubranie mężczyźnie, po czym oddaję mu się na stojąco oparta o ciepłą ścianę łaźni, zupełnie jak niegdyś za naszym pierwszym razem. Aves ciężko

dyszy, dążąc do szybkiego spełnienia. Ja natomiast czuję się jak jeszcze nigdy zwycięska, spełniona i doceniona. Odczuwam cielesną rozkosz płynącą ze zbliżenia, a w umyśle dumę, powagę i spokój.

*

Kolejne miasto stronników cesarza i następna arena, a na niej nowi wrogowie. Tym razem to tłum uzbrojonych jeńców z ostatniej wojny z królestwem Saladior. Wystawiony zostaje przeciw nam oddział opancerzonych halabardników, a ja pozbawiona zostaję swego łuku. Jednak nie przeszkadza mi to, aby samotnie wysunąć się naprzód moich kompanów i atakować. Zręcznie pochylam się przed wymierzonym we mnie lasem drzewcowej broni, po czym turlam po piasku do właścicieli długich halabard. Pierwsze ciosy zadaję z pozycji leżącej, raniąc dotkliwie męskie łydki, uda i krocza. Potem wstaję już pomiędzy przeciwnikami i błyskawicznie szatkuję ich ciała, gdzie świeże truchła robią mi za tarcze przeciw jeszcze żywym halabardnikom.

Tych ostatnich jest na placu boju coraz mniej także za sprawą Avesa. Walczy on w moim stylu taką samą bronią, jak ja i również zadaje szybkie, krótkie i celne ciosy ostrzami. Nieco z tyłu są Kalilla oraz Exxon, którzy odciągają innych halabardników na boki i pokonują ich w honorowej walce jeden na jeden.

Aż naraz ostatni z około dwudziestu żołnierzy Saladior pada martwy na piasek, a ich świeże trupy zaściełają znaczną część areny. Na jej zakrwawiony piach, wśród skandującego nasze imiona tłumy, padają również wieńce i kwiaty. Jeden z barwnych wianków chwyta w locie Aves i ofiarowuje mi na kolanach ku uciechu widzów. Przyjmuję podarek i wkładam sobie na głowę, a wtedy mężczyzna chwyta mnie za kolana i podnosi wysoko. Kroczy tak ze mną pośród żołnierskich trupów, okręcając się dookoła własnej osi. A ja pozdrawiam widownię z uniesionymi wysoko mieczami i syczę uszy ogłuszającym aplauzem:

– Anrea!

– Aves!

– Anrea!

Idąc korytarzem, zanim doprowadzeni zostaniemy do łaźni, w pewnej chwili się zatrzymuję i popycham Avesa na ścianę. Obecnie przejmuję

inicjatywę i sama go namiętnie całuję. Tak, wciąż gra w moich żyłach bitewny zgiełk. Czuję w sobie ten gorący ogień i tym razem bynajmniej nie chcę równowagi Kan Li, a wręcz przeciwnie, ten żar pochłania mnie i pragnę go jeszcze podsyć.

Mój partner w lot odczytuje moje intencje i czyni gest do pary strażników, aby się odwrócili. Oni robią niewybredne uśmiechy, ale idą za tym wskazaniem, a wtedy Aves zamaszystym ruchem zrywa mi przepaskę biodrową. Przyciska mnie mocno klatką piersiową do ściany i przylega do moich pleców oraz pośladków. A zaraz od jego energicznych ruchów biodrami zostaję niemal unoszona do góry, gdy co raz pięty odrywają mi się od podłoża. Pragnę mego mężczyzny w sobie jeszcze więcej i mocniej. Wpijam rozczapierzone palce w kostropatą ścianę korytarza i oddaję się miłosnemu uniesieniu bez reszty.

*

Na arenie w mieście Kaz przychodzi nam się zmierzyć w walce z czempionami z obcych szkół. Czterech na czterech, po dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Kiedy nasi przeciwnicy wznoszą okrzyki ku chwale cesarza i ofiarowują mu swoje życie, my czynimy to samo w imię Artusa. A już za chwilę walczymy.

Naprzeciw mnie jest kobieta w lekkiej zbroi z metalowym napierśnikiem i z wysokim, odkrytym hełmem, z którego sterczą wielobarwne pióra. Za broń służy jej sieć oraz harpun z ości tuńczyka. Po jej krokach i postawie widzę, że czuje się pewnie, ale ja także, ponieważ stosowne manewry przeciw jej orężu ćwiczyłam swego czasu z Ravelem.

Staję w pełnej gotowości oraz w pewnym dystansie i zgodnie z oczekiwaniami moja przeciwniczka próbuje zarzucić na mnie sieć. Za każdym razem schodzę z linii ataku, cofając się, aż w pewnym momencie szybko wyciągam przed siebie miecz. Dostaję się on pomiędzy drobne otwory sieci, a wtedy gwałtownie szarpię bronią w swoją stronę. Obca gladiatrix zostaje niespodziewanie dla niej pociągnięta w moim kierunku i zanim się orientuje, nadziewam jej brzuch na moje drugie ostrze. Przytrzymuję ją dłuży czas, dając jej skonać w pozycji pionowej i zalewam się od piersi w dół jej czerwoną krwią. Potem odchylam się i

kopię ją z pogardą w klatkę piersiową. W efekcie zsuwa się z mego oręza i opada bezwładnie na piach.

Patrzę po arenie i widzę, że Aves pokonuje wrogiego włócznika, na którego plecach kreśli mieczem jakieś znaki. Podchodzę do niego i odczytuję: „za Artusa, dla Anrei”. Czuję prawdziwą dumę, a jednocześnie rejestruję wzrokiem, że Exon zyskuje przewagę nad swoim rywalem również dzierżącym długi miecz. Lecz dla odmiany Kalilla jest ranna w udo i z trudem osłania się włócznią przed kobietą uzbrojoną tak samo, jak i ja w dwa krótkie ostrza.

Nie czekam na wynik obserwowanego starcia, tylko rzucam się pędem na odsiecz. A gdy jestem tuż przed wrogą gladiatrix, ta niespodziewanie, zupełnie jakby miała oczy z tyłu głowy, się odwraca i zamasyście uderza w moim kierunku dwoma ostrzami. Jedno z nich dochodzi do mojego ramienia i ze zgrzytem prześlizguje się po opancerzeniu. Natomiast drugie przejeżdża mi po żebrach osłanianych siatką, gdzie zostawia krwawą szramę.

Gwałtownie się zatrzymuję i nieco oszołomiona próbuję natychmiast kontratakować. Ale przeciwniczka, jakby odgadywała moje ruchy. Cofa się, gdy robię wypad, a kiedy sama chcę powrócić do pozycji obronnej, ona atakuje.

Przy kolejnej takiej próbie jednym mieczem zbijam jej błyskawiczny atak, ale końcówka drugiego, wrogiego ostrza przebija mój skórzany pancerz i zagłębia się w moim ciele tuż koło pępka. Zaskoczona zamieram. Wypuszczam z ręki miecz i zastygam z drugim. Dostrzegam błysk w zielonych oczach obcej gladiatrix i to, że szykuje na mnie decydujący atak, którego zraniona nie zdołam odeprzeć. I nagle staje ona niczym sparaliżowana, a pomiędzy jej piersiami dostrzegam wystający grot. Zaraz potem moja niedoszła pogromczyni pada na kolana, a następnie twarzą na piach.

Sama oddycham z ulgą i łapię się za ranę w brzuchu, starając się oszacować jej głębokość. Krew spływa obficie pomiędzy moimi palcami, ale częściowo jestem w stanie powstrzymać uciskiem krwotok, a przede wszystkim mogę ustać na nogach. To dobry znak.

Uśmiecham się krzywo do mojej wybawicielki, lżej zranionej Kalilli, ale napotykam jej chłodny, karcący wzrok. Kobieta nic nie mówi ani nie czyni żadnych gestów. Lecz jej surowa postawa zdaje się wyrażać do mnie jasny przekaz: „tracisz nad sobą panowanie, gdzie twoja równowaga”?

Skłaniam nisko głowę, przyznając w duchu rację skierowanej do mnie pretensji. Ale ostatnio poczułam się niemal niczym niepokonana. A także odczułam coś innego, wyjątkowego. I to coś nie pozwalało mi się należycie skoncentrować, w tym na równowadze i praktyce ognia oraz wody. Ponieważ podczas miłości z Avsem jest teraz inaczej, wręcz wspaniale. Pożądam jej niemal bezgranicznie, przysłania mi ona inne rzeczy i pragnę jej jedynie dla niej samej.

Myślę o tym i naraz wspomniany mężczyzna jest tuż przy mnie. Spogląda z przestrachem na moją ranę i tuli mocno do siebie.

– Wygraliśmy – szepce. – Exon także pokonał swego wroga. Ale ty, proszę... nie rób mi tego więcej... – Składa dłoń na moje ręce, gdzie ściskam ranę. Kiwam twierdząco głową, a niebawem, w łaźni, Aves sam przemywa mi skaleczenie, po czym umiejętnie je zszywa i bandażuje.

Tak oto niektórzy z nas poranieni, ale w glorii zwycięstwa i chwały, wracamy żywi pomiędzy mury szkoły Artusa. Sama zaś każdą noc spędzam w czułych objęciach Avesa. Ze względu na mój stan, gdzie muszę się oszczędzać podczas powracania do zdrowia, kochamy się nad wyraz czule i delikatnie. Odnoszę wrażenie, że jeszcze bardziej nas to do siebie zbliża. I również daje mi odnaleźć w cielesnej miłości inną, subtelną, lecz ze wszech miar wielką rozkosz.

Natomiast co do praktyki ognia oraz wody to wznawiam ją, ale jedynie w myślach i w oparciu o esencję własnego ciała. Będąc z Avsem, nie mogę się na niej należycie skoncentrować. Taki obecnie zawieram ze sobą kompromis.



IX. RAZEM CZY OSOBNO KU CHWALE BOGINI HARREMID

Rana w moim ciele szybko się zasklepia i pozostaje mi jedynie niewielka blizna. Nadchodzi okres kolejnych ciężkich treningów, podczas których daję z siebie więcej niż kiedykolwiek. Uświadamiam sobie bowiem, że na ten czas walczę już nie tylko o własne przeżycie. Oto na arenie prowadzę także batalię o istnienie moich przyjaciół, a nawet o swoje nowe uczucie, miłość.

W świetle dnia wspominam Avesa z ciepłem na sercu i spoglądam na niego, każdorazowo się uśmiechając. Zaś kiedy nadchodzi ciemna noc i kończę ćwiczenia na placu, zamiast wspomnień mam tego mężczyznę w swoich objęciach, jak również w sobie, gdy kochamy się razem.

Ten niezapomniany czas, gdy leżymy spleceni w miłosnym uścisku, staje się dla mnie swego rodzaju wspaniałą nagrodą po całodziennym trudzie. Przyzwyczajam się do tego i nie wiem, czy obecnie potrafiłabym się bez tego obyć. Oprócz bliskości męskiego ciała czuję po prostu przy sobie drogą mi osobę, z którą coraz silniej wiążę uczucia oraz mą przyszłość.

„Moja Anrea, jedyna” – to uzależniające, co noc wypowiedane ku mnie słowa, bez których nie wyobrażam sobie już prawie istnienia. Tym bardziej pragnę żyć, aby takich wyznań z wyjątkowych dla mnie męskich ust ustawicznie doświadczać. I dlatego niestrudzenie ćwiczę się w sztukach walki – na arenie jedynej przepustce do przetrwania.

– Szybciej! – krzyczy do mnie jeden z moich nowych zamorskich nauczycieli i trzaska batem o ziemię. Czynię nawrót i jak szalona biegnę zygzakiem pomiędzy wbitymi w ziemię palami, jednocześnie uderzając w nie parą trzymanyh w rękach mieczy. – Szybciej! – Więc jeszcze przyspieszam, choć w płucach nie mam już tchu i palą mnie wręcz żywym

ogniem. – Zmiana! – Na tę komendę chowam do pochew miecze i nie przestając biec, zdejmuję z pleców łuk, po czym posyłam strzały do odleglejszych celów. – Rana! – Gwałtownie padam i walczę oraz przemieszczam się, czołgając i symulując bezwładną, prawą nogę. – Oczy! – Natychmiast zamykam powieki i wytężam wszystkie inne zmysły poza wzrokiem, a w powietrzu znowu słyszę smaganie bicia. I jestem wdzięczna memu surowemu nauczycielowi za tak bezwzględny trening, bo jego nauka może pomóc ocalić mi kiedyś życie.

Tymczasem zostaję samotnie wysłana do odległego miasta na turniej. Tym razem odbędą się krwawe igrzyska ku czci Bogini miłości i walki Harremid, skrzydlatej kobiety z głową rogatej łani. Niestety Aves nie może mi towarzyszyć, ponieważ podczas jednego z treningów odnosi silną kontuzję ramienia. On również dekoncentruje się na ćwiczebnym placu, co raz zerkając na mnie i w pewien sposób staje się tego ofiarą, nie przyjmując w odpowiednim momencie gardy podczas treningu. I tym sposobem niespodziewanie mam otrzymać na okres turnieju zupełnie nowego, wspierającego mnie w walce partnera. Nie mam wyboru, bo jakkolwiek jestem już słynną w cesarstwie Terraticos gladiatrix, to nikt przecież nie pyta o zgodę niewolnicy, którą też przecież jestem.

Tą drogą zostaję samotnie odeskortowana przez zbrojny oddział do celi w podziemiach nowego miasta, którego nazwę poznaawszy, z miejsca zapominam. Moje myśli są bowiem cały czas głównie przy Avesie, to jego osoba nieustannie zaprzęta mi głowę. Uświadamiam sobie, iż najzwyczajniej w świecie trawi mnie za nim kobieca tęsknota. Pragnęłabym, aby był przy mnie. Choć z drugiej strony pocieszam się myślą, że sam nie musi narażać życia w nadchodzących walkach. To pewna ulga, która pozwala mi w miarę spokojnie zasnąć w pobliżu zupełnie obcego mężczyzny, pochodzącego z Terraticos gladiatora o imieniu Arramiros.

Wiem o nim tylko tyle, iż takie właśnie nosi imię i należy do innej szkoły, której właściciel, podobnie jak Artus, ponoć nie jest stronnikiem cesarza. Ponadto podczas ostatniego turnieju miała polec partnerka Arramirosa. On sam z kolei jest wysokim, dość szczupłym i naprawdę przystojnym mężczyzną. Niewątpliwie w swoim wyglądzie ma w sobie coś z Avesa. Różnią ich przede wszystkim włosy, w przypadku mojego

tymczasowego partnera bardzo krótko obcięte przy samej czaszce. Poza tym twarz ma bardziej owalną, a w swoich szarych oczach wydaje się, jakby skrywał jakąś tajemnicę. Do tego podobnie jak ja oraz Aves walczy on za pomocą dwóch krótkich mieczy.

Od naszego spotkania, już w celi, uśmiecha się do mnie przyjaźnie i zagaduje na różne tematy, ale nie wyrażam tym żadnego zainteresowania. On zaś niezrażony stwierdza, iż wie, że jestem niemową i bynajmniej mu to nie przeszkadza. Oświadcza, że sam może mówić nawet za dwoje oraz wystarczy mu, gdy będę go słuchała.

Więc słucham i do mych uszu płyną długie opisy moich walk, jak również ubrane w kwieciste słowa entuzjastyczne reakcje publiczności na pokonanych przeze mnie wrogów. Arramiros prawi mi też o tym, co się o mnie mówi na salonach arystokracji oraz na zwykłych, miejskich straganach. Podobno słyhać tam głównie głosy: „oto odrodzona zostaje mityczna Anrea i przybywa do Pendorum z odległego świata. Bogowie znów szykują bicz na krnąbrnych Allearów, wśród których wzrasta na wodza męski, bluźnierczy wybraniec”.

Szybko jest dla mnie jasne, czego staję się świadkiem. Arramiros koloryzuje i jak tylko umie mi schlebia oraz ze wszech miar raczy komplementami. Pragnęłabym powiedzieć, że puszczam jego słowa mimo uszu. Jednak słuchając o swej wielkości, w nad wyraz dużej błogości zasypiam. Pochwalne słowa otulają mnie i kołyszają do głębokiego snu.

Aż przybywa nagi, złocisty świt, który witam w celi przez górne, zakratowane okna. Świetlisty brzask sam wydaje się otwierać moje powieki, wystawiając me oczy na jasne promienie dnia. Ale niespodziewanie dostrzegam tuż przed sobą siedzącego mężczyznę, Arramirosa. Uśmiecha się do mnie i gładzi z uczuciem po ramieniu. W odpowiedzi odsuwam się aż nazbyt gwałtownie, zupełnie jakbym uciekała przed jadowitym skorpionem. Zaś wypowiedane do mnie co raz słowa: „spokojnie” wcale nie sprawiają, że taką się staję, wręcz przeciwnie. Dlatego uzbrajam się w czujność i uważna zasiadam w dalszej odległości pod ścianą.

Niezrażony mężczyzna wzrusza tylko ramionami i umiejętnie zaczyna nucić jakąś pieśń. Mimowolnie ozdabiam swą piegowatą twarz uśmiechem,

kiedy dociera do mnie, że słyszę wyśpiewywaną opowieść o przeszłych i przyszłych czynach wielkiej Anrei.

Natomiast już w południe stoimy na piachu areny, aby stoczyć pierwszą z zapowiadanych trzech walk, które mają się odbyć o tej samej porze w kolejne trzy dni. I zgodnie z duchem walki oraz miłości Bogini Harremid mamy z Arramirosem odgrywać parę kochanków, która będzie toczyć potyczki o ochronę swego wzniosłego uczucia. Walczyć zaś mamy z heretykami. Jak się bowiem dowiaduję ze słów oratora przemawiającego do publiki, naprzeciw nas staną grupy istot z samej Otchłani. Jeńcy pojmani podczas niedawnych bitew.

Na początek wystawiona przeciw nam zostaje grupa barbarzyńców. To czterech umięśnionych osiłków odzianych w futra i łysych z twarzami oraz czaszkami gęsto upstrzonymi tatuażami. Dwóch z nich uzbrojonych jest w kamienne młoty bojowe, a kolejna para w długie miecze. Ci ostatni pokazują sobie nawzajem mój wizerunek wielu czaszek na udzie. A gdy publiczność zaczyna skandować moje imię, Anrea, zgodnie czynią krok do tyłu.

Pochlebia mi to, choć wiem, że do mojej osoby odnoszą nie niewolnicę z odległej krainy, którą jestem, a mityczną pogromczynię plemion z Otchłani. Nie zastanawiam się nad tym dłużej, tylko atakuję. Na mój znak ręką do walki rusza także Arramiros. Zaraz jednak tracę go z oczu i krzyżuję ostrza z pierwszym miecznikiem.

Ten przyjmuje postawę defensywną, pragnąc mnie zastopować, a jego kamrat próbuje zająć mnie z boku. Dlatego robię przewrotek w drugą stronę, aby uniknąć walki z dwoma przeciwnikami. Wstaję do pionu i markuję ponowne skrzyżowanie oręża. Lecz tym razem wystawiam tylko jeden miecz. Dwie klingi spotykają się ze sobą, a ja robię piruet i drugim ostrzem tnę wojownika przez plecy. Rana nie jest głęboka, ale na tyle silna, że futro barbarzyńcy pokrywa krwawa pręga i ten się wycofuje.

Jego miejsca zajmuje drugi miecznik, który rzuca się na mnie z gardłowym okrzykiem. Wykonuję ten sam manewr z analogicznym skutkiem. Ale tym razem od razu poprawiam cięciem w kark i niemal odcinam nieosłoniętą głowę. Pierwsza ofiara pada, a ja od razu idę za ciosem.

Widzący mój atak ocalały miecznik, podnosi wysoko swój miecz, aby spuścić go na mnie z impetem. Jednakże nie docenia mojej szybkości. Czynię błyskawiczny wypad i z przykłąku umieszczam czubek ostrza w brzuchu mojego wroga. Z tą chwilą opada jego miecz, a ja powstrzymuję uderzenie, parując je nad swoją głową drugim ostrzem. Prawie wypada mi ono z ręki, ale daję radę utrzymać rękojeść. Jednocześnie przekręcam ruchem nadgarstka ostrze tkwiące w trzewiach przeciwnika i ten pada na kolana, obficie krwawiąc.

Wyjmuję z jego ciała miecz i odchodzę krok do tyłu. Szacuję, że barbarzyńca przede mną i tak zaraz skona. Niemniej zamierzam go dobić, gdy wtem w ostatniej chwili uchylam się przed poziomym ciosem kamiennego młota i padam na plecy prosto na piasek. A zanim się orientuję w sytuacji, w górze widzę analogiczną broń kierowaną przez drugą parę barbarzyńskich ramion.

Zamiast rozglądać się za Arramirosem, który pewnie poległ, tnę jednego z przeciwników w łydkę. Spada na mnie, a wtedy wysuwam do góry miecz i mężczyzna nadziewa się na niego jak szaszłyk. Zalewa mnie krwią, a równocześnie jego masywne cielsko przyciska mnie do podłoża. Na chwilę, o dziwo, widzę nad sobą uśmiechniętą twarz mojego partnera. Lecz zaraz zastępuje ją posępne oblicze ostatniego z barbarzyńców.

Nic z tego nie rozumie i nie mam czasu na analizy. Kamienny młot właśnie szybuje na mnie z wielką prędkości i w ostatniej chwili naciągam sobie na twarz konającego na mnie wroga. Kamienna głowica gruchocze mu łopatki. Ponadto pod wpływem uderzenia truchło nieco podskakuje, a wtedy udaje mi się je zepchnąć z siebie i w furii rzucam się zajadle do walki.

Tnę ostatniego barbarzyńcę po udach i od razu poprawiam w ramiona. Obiegam go, to czynię gwałtowne nawroty i nie przestaję ani na chwilę kasać ostrzem, aż z licznych ran mężczyzna zaczyna się wykrwawiać. Wówczas słabnie, a ja kończę swe dzieło, kopiąc go w klatkę piersiową, po którym to ciosie przewraca się na piach areny. Unoszę nad nim miecz i z impetem umiejscawiam w sercu barbarzyńcy. Następnie ciężko dysząc, rozglądam się po arenie.

Publiczność szaleje, ale ja jestem skoncentrowana wyłącznie na Arramiosie. Stoi on oparty o krągłą ścianę areny ze skrzyżowanymi nogami, a jego miecze są z boku niego wbite w piasek. On sam ma na twarzy chytry uśmiezek i niespiesznie klaszcze w dłonie, czyniąc ku mnie delikatny ukłon. Dopiero teraz, jak grom z jasnego nieba dociera do mnie, że drwi sobie ze mnie. Od początku wszystko, co okazywał, było z jego strony jedynie szyderstwem oraz grą. I uświadamiam sobie, że w jego osobie bynajmniej nie mam na arenie partnera, a jeszcze jednego przeciwnika.

Po wizycie w łaźni znowu jesteśmy zamknięci na resztę dnia w celi. Podobnie jak wczoraj Arramios nuci chwalebne pieśni na cześć Anrei i przygląda mi się, ale bynajmniej nie ukradkiem. Sama siedzę pod ścianą na swoim posłaniu i nie czynię żadnych gestów. Czasem odwzajemniam spojrzenie, ale nic z tego nie wynika.

Aż wreszcie nastaje noc i męski głos ostatecznie milknie. Jednak obawiam się zasnąć, ponieważ nie rozumiem poczynań mężczyzny, z którym dzielę celę i nie wiem, czego tak naprawdę mogę się po nim spodziewać. A dręczy mnie autentyczna obawa, że z niewiadomych przyczyn pragnie on mojej zguby. W efekcie nie kładę się ani na moment i zaznaję jedynie odrobiny snu w pozycji siedzącej.

Nazajutrz z powodu niewyspania czuję się trochę zmęczona, a moje ruchy jawią mi się, jako spowolnione i ociężałe. Próbuję pobudzić ciało intensywnym ruchem, ale niewiele to pomaga. Zaś przyływu sił doznaję dopiero na arenie, gdy przychodzi mi się zmierzyć z nowymi przeciwnikami.

Tym razem to dwie wyjątkowo piękne, czarnowłose kobiety ze złotymi napierśnikami. Postaci te posiadają wyjątkowo jasną karnację skóry, są wysokie, smukłe i do siebie bardzo podobne, niczym bliźniacze siostry. Uzbrojone są w długie miecze i oszczepy umieszczone na plecach. Ze słów oratora dowiaduję się, że to amazonki z Legionu Śmierci. Nie mówi mi to zbyt wiele, a nasza konfrontacja na arenie właśnie się rozpoczyna.

Spoglądam bez wiary po skosie na Arramiosa. On wydaje się wyjątkowo wypoczęty i rozluźniony. Wciąga do płuc dużo powietrza,

powoli wypuszcza, po czym posyła mi beztroskiego całusa i samotnie rzuca się naprzód do walki.

Nic nie rozumiem z tej nagłej przemiany i zaskoczona obserwuję muskularne plecy mężczyzny, zza których prawie nie widzę wroga. Gdy nagle Arramiros się gwałtownie uchyla i tuż nad nim szybuje prosto na mnie oszczep rzucony przez amazonkę. Wszystko to dzieje się tak szybko, że nie jestem w stanie zareagować. W efekcie ostry grot trafia mnie, rozcinając głęboko na żebrach i leci dalej z oderwanym płatem mej skóry.

Przez widownię przechodzi głośny jęk, a ja chwytam się za silnie krwawiącą ranę i krzywię z bólu. Na moment przyklękam na jedno kolano, a wówczas kolejny szybujący oszczep, po uniku gladiatora, zrywa mi z głowy chustę i przeczesuje włosy, wyrrywając ich kosmyk, po czym z brzdękiem trafia w ścianę za moimi plecami.

Nie, nie czuję obecnie strachu, nagle ogarnia mnie jedynie czysty gniew, prawdziwa furia. Ściskam kurczowo rękojeści mieczy i całym pędem gnam prosto na Arramirosa. Ten mnie nie widzi, cały czas odwrócony do mnie tyłem, balansując ciałem na mocno ugiętych nogach. I raptem znowu się nisko pochyla. Lecz tym razem, zanim sama dostrzegę rzucony oszczep, robię gwałtowny unik w bok i tylko dlatego unikam grotu w swej klatce piersiowej. Równocześnie nie zaprzestaję biegu i na pełnej szybkości wskakuję na zgięte plecy gladiatora, a następnie wybijam się z nich do góry.

Dopiero będąc w powietrzu, widzę przede mną wyraźnie dwie kobiece postacie z oszczepami w dłoniach. Kompletnie zaskoczone spoglądają, jak spadam w ich kierunku z rozpostartymi rękoma, w których trzymam w poziomie miecze. I te zatrzymują się wprost na ich gardłach. Puszczam moją broń i koziołkuję po piachu. A kiedy wstaję i patrzę z ukosa w tył, widzę padające dwie amazonki z Otchłani. Posiadają one rozcięte szyje, a w nich śmiertelne rany.

W tym momencie publiczność nie wiwatuje na cześć zwycięzców. Wszyscy spoglądają na arenę osłupiali, starając się dopiero zrozumieć, co tak naprawdę się wydarzyło. Aż naraz wybucha tak wielka wrzawa, którą można by porównać jedynie do eksplozji wulkanu. Całe trybuny aż dudnią od skandowanych słów: „Anrea, Arramiros”! Dochodzi do mnie

zrozumienie, że ludzie na widowni sądzą, iż efektowna śmierć amazonek to nasz wspólny, popisowy numer, właśnie perfekcyjnie wykonany na arenie. Jednak my dwoje znamy prawdę, która jawi się jako diametralnie odmienna.

Gladiator patrzy na mnie spode łba i po raz pierwszy nie jest mu wcale do śmiechu. Choć jak się okazuje tylko przez chwilę. Zaraz koncentruje uwagę na moim obfitym krwawieniu na żebrach i wtedy w geście triumfu unosi wysoko ramiona, zupełnie jakby to moja rana stanowiła jego prawdziwe zwycięstwo. I prawdopodobnie jest tak w rzeczywistości. Ponieważ na ten czas mam już pewność, że kimkolwiek by nie był ten wojownik, nie jest tu, aby mnie wspierać, tylko przyczynić się do mej zguby.

Dlatego kolejna noc, z mocnym bandażem przewiazanym pod klatką piersiową, jest dla mnie jeszcze trudniejsza od poprzedniczki. Po ostatnim niedospaniu powieki same kleją mi się do snu. Wszak ciągle szczerze obawiam się zmrużyć oczy nawet na moment.

Gdy natomiast odnoszę wrażenie, że Arramiros na dobre zasypia, pojawia się we mnie taka oto myśl, pokusa, aby za sprawą nauki zaczerpniętej od Larisa tu i teraz zabić zagrażającego mi gladiatora. W wyobraźni zakładam nogi wokół jego szyi i ściskam z całej mocy. I nie ważne ile ma sił, wiem, że by się nie uwolnił.

Snuję taką fantazję i nagle się orientuję, iż jest ona rzeczywistością! Nie wiem jak i kiedy, ale znajduję się koło Arramirosa i naprawdę właśnie go duszę nogami! Ten charczy przeraźliwie i uderza mnie pięściami po łydkach, a zaraz zdziera mi na nich rozpaczliwie skórę. Ja z kolei trzymam się z całych sił jego talii i coraz mocniej zaciskam pętlę z nóg wokół gardła.

I czynię to tak długo, aż mężczyzna wiotczeje. Wtedy odczekuję jeszcze chwilę i dopiero luzuję morderczy uścisk. Wlokę się do swojego posłania i szczerze nakrywam kocem. Nie chcę myśleć o tym, co się wydarzyło ani o konsekwencjach, jedyne czego pragnę, to nareszcie w spokoju zasnąć. Ale długo nie mogę tego uczynić, dygocąc wewnątrz z nerwów.

Wraz z brzaskiem otwieram oczy na świat i pierwsze, co robię, to wlepiam wzrok w Arramirosa. I raptem ku swemu wielkiemu zdziwieniu orientuję się, że ten, jak gdyby nigdy nic się przekręca na drugi bok.

Zaskoczona chwytam za swoją głowę. Sen – myślę, a więc to był sen... Musiałam nieopatrznie usnąć i zabiłam tego mężczyznę jedynie we śnie. Chyba że...

Silnie uderzam ręką w kraty, a doświadczany ból udowadnia mi, że obecnie niewątpliwie przebywam na jawie w rzeczywistości. I naraz wzbudzone we mnie silne emocje powoli opadają, po czym zasiadam ze skrzyżowanymi nogami, oczekując nerwowo czasu walki. I już wiem, że ta nie będzie przebiegać tradycyjnie. Muszę być przygotowana na każdą ewentualność ze strony Arramirosa, nie mam co do tego złudzeń.

W trzeciej potyczce naszym rywalem jest postać, która tylko po części przypomina człowieka, a zapowiadana jest jako potężny Demon Mroku. Posiada on czarny kolor chropowatej skóry na ciele, a jego głowę wieńczą kręcone rogi niczym u kozła. Ma nad wyraz długie kły wystające mu z wysuniętej szczęki, a jego nogi są dość pokracczne, jak u nietoperza i zwieńczone kopytami. Ponadto od rąk, na wzór ludzkich, odchodzą mu rozłożyste skrzydła bez piór i z widocznymi błonami. Ta budząca respekt postać uzbrojona jest w długi, lekko zakrzywiony miecz.

Wraz z początkiem starcia Arramiros czyni do mnie uprzejmy gest dłonią, zapraszając jako pierwszą do walki. Jednak ja nie zamierzam mieć tego gladiatora za plecami. Myślę sobie, że nawet nie ma mowy, abym znalazła się pomiędzy dwoma przeciwnikami! Dlatego odwzajemniam ten sam gest, czym razem wzbudzamy salwy śmiechu wśród rozochoczonej publiczności, która reaguje, jak na prezentowanej komedii w amfiteatrze. Następnie każde z nas zachodzi demona z innej strony. Lecz żadne dłuższy czas nie zamierza pierwsze zaatakować. Podobnie nasz wróg łypie tylko czerwonymi ślepiami i stoi w gotowości w oczekiwaniu na nasze ruchy.

Pojawiają się pierwsze ponaglenia na trybunach. Wreszcie Arramiros gwałtownie rzuca się do demonicznego przeciwnika, po czym odskakuje w moją stronę i zaraz jest już za moimi plecami. Zaś podążający za nim demon zamierza się mieczem właśnie na mnie, którą ma teraz tuż przed sobą.

Paruję uderzenie dwoma ostrzami, ale jest ono tak nietypowe i silne z niespotykaną wibracją, iż daję radę utrzymać tylko jedno ostrze w ręku. Intuicyjnie chcę się cofnąć, ale napotykam opór w postaci dłoni Arramirosa

i ten popycha mnie na demona. Nie mam wyboru i czyniąc unik przed kolejnym ciosem miecza, padam brzuchem na piasek. Odtaczam się dalej i błyskawicznie skaczę na bok. W efekcie demon ponownie znajduje się pomiędzy mną, a gladiatorem i zabawa zaczyna się od nowa. Bowiem nasz wspólny wróg atakuje wyłącznie wtedy, gdy ma kogoś w zasięgu swego miecza. Więc na przemian prowokujemy taką sytuację, zbliżając się do siebie i natychmiast odskakując.

W pewnym momencie udaje mi się nawet uzbroić w drugi miecz. Z kolei na arenę ciągle nie pada nawet jedna kropla krwi. Widownia zaczyna się poważnie niecierpliwić, ale nic sobie z tego nie robimy. Natomiast Arramiros ma nieustannie drwiący uśmieszek na twarzy. Jednak do czasu...

Nieoczekiwanie rozlega się donośny głos trąb, a zaraz po nim słychać niosący się po trybunach dumny głos oratora. Wykrzykuje on, że tak właśnie, w wielkim trudzie, toczy się walka z heretykami. A gdy nie daje się ich szybko i skutecznie pokonać, wówczas fala plugawego pogaństwa zalewa całe Pendorum.

Po tym oświadczeniu nie mija chwila, a podnoszą się wszystkie kraty na arenie i wychodzą z nich uzbrojeni znani mi już barbarzyńcy, a także amazonki oraz inna grupa wojowników z długimi dzidami i w połyskujących skórach przylegających mocno do ciała. W sumie na pole walki wkracza cała masa przeszło kilkudziesięciu nowych wojowników. Na dobre zaś znika uśmiech Arramirosa.

Gladiator spogląda teraz na mnie i bezradnie rozkłada ramiona, po czym nie mając wyboru, rzuca się w wir zażartej walki. Ta, choć nagle wydaje się zupełnie daremna w obliczu przytłaczającej przewagi wroga, nie może i mnie ominąć.

Lecz zaskoczona dostrzegam, że ku wielkiej uciechu publiki, a także mojej, na ten czas wszyscy na arenie zaczynają walczyć ze wszystkimi. Stąd wniosek, że poszczególne grupy z Otchłani nie postrzegają siebie jako sprzymierzeńców.

A skoro tak się sprawy mają, naraz uskrzydłona, podbiegam do grupy barbarzyńców, którzy potykają się z amazonkami. Mężczyzna w grubym futrze zostaje przeszyty oszczepem przez ramię. Dobijam go cięciem przez kark i wyskakuję zza jego pleców przed blade oblicza wojowniczych

kobiet. Jedną z nich tnę w odsłonięty brzuch, aż wylewają się z niego krwawe wnętrzności. Krzyżuję miecz z drugą amazonką, po czym przewrotką odtaczam się do tyłu. Klękam i odbijam mieczem cios włócznią przedstawiciela nowych przeciwników. Drugim ostrzem dosięgam jego łydki i rozcinam ją. Mężczyzna w ubraniu z ciasnej skóry pada, a ja skaczę na niego i staram się zadać cios w samo serce. Ale nieoczekiwanie moje ostrze ześlizguje się z gładkiego pancerza. Dlatego natychmiast poprawiam w twarz wojownika na wysokości jego oczu. Mój wróg zalewa się krwią i rzucam się w porywający mnie ogień dalszej walki.

Gdzieś po drodze miga mi postać słaniającego się na nogach Arramirosa osaczonego przez barbarzyńców, ale nawet nie myślę o tym, aby iść mu na odsiecz. Zamiast tego zamierzam dopaść demona. W tej chwili zarówno tors, jak i plecy ma on już naszpikowane oszczepami amazonek, a jednak nadal doskonale walczy i nie widać w nim większego ubytku sił. Swoim mieczem rozcina jednego po drugim włócznika i w tym przypadku ich śliskie pancerze zdają się na nic.

Podbiegam do demona od tyłu i z całych sił uderzam go mieczem w kark. Ostrze zagłębia się bardzo nieznacznie, a ja odskakuję z powrotem i tylko dzięki temu unikam przepołowienia długim mieczem na linii pępka. Za to nagle zwrócony do mnie przodem demon zostaje zaatakowany w plecy włócznią. Grot widocznie wbija się w jego ciało, bo bestia wydobywa ze swego gardła charczący bulgot i rozczapierza ramiona. Ale ja sama nie decyduję się ponownie zaatakować.

Spoglądam w bok i w ostatniej chwili uchylam się przed ciosem kamiennego młota barbarzyńcy. Dodatkowo mężczyzna w futrze kopie mnie od razu w brzuch. W efekcie padam pozbawiona tchu na piasek. Wojownik unosi nade mną swą ciężką broń. Ale zamiast spuścić ją na mnie z impetem, zastyga w bezruchu, a z jego rozwartych ust obficie wypływa krew i pada on wprost na mnie. Turlam się, unikając przygwożdżenia potężnym ciałem i z pewnym trudem, po uprzednim uderzeniu w brzuch, podpierając się mieczem, staję na nogi.

Obecnie dostrzegam wokół siebie całe morze rozczłonkowanych, martwych oraz konających istot. Zaś zdolnego do walki, oprócz mnie, wyłącznie demona. Skoro tak, to nie waham się przed tą ostateczną konfrontacją, bowiem nie mogę zawieść.

Kilka razy szybko wypełniam i opróżniam płuca powietrzem, a następnie zawzięcie atakuję, mając w pamięci, aby nie krzyżować z potężnym przeciwnikiem klingi. Jednak z powodu umiejętności mego wroga muszę desperacko parować nietypowe ciosy swoimi mieczami.

I raptem moje ostrze, pod wpływem gwałtownego uderzenia, wypada mi z dłoni. Korzystając z wolnej ręki, łapię za oszczep wbity na wysokości serca demona i z całych sił, zaciskając zęby, pcham drzewce do przodu.

Zaraz puszczam oszczep i skaczę za plecy demona, by ciąć go jedynym ostrzem po łopatkach. Tylko rozcinam mu skórę, dlatego porzucam drugi miecz i oburącz łapię za włócznię wbity w plecy bestii. Następnie z całych sił pcham drzewcową broń do przodu, zagłębiając coraz bardziej grot w demonicznym cielsku. Jego właściciel pragnie się obrócić, ale także i on wreszcie słabnie. Aż raptem unosi jedną z zakończonych racicami nóg i traci równowagę. Pada na brzuch i nadziewa się na kilka tkwiących w jego torsie oszczepów, w tym jeden, który przebija mu samo serce. To jego ostateczny koniec, a moje zwycięstwo, nareszcie.

Odchodzę od demonicznego trupa z palącymi od wysiłku płucami oraz drżącymi dłońmi i nagle cała arena wydaje się wręcz eksplodować ziką radością. Natomiast ja sama dosłownie tonę w kwiatowych bukietach i wieńcach rzucanych przez nieprzeliczoną publiczność.

Kwiatne upominki lądują w zakrwawionym piasku i na wywleczonych z istot wnętrznościach, coraz bardziej je zakrywając. Z kolei orator wykrzykuje coś o pięknie i cudowności, które nastają na świecie po zgładzeniu na nim heretyków.

Ale sama nie zwracam na te dumne słowa uwagi. Cała arena wiruje mi w głowie, czyniąc to coraz szybciej i szybciej, aż nie mogę utrzymać równowagi i padam na kolana. A jak się okazuje, padam tuż koło konającego Arramirosa.

Ten wygląda naprawdę absurdalnie, gdy wykrwawiając się z otwartą klatką piersiową, ostatkiem sił podaje mi wielobarwny wianek. I czyni to z uśmiechem na ustach. Lecz pierwszy raz widzę u niego naprawdę szczery uśmiech bez zafałszowań oraz skrywanych dwuznaczności. Zaś na zakończenie żywota gladiatora, słyszę jego również szczerze wypowiedane słowa:

– Kazali mi... kazali cię zgładzić. Ponieważ... na arenie walczysz z tym... kogo wskaże ci twój pan... To najwyższa zasada, którą niewolnikowi trudno jest złamać. Jednak cieszę się, że przegrałem... Albowiem widząc cię zwycięską, sędzę, że sam świat na tym wygrywa... Wspomnij zatem kiedyś imię Arramirosa, który sprzeciwił się swemu panu i ostatniej nocy, gdy w końcu usnęłaś... zdjął sztylet z twego gardła... – Gladiator z trudem wyjmując z swojej przepaski biodrowej kosmyk moich rudych włosów i także mi podarowuje. Potem krztusi się krwią, by ostatkiem sił kontynuować: – Wspomnij, proszę, Arramirosa. Wspomnij, Anreo. Bo w chwili śmierci człowiek widzie więcej... I tak, jesteś nią, Anreą... Tą jedyną... – Dwa złączone razem palce przykładają do swoich ust, po czym całuje je i w geście podziwu wyciąga w moją stronę. Następnie zamyka gasnące oczy na świat, aby ich już więcej nie otworzyć.



X. KONFRONTACJA KU CZCI AVENEDORA

Wraz z powrotem do szkoły Artusa z niewypowiedzianą tęsknotą rzucam się w objęcia Avesa. Tulimy się do siebie mocno i czule jak jeszcze chyba nigdy. Ja zaś odczytuję ból w duszy ukochanego mężczyzny, gdy delikatnie kładzie dłoń na moim boku, gdzie odnoszę ranę. Ale moja rana to nic, wszystko jest niczym wobec tego, że znowu jesteśmy razem.

Tego samego dnia, w porze posiłku, nie zasiadamy z innymi przy ławach. Zajmujemy miejsce z dala od wszystkich na pisaku i karmimy się strawą, to obdarowujemy pocałunkami, jedząc także nawzajem ze swoich ust.

Sama nawet nie próbuję tłumaczyć Avesowi, co przydarzyło mi się podczas turnieju w imię Bogini Harremid. Moimi gestami i tak nie zdołałabym przekazać nawet części tego, co ostatnio stało się moim udziałem. A kiedy mój jedyny prawdziwy partner sam zapytuje mnie o ranę, składam mu dwa palce na ustach, aby nic nie mówił, a potem po prostu go całuję, znowu, to wszystko.

Natomiast gdy tylko zapada zmierzch, wyjątkowo schodzimy pierwsi z ćwiczebnego placu i zaraz jesteśmy już w naszej celi, niczym w naszym prawdziwym domu. Z miejsca się rozbieramy i spoczywamy na posłaniu tak bardzo złąknieni siebie po dłuższej rozłące. Aves kładzie się na mnie, wtulając mocno w moje ciało i obdarza licznymi pocałunkami ramiona, szyję i twarz. Ja z kolei przyjmuję go w sobie z rozkoszą.

I kochamy się, ale bynajmniej nie czekam na własne spełnienie. Tym razem pragnę jedynie przyjemności mojego mężczyzny, to daje mi obecnie największą satysfakcję. Wyczekuję na moment, aż zaczyna gwałtownie oddychać i napina swoje mięśnie, ściskając mnie mocno, po czym z błogim wyrazem na twarzy rozluźnia się wielce odprężony.

Wkrótce leżymy razem w objęciach, gładząc się po nagich, lśniących od potu ciałach. Ja zaś myślę, jak mało brakowało, abym ginąc na arenie, mogła tę cudowność bezpowrotnie utracić, w tym jedyną osobę w moim życiu, która jest mi naprawdę droga, którą kocham.

Z tą myślą całuję Avesa w usta, a potem w szyję, klatkę piersiową i schodzę coraz niżej. Tak, pragnę mu dać, jak największą rozkosz i to ponownie. Dlatego całuję jego męskość. Jęczy w ekstazie, a ja nie zaprzestaję pocałunków i czynię to aż do końca.

Widziałam swego czasu, jak w swojej celi kochali się tak Ravel oraz Viria. Kobieta z Favera miała akurat miesięczny czas i krwawiła. Dlatego naga ukłękła przed kratami, uwydatniając obfite piersi. Splotła dłonie na kratkach powyżej swojej głowy, po czym szeroko rozchyliła usta, oblizując namiętnie czerwone wargi. Wówczas mężczyzna z Precisa podszedł do niej, a ona dała mu mnóstwo rozkoszy.

– To było cudowne i ty jesteś cudowna... – szepcze naraz mój ukochany i gładzi me włosy. A zaraz sięga ręką do mego krocza, pragnąc się zrewanżować. Ale kręcę przecząco głową i jego dłoń przenoszę do swoich ust, by ją pocałować.

Niebawem układamy się do snu. I właśnie to, wspólne przebywanie, daje mi na ten czas najwyższą możliwą rozkosz. Świadomość tego jest piękna i bolesna zarazem, albowiem już drzę na samą myśl, co może nam przynieść kolejny krwawy turniej i okrutny los. Ale obecnie liczy się tylko to, że jesteśmy razem, tak, wyłącznie to...

*

W atmosferze ciężkich treningów pod okiem nowych nauczycieli oraz wyzwania, jakie niosą, kończy się ciepłe lato i przychodzi jesienna szaruga. Kiedy zaś i ona zmierza ku schyłkowi, w szkole Artusa zapowiedziany zostaje cesarski turniej w stolicy. Ma on równocześnie stanowić swoiste zwieńczenie konfrontacji rodu Artusa i jego stronników z sojusznikami cesarza, a także osobą samego władcy. To z kolei oznacza, że na igrzyskach ku chwale Avenedora, skrzydlatego człowieka z głową lwa, pojawią się zapewne niepokonani zakonnicy. Zaś po ostatnim darowaniu mi przez nich życia i swoistym upokorzeniu cesarza, mam praktycznie pewność, że walczyć w Koloseum przybędzie inna, ale zapewne równie zręczna,

zakonna para. Szykuje się zatem prawdziwe wyzwanie i szereg trudnych starć u boku Avesa.

Jednak zanim to nastąpi, w porze posiłku zbiera się wokół mnie, zasiadającej przy ławie, grupa osób. I raptem większość z nich doniośle krzyczy:

– Niespodzianka!

Odkładam na blat kubek z napojem Harremid i kompletnie zaskoczona spoglądam na kroczącego dumnie Gabu. Niesie on posiłek wyglądający na krągłe ciasto, w którego środku wbity jest sztylet.

– „Co to”? – gestykuluję.

– To swego rodzaju tort na uroczystość rodem z cesarstwa Terraticos – odpowiada Aves, który coraz lepiej rozumie język gestów. – Jesteś już z nami rok i bez wątpienia stałaś się dla nas kimś ważnym. Dla niektórych zaś jesteś osobą absolutnie wręcz wyjątkową, niezastąpioną. – Całuje mnie w policzek. – Dlatego czcimy twoją roczną obecność z nami. – Mój partner wyjmuje nóż z ciasta i dzieli je na liczne porcje, po czym częstuje okoliczne osoby, w tym mnie samą raczy największym kawałkiem. Próbuję delikatnie ustami i lekko się uśmiecham.

– „Słodkie”.

– Smakuje! Smakuje! – krzyczą radośnie inni i klepią mnie przyjaźnie po plecach. A wyjątkowo mile przyjmuję dotyk Kalilli i Exona, Viri oraz Ravela, a także Gabu, jak również nieoczekiwanie Adory.

Spoglądam dłuższy czas na wymizerowaną dziewczynę, o której żona Artusa niedawno orzeka, że nie nadaje się na gladiatrix i zostaje ona oddelegowana do sprząwania i pomocy Gabu w kuchni. Odnoszę wrażenie, jakby zastraszona dziewczyna szukała oparcia w pociesznym tłuszciochu, do którego co raz przysuwa się nieznacznie. Odrywam kawałek mojego ciasta i wyciągam ku niej.

– Dziękuję, szlachetna pani – mówi usłużnie i delikatnie chwyta. Na co obnażam gniewnie zęby i gestykuluję:

– „Nie zwracaj się tak do mnie. Jesteśmy tu sobie równi”. – Nie chcę być wywyższana, ale spłoszona dziewczyna chyba tego nie rozumie. Nagle

bowiem drży i upuszcza słodki posiłek na blat, a następnie biegnie w stronę kuchni.

Spoglądam za nią i nadziewam się na karcący wzrok Gabu. Grubas kręci z dezaprobatą głową i idzie ciężkim krokiem w ślad za dziewczyną. Jednak nikt więcej zdaje się nie zauważać tego incydentu. Uświadamiam sobie, że żadna z pozostałych osób nie przejmuje się tamtą dwójką. Więc może się mylę i wcale nie jesteśmy tu sobie równi? Wspominam słowa Etosa: „każdemu, co mu się należy, nigdy zaś po równo”.

Nie roztrząsam tego zagadnienia, a w nocy po raz pierwszy w moim życiu raczę się przyniesionym przez Avesa winem. Wypijamy wspólnie całą butelkę cierpkiego trunku na przemian z namiętym całowaniem się, a potem kochamy tak gwałtownie, jak jeszcze nigdy dotąd. Pod wpływem wina doznaję dziwnego uczucia, od którego moje ciało aż płonie i dosłownie rzucam się na mojego mężczyznę. Drapię go paznokciami i gryzę, a gdy on jako pierwszy dochodzi do spełnienia, pragnę go ponownie i z równą agresją.

I tak, bez zaznania snu, w dziwnym upojeniu, a momentami wręcz istnym szaleństwie, zastaje nas błądy świt. Czas wyruszyć do miasta Etos, by toczyć tam krwawe boje ku chwale Boga honoru i walki, Avenedora.

Tym razem w podróży z Avesem towarzyszą nam tylko Exon oraz Kalilla. Wiem już, że ta para jest w szkole Artusa od pięciu lat i dowiaduję się, że to wyjątkowo długi żywot, jak na gladiatorów. Wierzę w to, ponieważ widziałam tę parę nagą w łaźni – widziałam ciała naznaczone dziesiątkami blizn.

Aves ma ich nieco mniej, a każdą znam na pamięć, gładząc swego czasu opuszkami palców. Tak, nie jedna z jego dawnych ran przyniosła mu już prawie śmierć. Lecz blizny i rany są niczym, jeżeli pozwalają zachować życie. I przechodzi mi przez głowę myśl, że gdybym moimi kolejnymi ranami miała opłacać krwawym Bogom nasze istnienie, przestałabym na to bez wahania.

Uświadamiam sobie bowiem, że to ono jest najwyższą wartością – samo przetrwanie. Za nic już mam ulotną sławę na arenie i ostatecznie grzebię w sobie dumę, która czasem we mnie zakwita. Wiem, że jest to puste uczucie, które nie jest mi w stanie niczego godnego zaofiarować. Także nie czerpię

radości z zabijania moich wrogów. Po prostu odbieram im życie, abym sama mogła żyć. Zabieram życie, aby kochać i być kochaną. Czy to okrutne? Nie wiem. Ale to właśnie znaczy być gladiatrix.

Tymczasem w otoczeniu licznych strażników przemierzamy piechotą zamierającą łąkę pokrytą poranną mgłą charakterystyczną dla nadchodzącego zimowego czasu. Jest chłodno i Aves troskliwie mocniej opatula mnie kocem. Wtedy spoglądam na niego z ukosa i gestykuuję:

– „Nikt nie wie, jak trafiłeś do szkoły Artusa”.

– Z Otchłani – odpowiada rezolutnie ze znanym mi uśmieszkiem na twarzy, który zdradza, że nie mówi prawdy. Sama się lekko uśmiecham, po czym krzyżuję razem dłonie:

– „Kłamiesz” – stwierdzam i dodaję: – „Czemu nie chcesz zdradzić mi prawdy?”

– Cóż... – Mężczyzna drapie się niefrasobliwie po karku. – Tobie jednej chyba mogę wyjawić ten sekret. W końcu sama wiesz, że niczego nie jestem ci w stanie odmówić. – Tym razem na swojej szczupłej, wykutej jak z kamienia twarzy, gdzie niemal zawsze dominuje pogodny nastrój, uśmiecha się zupełnie szczerze.

– „Więc”? – Mam wrażenie, że mimo wszystko zwleka i pragnęły ominąć wspomniany, niezręczny dla niego temat. Jednak się przełamuje. Bierze głębszy oddech i wydychając kłęby pary z ust, swobodnie snuje opowieść:

– Byłem cesarskim żołnierzem... Tak, Terraticos to moja prawdziwa ojczyzna i swego czasu walczyłem w szeregach cesarskiej armii. Byłem jednym z pomniejszych dowódców na pograniczu z chanatem Precis. W niewielkiej wiosce w granicznych okolicach miałem swój dom oraz... rodzinę. – Patrzy na mnie nieco zmieszany i zaraz ucieka wzrokiem. – W końcu zaś stało się to, co zesłali krwawi Bogowie. Coś, co zawsze ostatecznie zsyłają, śmierć... – Załamuje ręce. – Kolejna wojna, walki, gwałty i grabieże... Oczywiście po obu stronach. A kiedy nastał wreszcie pokój, powróciłem ze służby do domu i zastałem po mojej wiosce oraz rodzinnym domu wyłącznie zgliszcza... Odnalazłem tam świeże groby żony i... dwójki dzieci... – Kładę rękę na ramieniu Avesa, ale on ją zsuwa i od tej pory, jakby sam do siebie, z pewną zawziętością kontynuuje: –

Wówczas wszystko, co mi pozostało to pragnienie zabijania, nic więcej. Nawet nie szukałem ślepej zemsty, nie, nie o to tu chodziło... Nie poszukiwałem zabójców mojej rodziny. Znałem ich motywy i z powodu odgórnych rozkazów sam nieraz postępowałem w podobny, okrutny sposób. Po prostu nagle zostałem w swoim życiu zupełnie z niczym. W moim sercu pozostała kompletna pustka, a jedyne czym nadal byłem, to istotą, która walczy. Więc walczyłem... Zostałem najemnikiem w rozlicznych wojnach, aż w końcu z własnej woli wstąpiłem w szeregi gladiatorów szkoły Artusa...

Raptem patrzę na niego naprawdę zdumiona:

– „Nie jesteś niewolnikiem?” – zapytuję.

– Jestem wolnym człowiekiem, który aż do tej pory szukał śmierci, a nieoczekiwanie odnalazł miłość... ciebie i siebie... – Spogląda na mnie z prawdziwym uczuciem i w takiej samej tonacji, wręcz z natchnieniem, mówi dalej: – Wszystkiego, czego pragnąłem po śmierci rodziny to zabijać i samemu wreszcie zginąć. Wiesz... wielka odwaga i walka aż do samego końca ku chwale Boga Arezara, patrona Zakonu Miecz Białego Psa, taką miałem dla siebie ostateczną wizję. Ale potem, pewnego razu, zobaczyłem niepozorną, rudą i piegowatą dziewczynę, która swego pierwszego dnia na ćwiczebnym placu strzeliła z łuku prosto do Viri i odstrzeliła jej warkoczyk. – Puszczaj mi oko. – To była niczym wypuszczona strzała amora, która rykoszetem trafiła właśnie we mnie. Od tego czasu coś się zmieniło, a właściwie wszystko uległo zmianie... Tak, obecnie już zawsze pragnę cię mieć i być blisko ciebie. Tak blisko, jak tylko mogę. Przede wszystkim zaś pragnę cię chronić. – Obejmuje mnie i przyciska mocno do swego ramienia.

Idziemy tak wtuleni do siebie, jakbyśmy byli niemal jedną osobą. I przyjmuję te wszystkie niezwykle słowa o mnie ze spokojem, bo sama w duchu mam tylko jedno pragnienie i jest ono tożsame, jak Avesa. Ja również całą sobą pragnę ze wszystkich sił chronić ukochaną mi osobę. Mężczyznę, który stoi teraz przy mnie, choć w każdej chwili mógłby odejść, jako wolny człowiek.

I już wkrótce ponownie przychodzi nam toczyć śmiertelny bój o przetrwanie. Nadchodzi bowiem czas pierwszej walki. Każda kolejna ma się toczyć w czarną noc rozjaśnianą jedynie ogniem pochodni, wielkich,

płomiennych kadzi, a także ognistego oręża. Na ten czas ma być ono nasączane tak zwaną krwią Boga Arezara. Tajemną cieczą, która płonie dłuży czas po kontakcie z iskrami lub ogniem.

Stajemy więc ramię w ramię z Avesem w bojowej postawie z wyciągniętymi przed siebie czterema mieczami zakwitającymi czerwonymi płomieniami i porozumiewawczo spoglądamy na siebie. Każde z nas będzie walczyło za własną osobę, ale też broniło drugiego zgodnie z wewnętrzną potrzebą i daną sobie obietnicą.

Za pierwszych przeciwników mamy parę gladiatorów, kobietę oraz mężczyznę z ognistymi, długimi mieczami. Kreślą oni w powietrzu zręczne ósemki i powoli zbliżają się do nas. Czekamy. A gdy znajdują się już naprawdę blisko, czas na atak. Więc w poszukiwaniu zwycięstwa atakujemy!

Podbiegam do kobiety odzianej w lekką kolczugę i natychmiast się cofam. Powtarzam ten manewr kilka razy, za każdym razem czując jedynie ciepło płomieni wymierzonego we mnie miecza, a jednocześnie zbliżam się do mojego partnera. Obserwuję kątem oka, jak walczy i w pewnej chwili wiem, że jestem już gotowa, aby go wesprzeć.

Zamiast ponownie odskoczyć przed atakiem wrogiej gladiatrix, nurkuję pod jej ognisty miecz i tnę ją w udo. Następnie odtaczam się, skaczę do pionu i podwójnym ciosem ostrzami w kark zabijam od tyłu przeciwnika Avesa.

Mój partner spogląda na mnie z uznaniem i coś do mnie krzyczy, ale nie słyszę tego w ogólnej wrzawie. Z kolei na widowni gromkie wiwaty mieszają się nagle z przekleństwami. Łamię bowiem niepisany honorowy kodeks Boga Avenedora, ku którego chwale toczony są igrzyska. Jako kobieta atakuję na arenie mężczyznę, a przede wszystkim zabijam go podstępem i ciosem od tyłu. Jednak nie dbam o to, o złamane zasady i żalony skowyt publiki, skoro w ten sposób mogę wspomóc Avesa.

Niebawem zaś podchodzę do ranionej w udo kobiety, a ona składa przede mną broń. W swoim obecnym stanie nie obroniłaby się przede mną, wie o tym. Ale widzę w jej oczach, że prezentowana przez nią postawa pełna rezygnacji ma swoje źródło gdzie indziej. Spogląda ona niemal martwym wzrokiem na zabitego przeze mnie mężczyznę i odnoszę

wrażenie, że ona nie chce już żyć, ponieważ właśnie zabiłam jej ukochanego.

Nagle ogarniają mnie mieszane uczucia, a płonące czerwienią miecze zastygają w mych dłoniach. Gdy wtem serce klęczącej kobiety przeszywa ostrze Avesa. W efekcie czuję ulgę i smutek zarazem. Radość ma źródło w tym, że przetrwaliśmy, a gorycz odczuwam z powodu zabicia na arenie czyjejś miłości. Tym razem nie wznoszę rąk w geście triumfu, tylko w pokorze opuszczam arenę.

W dalszej części nocy, już w celi, kocham się z Avesem długo i czule, jakby upajając się jego ciałem oraz obecnością. Wciąż prześladuje mnie bolesna świadomość, że to my mogliśmy zginąć dziś na arenie, a razem z nami wszystkie nasze marzenia i dopiero co rozniecona miłość. Naraz wszystko wydaje mi się takie niepewne, nieprzewidywalne, kruche i ulotne, a my sami wielcy wojownicy, na swój sposób słabi. Sama nie pokładam wiary w tutejszych Bogach i nie jestem w stanie szukać ukojenia w modlitwie. Ukojenie mogę odnaleźć jedynie w ramionach ukochanego, co niniejszym czynię.

Nazajutrz ogień naszej miłości wciąż płonie, podobnie jak ognie na arenie, które tej nocy rozświetlają się dla odmiany żółtymi płomieniami. Tak samo jarzą się nasze złociste miecze, jak i oręż naszych przeciwników – w sumie osiem zwróconych ku osobie krótkich, ognistych ostrzy.

Tym razem nie sądzę, że uda mi się podstępem pokonać przeciwnika Avesa, który będzie już na tę ewentualność przygotowany. Dlatego koncentruję uwagę na szybkim pokonaniu wrogiej gladiatrix w otwartej walce. Choć zaraz się okazuje, że wcale nie będzie to takie łatwe i oczywiste.

Pokrzykująca naprzeciw mnie jasnowłosa kobieta jest niezwykle rośła, a jej krótkie miecze są o wiele dłuższe od moich, podobnie jak jej ramiona. Przez to jestem zmuszona zacząć walkę w defensywie od uników i cofania się. Szybko dociera do mnie, że wojowniczkę przede mną muszę najpierw zmęczyć, aby skutecznie się do niej dostać. Próbuję jak najmniej krzyżować z nią klingi, by jej obszerne wymachy trafiały w próżnię i żeby raz za razem musiała unosić swoją broń i nieustannie czynić wysiłek. Z

czasem ona to czuje, że słabnie, lecz zamiast zwolnić, kładzie wszystko na szali i zdzierając gardło, rzuca się na mnie z dziką furją.

W tych okolicznościach, by nie znaleźć się całkiem w odwrocie, niespodziewanie kontratakuję. Podbijam wrogą klingę swoim mieczem, a drugim wykonuję pchnięcie. Wroga gladiatrix czyni zręczny piruet w bok, schodząc mi z linii ciosu i równocześnie tnie we mnie dwoma ostrzami. Górne ze chrzęstem przejeżdża po moim opancerzonym ramieniu, a dolne rozcina wytatuowane udo. Moja rana jest do tego stopnia głęboka, że padam na jedno kolano i z tej pozycji chronię się skrzyżowanymi mieczami, niczym tarczą. A za chwilę sama staram się kąsać i jeden z moich wymachów rani kobietę w przedramię. Nabiera ona większego respektu i podskakując w miejscu oraz głośno dysząc, robi mi trochę miejsca i podarowuje nieco czasu. Zaraz więc jestem znowu na równych nogach i z zadowoleniem przyjmuję fakt, że mogę swobodnie ustać na zranionej kończynie, z której obficie płynie krew, zalewając mój tatuaż.

Przyjmuję postawę obronną, gdy wtem wyskakuje z boku Aves i dosłownie tratuje moją przeciwniczkę. Ta pada na piach, a mój partner bez opamiętania, jak w amoku, szatkuje ją dwoma mieczami, czyniąc z ciała kobiety krwawą miazgę.

Rozglądam się po arenie i widzę w pobliżu martwego gladiatora, rywala Avesa. Zaś mój partner w końcu przestaje się pastwić na truchłym kobiecie i bacznie mnie ogląda, czy aby nie odnoszę poważniejszych obrażeń poza raną na udzie. Kiedy ich nie dostrzega, na jego twarzy maluje się niewymowna ulga i berze mnie w ramiona, a przy tym dłonią tamuje krwotok.

Tej nocy się nie kochamy. Jedynie leżymy razem wtuleni w siebie i z pewną obawą myślimy o ostatnim dniu turnieju. Już bowiem wiemy, że w finale mamy się zmierzyć z zakonnikami Miecza Białego Psa. Musimy skrzyżować płonący oręż z doskonałymi wojownikami zakutymi w niezniszczalną stal. Każde z nas pragnie wygrać ten pojedynek, aby ocalić drugie z naszej pary. Czy to czyni nas silniejszymi, wręcz niepokonanymi? Czas pokaże. A ten czas już nadchodzi. Właśnie nastaje świt...

Obecnie, w nocy, na arenie, nasze miecze płoną zielonym ogniem. Natomiast długie miecze naszych przeciwników obleczone są niebieskimi,

ognistymi jezorami. Stajemy naprzeciw siebie i raptem już wiem, że ta walka będzie inna niż wszystkie, a jej stawka najwyższa z możliwych, większa nawet niż miłość i życie. Niemożliwe? A jednak, ponieważ tą stawką jest pragnienie, które uderza mnie z niebotyczną wręcz siłą. Tak, pragnieniem tym jest słuszna zemsta...

Oto zakonnik naprzeciw nas zdejmuje z głowy stalowy hełm i odrzuca go na piach areny. Wtedy uwidacznia znane mi już swoje bezwzględne, stalowe oczy i wytatuowane napisy na łysej czaszce. To przeklęte wizerunki, które śnią mi się co noc i których nigdy nie zdołam wymazać z pamięci, albowiem wyryły się w niej poprzez przelaną krew moich najbliższych.

To on! To on! Zabójca mojej rodziny! Nagle odczuwam zniewalającą słabość, po czym dla odmiany wszystko we mnie dosłownie wrze, aż czuję, że zaraz eksploduję, rozsadzi mnie wewnętrzny gniew!

Zdaję sobie sprawę, że cała praktyka Kan Li, jaką do tej pory przeprowadziłam, na ten czas nic nie znaczy i zda mi się na nic. W tym momencie kierują mną jedynie wściekłe emocje i płonie we mnie wyłącznie ogień zemsty, który spala mnie niemal na popiół.

Ściskam kurczowo w dłoniach płonące miecze, obnażam wściekłe zęby i występuję naprzód przed zakonnika. W odpowiedzi posyła mi drwiący, lekceważący uśmiech i spojrzenie zimne, niczym stalowe ostrze miecza.

Nie jestem w stanie dłużej ustać w miejscu, nie teraz, nie w tych okolicznościach. Dlatego nie czekam na koniec doniosłej przemowy oratora ani ostatnie wersy chóralnych śpiewów. Nie czekam na ustanie dźwięku trąb i ciszę, która nakaże rozpoczęcie walki. Nie czekam na nic, tylko sama zajadle rzucam się na mego jedyne go prawdziwego wroga i czynię to w imię wendety! Tu, na arenie! Zabiję mordercę mojej rodziny i krwawo pomszczę ojca i matkę, barta i siostrę! Zabiję go, mordercę! Wyrwę z niego czarne serce i zgaszę w nim ostatnią iskrę życia! Przysięgam!

Tnę płonącymi ostrzami na wysokości twarzy zakonnika, ale odsuwa się w tył, a ja z impetem uderzam jedynie w opancerzony tors, od którego moje miecze odbijają się z łoskotem. Wspominam chwyt Larisa i od razu czynię gwałtowny wślizg na nogi mojego śmiertelnego wroga, podcinając go. Ten zwala się, jak kłoda na piach. Sama przetaczam się na bok, by uniknąć

przygnięcia ciężkim pancerzem i jednocześnie wykonuję zamaszty cios mieczami w kierunku potylicy przeciwnika. Celnie uderzam! Błyskawicznie wstaję i puszcza jedno z ostrzy. Chwytam oburącz drugie i biorę zamach do góry, aby zatopić miecz w karku mordercy. Tak, tak! Muszę mieć siłę, by to skutecznie uczynić! Muszę!

Gdy wtem w moją płomienną broń uderza gorejący błękitem miecz zakonnicy. Siłą ciosu zostaje odrzucona do tyłu i wytrącona z równowagi. A kiedy znowu pewnie stoję na ugiętych nogach z jednym ostrzem w dłoni, dostrzegam, że zakonnicy walczy z Avesem, natomiast zakonnik podnosi się na kolana. Opancerzoną rękawicą masuje się on po potylicy i uśmiecha z przekąsem, spoglądając na własną krew.

Sama podnoszę drugi ze swoich mieczy i ciężko dyszę. Ale bynajmniej nie ze zmęczenia, a od targających mną silnych emocji. I nie czekam, aż mój przeciwnik się całkiem pozbiera, tylko w furii ponownie go atakuję!

Ten zręcznie paruje ciosy własnym mieczem, to odpiera ataki opancerzoną rękawicą drugiej dłoni. Osobiście celuję w jego odsłoniętą głowę. Jestem wściekła, jak osa i skaczę naokoło przeciwnika, zaś moje ogniste ostrza są niczym ogniste żądła. A wszystko, czego pragnę, to umieścić je w zimnych oczach zakonnika i wysączyć do nich jad mej nienawiści!

Aż naraz mój śmiertelny wróg łapie w dłoń jeden z moich mieczy. Przyciąga go silnie do siebie razem ze mną i puszcza swój długi miecz, po czym drugą, pancerną rękawicą zadaje mi obezwładniający cios w twarz. Lecę w powietrzu, jak rażona piorunem i padam bezwładnie na plecy. Cała kolista arena wiruje mi nagle przed oczyma z zawrotną prędkością i niczego nie słyszę. W martwej ciszy widzę jedynie kręcące się, wznoszące spiralnie rzędy ław pełne wielobarwnej publiczności. Dostrzegam też tańczące na niebie krągły księżyc oraz gwiazdy. I raptem wyławiam nad sobą złowrogą postać znienawidzonego zakonnika. Unosi on miecz i gwałtownie go opuszcza. I wtem czuję w nadgarstku iście piekielny ból odcinanej dłoni! Spoglądam na koniec mojej ręki i widzę krew!

Jednak kończyzna nie zostaje odcięta, częściowo osłania ją metalowy element mojego pancerza. Lecz ani się obejrzę, a zakonnik wykonuje cios

w moją drugą rękę na wysokości nadgarstka. W odpowiedzi gwałtownie kulę się w sobie i krzyżuję dłonie na piersiach.

Świat przed moimi oczyma już nie wiruje, a ja czuję się teraz tak słaba i bezbronna. Zupełnie jak wtedy, gdy jako strachliwa dziewczyna w mojej rodzinnej wiosce leżę w błocie we krwi swoich bliskich, bojąc się nawet poruszyć.

Nagle na moją twarz spada potężna opancerzona pięść i uderza mnie raz i drugi. Krztuszę się własną krwią, która zalewa mi oczy, złamany nos, pęknięte usta i wlewa mi się do gardła. Następnie zostaję, niczym piórko poderwana do góry i raptem nie jestem w stanie złapać tchu po serii obezwładniających ciosów w brzuch. A zaraz znowu jestem rzucona twarzą na piasek, który gęsto przykleja się do zakrwawionej twarzy.

Wiję się w żalostnej pozie po arenie, starając się z wielkim trudem złapać oddech i podźwignąć na kolana, ale nie jestem w stanie tego uczynić. Dlatego jedynie przecieram dłońią zalane krwią, puchnące oczy. A wtedy ukazuje mi się...

Nie! Nie! Nie!

Moje usta otwierają się tak szeroko i wydobywam z siebie niemy krzyk! Pragnę błagać o litość! Zaklinać wszystkich Bogów i wszystkie świętości! Oddać wszystko, co mam! Całą siebie! Wszystko!

Nie! Nie! Nie!

To nie może się dziać!

Zakonnik stoi przy klęczącym Avesie i spoglądając na mnie, opiera o jego pierś płonący błękitem miecz. Z kolei mój ukochany mężczyzna patrzy na mnie czystą miłością. Całuje on swoje dwa palce i pozdrawiając mnie, wznosi je dumnie do góry w moim kierunku. Nasze spojrzenia się spotykają i z tą chwilą zakonnik zadaje Avesowi śmiertelny cios!

Nie!

Odcina mu głowę.

Nie!

I z pogardą rzuca nią we mnie.

Nie...

Chowam twarz w piachu areny, a moje policzki zalewają krew oraz łzy. I nie mam już nawet siły błagać o szybką śmierć dla samej siebie. Nagle staję się nikim, niczym... Nie istnieję i nie ma już we mnie dosłownie nic...

Wkrótce zostaję gwałtownie szarpnięta za ramię i ułożona na plecach na planie krzyża. W tej pozycji czekam na rychłe okaleczenie i śmierć w boleściach, którą przyniesie mi zakonny, płonący miecz. Przegrywam wszystko. Przegrywam miłość, zemstę i sens istnienia. Teraz nie mam już absolutnie nic, nie mam niczego i przede wszystkim nie mam już po co żyć... Nie jestem już nawet gladiatrix...

Zakonnik staje nade mną z mieczem zarzuconym na bark i patrząc mi w oczy z szyderczym uśmiechem na ustach, spija ze swej rękawicy krew. Następnie niespiesznie unosi nad moją ręką miecz. Ten zawisa złowrogo w powietrzu, a ja nie zamierzam już cofać dłoni.

I wtedy rozlegają się ogłuszające fanfary. Nie wiem, co oznaczają i tylko czekam na pierwszy z ciosów, które kolejno rozczłonkują moje ciało. Jednak uderzenie wciąż nie nadchodzi.

Zamiast niego w Koloseum zapanowuje niczym niezmacona majestatyczna wręcz cisza. Z kolei nią samą przerywa rozdzierający, kobiecy krzyk. A już niebawem na arenę wkraczają słudzy niosący krzyczącą kobietę na noszach. Ta spoczywa na piachu areny i rozpoczyna się publiczny poród...

Równocześnie kątem oka dostrzegam drugiego zakonnika, który podchodzi do zabójcy Avesa. Po widocznych oczach w częściowo odsłoniętej przyłbicy, zauważam, że to ten sam mężczyzna, który niegdyś daruje mi życie na arenie, a teraz zdecydowanie przemawia:

– Cesarzowa rodzi. Więc jako rycerz Arezara Miecza Białego Psa nie wolno ci już przelać krwi w Koloseum. Powstaje tu święte życie następcy tronu i nie może iść ono w parze ze śmiercią. Odstąp albo sam stanę ci na drodze.

Dwaj mężczyźni mierzą się lodowatymi spojrzeniami, po czym zabójca Avesa powoli chowa miecz do pochwy. Potem spogląda na mnie i czyni wymowne gesty:

– „Nie uciekniesz przed przeznaczeniem. Jeszcze się spotkamy, zawsze się spotkamy, abyś mogła odebrać stosowną karę” – Po tych słowach

spluwa na mnie siarczyście i odchodzi.

Ja sama słucham głośnych, kobiecych jęków i wpatruję się bez wyrazu w migotliwe gwiazdy na czarnym niebie. Aż krzyk cesarzowej cichnie i zastępuje go kojący płacz niemowlęcia, dźwięk nowego życia.

W tym momencie jakieś osoby chwytają mnie pod ramiona i powłócząc nogami wyprowadzają z areny. Rozglądam się za znajomymi mi zakonnikami, ale ich już nie dostrzegam. W ogóle niewiele widzę z powodu silnie opuchniętych oczu. Jestem coraz bardziej bezwolna i niebawem już nie prowadzona, a ciągnięta bezwładnie po podłożu.

Zauważam zarysy jasnych ścian i liczne pochodnie. Aż naraz jestem w jakimś szykownym pomieszczeniu pełnym zdobnych tkanin na ścianach i kwiatów w wazonach. Zostaję podrzucona do góry i ulokowana na stole. Ściągane jest ze mnie ubranie i ktoś silnie rozszerza mi nogi, które są w tej pozycji przytrzymywane.

Nie potrafię krzyczeć i nie mam już w sobie siły ani woli, by walczyć. W tej chwili jest mi wszystko jedno, co się ze mną stanie i co mi zrobią. Poddaję się i słyszę męskie głosy:

– Wasza Cesarska Mość, zgodnie z życzeniem dziewczyna jest gotowa...

– Tak... Kto by pomyślał, że to coś... śmie jeszcze żyć... Napsuła mi tyle krwi, upokarzając swoimi zwycięstwami na arenie. Teraz zaś dla odmiany posłuży mi jako przyjemność. Trzymajcie ją...

– Ona może się wykrwawić, Wasza Wysokość. Jej ręka... ma przecięte żyły...

– To nic, to nic... Jeżeli niewolnica umrze należycie zapłacimy za nią Artusowi... Zdejmijcie mi odzież...

Dalej niczego już nie słyszę i nic, co się wydarza w tej komnacie, do mnie nie dociera. Moje oczy się rozświetlają błękitem i stąd uciekam. Lecz tym razem nie szybuję niczym wyzwolony duch w przestworzach, o nie...

Obecnie, jak nigdy czuję się całkowicie zniewolona i samotna, tak... Przeto chowam swoją świadomość w najodleglejszej piwnicy sławetnego Koloseum. Trafiam w absolutny mrok pomiędzy szczury, insekty oraz pająki, gdzie nie dostrzegam zupełnie niczego i nie słyszę już nic. Osacza

mnie całkowita pustka i trwam w niej permanentnie. Sama staję się pustą. Pragnę zniknąć, po prostu przestać istnieć. Wszystko, co drogie się dla mnie skończyło i nie chcę już żyć...



XI. JESTEŚ KIM BYŁAM, BĘDZIESZ KIM JESTEM

Budzę się na jadącym wozie z twarzą i dłonią dokładnie przewiązanymi krwawymi bandażami. Zaś co znamienne ponownie znajduję się w drewnianej klatce. Jak powiadamia mnie jeden ze strażników, zmierzamy między mury szkoły Artusa. To nie jest zaskoczeniem, jednak po dotarciu na miejsce, zostaję samotnie osadzona w celi, z której przez szereg dni nikt nie zamierza mnie wypuścić.

Początkowo jest mi to zupełnie obojętne i sędzę, że przyczyną mojego letargu nie jest opłakany stan zdrowia. Także gwałt cesarza na mej osobie. Po śmierci Avesa moje serce pęka i przygniata mnie dojmujące uczucie, że me serce zwyczajnie nie powinno już dłużej bić, a krew w moich żyłach dalej płynąć.

Lecz któregoś dnia odwiedza mnie Gabu. Przynosi mi zawieszistą zupę w misce, którą przeciska przez kraty i stawia na ziemi, po czym wypowiada znamienne słowa, wyjaśniając:

– Nie wiem, czy ktoś ci o tym wspominał, ale nie opuścisz tego miejsca, dopóki nie zaczniesz krwawić... No wiesz jak kobieta. – Wskazuje na moje krocze. – Albo minie pięćdziesiąt sześć dni i ogłoszone zostanie, że nosisz w sobie cesarskiego bękarta. Bo... wszyscy już wiedzą, co się wydarzyło... Jeżeli zaś będziesz w ciąży, zostaniesz sprzedana do cesarskiego haremu, aby tam urodzić i wychować dziecko. Nie będziesz już gladiatrix, nigdy... – Grubas opuszcza wzrok nisko na podłogę i na odchodne zamierającym głosem dorzuca: – Przykro mi z powodu śmierci Avesa, wszystkim jest naprawdę przykro... Natomiast Kalilla po swojej ciężkiej ranie na turnieju... Ona przeżyje...

Gabu zostawia mnie samą ze strawą i moimi przemyśleniami. Ale tych ostatnich nie mam zbyt wiele. I w cienkiej pajęczynie myśli wszystkie one

są całkowicie przesycone zrezygnowaniem oraz żałobnym smutkiem. Aves nie żyje, a ja? Jeżeli nie jestem w ciąży, niebawem podzielę los ukochanego i w którejś potyczce zginę na arenie, a wcześniej zostanę oddana, niczym rzecz jakiemuś gladiatorowi, aby miał ze mnie przyjemność. Z kolei jeśli stanę się brzemienna, resztę istnienia spędzę na monotonnym życiu nic nie znaczącej kobiety, która wszak będzie miała zapewnione wszystko, co niezbędne do egzystencji jej samej oraz dziecka.

Smętne myśli, jakby na wskroś przenikają moje ciało i nie mam ochoty jeść. Odsuwam od siebie stawę i czuję jedynie mdłości. Zwijam się na posłaniu w kłębek, zamykam oczy i wszystko, czego obecnie pragnę, to zasnąć. Chcę po prostu spać i najlepiej się już nie budzić.

W końcu nadchodzi sen, lecz ten wydaje się inny niż zwykle. Jest niesamowicie wyrazisty i spowija go mroczna aura. Trzymam w nim zapaloną pochodnię i kroczę przez ponurą, wąską jaskinię, jakby wydrążony, stary korytarz. Towarzyszą mi pajęczyny falujące łagodnie przez lekki powiew powietrza, aż dochodzę do obszerniejszej części grotu. Unoszę wysoko pochodnię i ukazuje mi się niezwykle postać. To stara kobieta siedząca na drewnianym tronie pełnym pęknięć i drzazg, który wydaje się ponadto spróchniały. Starucha na nim jest niezwykle szczupła i pomarszczona, ubrana w luźne szare szaty pełne podłużnych dziur. Jednakże jest w tej postaci coś dziwnie znajomego, co naraz uderza mnie z wielką siłą tak, że prawie upuszczam trzymaną pochodnię. Oto mam przed sobą wizerunek samej siebie. Tak, mnie samej, tylko niezwykle postarzałej. I raptem starucha spogląda na mnie, po czym wyciąga ku mnie ręce, zupełnie jakby pragnęła mnie objąć. Ja zaś dostrzegam, że wysuwające się z rękawów kończyny pozbawione są dłoni. I naraz kobieta przemawia do mnie niezwykle poważnym, żałobnym tonem, w którym zdaje się zawarty cały ocean bólu:

– Jesteś kim byłam... Będziesz kim jestem... Odchodzisz, aby przybywać z powrotem...

Po tych słowach następuje moje gwałtowne przebudzenie. Me ciało zostaje wygięte w łuk, oczy się rozświetlają, a duch porywa się za obszar celi. Najpierw wzbijam się wysoko ponad mury szkoły Artusa, jakby się zastanawiając, gdzie mam podążyć, aby odnaleźć starą kobietę przypominającą mnie samą. Tę, która wypowiada słowa, od których aż

cierpnie mi skóra. Zaraz jednak mój duch, niczym piórko łagodnie opada i powraca do koszar gladiatorów. Rozumiem – w obecnym czasie to właśnie jest przeznaczone mi miejsce.

I zaraz dostrzegam Ravela oraz Virię. Klęczą oni przy kratkach swej celi i układają tajemniczy wzór z drobnych patyków, a po zasepionych minach tej pary wnoszę, iż odprawiają żałobny rytuał. W kolejnym zakratowanym pomieszczeniu Exon przemywa czoło gorączkującej Kalilli. Kobieta posiada potężną ranę na piersi. Dalej jestem w kuchni i widzę zafrasowanego Gabu z zaciśniętymi pięściami, którymi tuli do siebie płaczącą Adorę. Następnie przebywam już w eleganckiej komnacie, gdzie niegdyś gościła mnie żona Artusa. Ta kobieta jest tu obecna również teraz i zasiadając za obszernym biurkiem, mówi coś do Pajosa. Słyszę te dumnie wypowiedziane słowa:

– Aby poprawić nasze finanse, będziemy używać rozkoszy ciał naszych wojowników arystokratom. Wiele, szczególnie starych wdów, zapłaci sporo złota za upojną noc z Exonem. Podobnie mam już zamówienia od licznych, majątnych panów na Kalillę, nawet w jej terażniejszym, opłakanym stanie... Cóż powiedzieć, niektórych podniecają jej świeże rany, nie nam to oceniać... Zaś najwięcej zamierzam zarobić na tej dzikusce, Anrei. Oczywiście o ile nie jest już w ciąży. – Kobieta zaciera ręce. – To byłoby najlepsze rozwiązanie. Za wyjątkowo dobrą cenę sprzedalibyśmy ją do cesarskiego dworu, a przede wszystkim zawarli wreszcie ugodę z cesarzem. Na ten czas potrzebujemy takiego właśnie kroku...

– A Viria...? – zagaduje łąpczywie nadzorca.

– Przychyłam się do twojej prośby, aby odebrać ją temu...

– Ravelowi.

– Właśnie, Ravelowi... Nie spełnia on pokładanych w nim nadziei i zostanie sprzedany do pracy w kopalni, a wspomniana...

– Viria.

– Właśnie... Ta kobieta zostanie twoją nałożnicą.

– Dziękuję, pani... – Pasjos kłania się służalczo. Na co kobieta macha niedbale dłonią ozdobioną pierścieniami i lekceważąco dodaje:

– Zasłużyłeś, Pajaku. W końcu nasz wspólny plan doszedł do skutku. Prowokowaliśmy cesarza tak długo, aż ten skrycie zabił mego męża. I teraz to ja jestem panią domu Artusa, a to bynajmniej nie koniec moich wielkich ambicji.

– To było bardzo sprytne... – Pajos kłania się jeszcze niżej. – To, że sami zaproponowaliśmy występ zakonników Miecza Białego Psa na arenie. I złożenie w swoistej ofierze Avesa i tej... Anrei, jak najbardziej się opłacało. Jesteś zaiste wspaniała i wielka, ma pani. – Mężczyzna uderza się pięścią w tors.

– Tak... – przyznaje ze swadą kobieta. – Nieliczne ofiary przysłużyły się do zwycięstwa naszej małej intrygi... – Na kobiecej twarzy gości błogi uśmiech. – I zaręczam, że mam już w zanadrzu kolejny, misterny plan, którego dyskretna realizacja wyniesie mnie na sam szczyt... – dodaje dumnie.

– Mianowicie...?

– Zostanę cesarzową... – Pani domu Artusa wyciąga przed siebie rękę ozdobioną pierścieniami. Na co nadzorca rzuca się na kolana i długo całuje jej dłoń, czyniąc to wręcz z namiętnością.

I raptem mój duch powraca do swego ciała. Gwałtownie siadam, czując nieprzyjemną wibrację w brzuchu, po czym obficie wymiotuję. Oszołomiona rozglądam się po celi i po raz pierwszy odkąd tu trafiam, naprawdę tego miejsca nienawidzę...

Nienawidzę całej szkoły Artusa!

Gdybym tylko mogła krzyczeć...

Ale nie mogę.

Zamiast tego postanawiam niezłomnie, że zaprawdę będę działać. Coś się zmienia, czuję to całą sobą i zamierzam się poddać temu nowemu odczuciu. Wzrasta we mnie determinacja oraz gniew. I powtarzam sobie w duchu te same słowa, które wypowiadam w myślach, gdy po raz pierwszy staję na kontynencie Pendorum: „winni zostaną ukarani, tymi oto wątlymi rękami”.

Spoglądam na swoje dłonie. Chwytam żelazne kraty mego więzienia, jak niegdyś drewniane pręty w klatce, w której wieziono mnie na targ

niewolników. Chwytam je i już rozumiem, co jest moim przeznaczeniem. Bynajmniej to nie istnienie, jako zniewolonej gladiatrix czy bycie cesarską nałożnicą. Patrzę na jedną z namalowanych na moim udzie czaszek i już wiem. Mym posłannictwem jest zemsta... dokładnie tak... Wszystkim, którzy na to zasługują, zaniosę śmierć.

Aby zacząć odzyskiwać siły, wlewam sobie do gardła zimną zupę i zawzięcie tłukę pustym naczyniem o kraty. Czynię tak dużo hałasu i na tyle długo, że niebawem pojawia się Gabu. Spoglądam mu z determinacją w oczy i gestykuluję:

– „Przynies mi napój Harremid, natychmiast”.

– Chcesz... jeszcze jeden talerz mojej pysznej zupy...? – pyta niepewnie tłuścioch, miętosząc w ręku brudny fartuch. Jak zwykle mnie nie rozumie. Dlatego zaciskam gniewnie zęby, po czym rozwieram je i rozrywam nimi część bandaży na moim zranionym nadgarstku. Potem otwieram zębami fragment zasklepionej rany.

Zszokowany grubas czyni krok do tyłu i spogląda na mnie zdumiony. Ja zaś maczam palec w moje krwi i piszę nią na własnym ręku:

– „Napój Harremid, przynieś”.

– Napój Harremid...? – powtarza wielce zafrasowany Gabu. – Nie... nie mogę... To wbrew prawu, wbrew Bogom – zarzeka się. – Zabiją mnie... i to nie tylko Bogowie... Możesz mieć cesarskie dziecko w swoim łonie...

W odpowiedzi marszczę się gniewnie na twarzy i spluwam siarczyście w bok, aby dać wyraz temu, co myślę o potencjalnym bękarcie w moim brzuchu. Następnie piszę krwią na drugim ręku:

– „Przynies napój, a cię stąd uwolnię”. – Grubas kręci przecząco głową i już zamierza odejść, gdy gwałtownie podrywam się na równe nogi i dopisuję: – „Uwolnię ciebie oraz Adorę, będziecie wolni, przysięgam. Przysięgam także, że zabiję Pajosa”.

Przeczytawszy te słowa, Gabu otwiera szeroko usta i robi okrągłe oczy. Zszokowany stoi tak dłuższy czas, przyglądając mi się z uwagą, aż w końcu odwraca się i znika w ciemnym korytarzu.

Zostaję sama i bezsilnie kiwam się w miejscu, uderzając rytmicznie głową o kraty. To dziwne, ale odczuwany ból w jakiś sposób sprawia mi

ulgę. Pozwala choć na chwilę nie myśleć o moim osamotnieniu oraz niemocy.

Gdy nagle tłścioch niespodziewanie powraca i czyni to z kubkiem napoju. Zerkam do wnętrza naczynia i widzę zieloną wodę. Przenoszę pytający wzrok na grubasa, a ten przepaszająco wyjaśnia:

– Musiałem przejść koło pary strażników, którzy nikogo poza mną do ciebie nie dopuszczają. A żeby przejść bezpiecznie, to zabarwiłem napój Harremid na inny kolor, dodając trochę soku z pokrzywy... Ale to święta ciecz Bogini, która sprawi, że nie będziesz brzemienna, zapewniam. Zresztą poznasz po smaku. – Podaje mi kubek przez kraty. Chwytam go w dłonie i biorę mały łyk, a rozpoznając znajomy smak, łapczywie wypijam do dna.

Tak, to napój Harremid i moje pierwsze zwycięstwo. Moje łono pozostanie czyste, a ja sama będę wkrótce uwolniona. Wtedy też moje dłonie zostaną uwolnione do dokonania słusznej zemsty.

Obdarzam Gabu uspokajającym spojrzeniem i siadam w pozycji lotosu. W oczekiwaniu na miesięczne krwawienie postanawiam zająć się praktyką Kan Li. Za pomocą siły umysłu oraz wizualizacji mieszam ogień swego serca, z chłodem płuc i równowazę w moim ciele. I nieustannie powtarzam sobie, że niebawem muszę być gotowa, muszę być silna i zrównoważona. A kiedy przyjdzie czas, będę także bezwzględna i wypełnię swe krwawe posłannictwo, tak.



XIII. BITWA

Mija dzień za dniem i noc za nocą, a ja wciąż jestem zamknięta w celi. Moje rany powoli się zasklepiają i fizycznie dochodzę do siebie, ale także mój duch odzyskuje równowagę. Nie mam wielu myśli, lecz te, którymi jestem raczona, są już klarowne. Choć jedna z nich ciągle nie daje mi spokoju.

To wizja okaleczonej staruchy – mnie samej, ale tak bardzo postarzałej oraz bez dłoni. Ten niepokojący obraz zestawiam z postacią znienawidzonego zakonnika, który zamierzał się mieczem na moje nadgarstki. O dziwo wypowiadał się też w języku gestów, jakby sam znał go doskonale, czyli być może był niemową. Do tego zapowiedział, że zgodnie z przeznaczeniem się jeszcze spotkamy, by mógł dokończyć swe dzieło.

Co miał na myśli? Nie wiem tego, ale bynajmniej nie wyglądał na szalonego i wydawało się, iż doskonale wie, co robi, realizując własne zamiary. Ponadto zdecydowanie żywił względem mnie złe uczucia, wręcz pogardę i nienawiść, zupełnie jakby mnie dobrze znał. Zna mnie w rzeczywistości? Jeżeli tak, to skąd? Natomiast jego zimne spojrzenie momentami wyrażało żal i pragnienie wymierzenia mi zasłużonej kary. Czym mogłam mu zawinić? I jak mogłabym się tego dowiedzieć? A jeśli w jakiś sposób łączy mnie on z moją sławną imienniczką z przeszłości, mityczną Anreą?

– „Opowiedz mi o mitycznej Anrei” – gestykuluję, gdy Gabu przynosi mi posiłek w postaci owsianki z gotowanymi warzywami.

– Chcesz poznać... moją historię? – Tłuszcioch aż promienieje, jak zwykle przekręcając mój przekaz. W odpowiedzi załamuję tylko ramiona i już zamierzam wykonać moje ruchy dłońmi dużo wolniej i dokładniej, ale Gabu zaczyna snuć smutno swoją opowieść. A gdy to czyni, nie wiem

czemu, jednakże nie jestem w stanie mu przerwać. Dlatego wysłuchuję jego smętnej historii o nim samym: – Pochodzę z odległej wyspy daleko na oceanie na zachód od konfederacji Favens. Moja rodzinna wyspa jest bardzo mała. Do tego stopnia niewielka, że praktycznie wszystkich mieszkańców bardzo szybko tam poznałem i jeszcze szybciej przestało mi to wystarczać. Zapragnąłem więc poznać wielki, szeroki świat z jego rozlicznymi dziwami, o których namiętnie czytałem w księgach ojca. Dlatego za posiadane oszczędności kupiłem unikatowe minerały, dar naszej wyspy i zabrałem się na statek kupiecki, aby handlować w odległych krainach, poznając je. Statek zmierzał do kontynentu Pendorum. I rzeczywiście tam dotarł. Jednak wtedy się okazało, że nie jest on statkiem kupieckim, tylko pirackim. W efekcie zostałem do cna okradziony, po czym sprzedany w niewolę. I tak wielki świat zakpił sobie ze mnie i moich dalekosiężnych marzeń. I na nic zdało się to, że z mądrych ksiąg poznałem swego czasu setki wybitnych sentencji, jak również prawdziwą rzekę inszych mądrości. Na moje ręce i nogi zawitały ciężkie łańcuchy i od tamtej pory żadne mądre słowa nie są w stanie ich zdjąć. I już na samym początku mej niewoli trafiłem do szkoły gladiatorów Artusa. Ponieważ ze względu na moją górującą nad innymi postać, upatrywano we mnie kandydata na wybitnego wojownika. Lecz nabywcy mojej osoby nie wzięli pod uwagę jednego, drobnego, aczkolwiek kluczowego szczegółu. Mianowicie, że jestem tak wielki swoją posturą, jak w sercu jestem wielkim tchórzem... – Patrzący do tej pory na ponurą ścianę Gabu, przenosi wzrok na mnie i z troską zapytuje: – Czy aby wszystko w porządku...? – Kiwam twierdząco głową. Następnie wyjmuję spod przepaski biodrowej zakrwawioną dłoń, dowód na moje miesięczne krwawienie: – Czyli masz to, czego chciałaś... – kwituje z ulgą grubas i ociężale dodaje: – Idę powiadomić nadzorcę, zaraz powinni cię wypuścić. – Aż raptem wlepia we mnie pytające spojrzenie i ściszone głosem bez przekonania dorzuca: – Naprawdę zabijesz... Pajosa? – Jako odpowiedź ze śmiertelną powagą przeciągam pod brodą swoją zakrwawioną dłoń. Na co tłuścioch przełyka z trudem ślinę i kręcąc z niedowierzaniem głową, odchodzi.

Sama spoglądam na krew na mojej dłoni i widząc ją, naprawdę oddycham z wielką ulgą, po czym powoli odwijam bandaż z ręki, uda oraz twarzy. Delikatnie obmacuję świeże blizny i stwierdzam, że skóra na nich

jest już wystarczająco twarda. Wstaję i wykonuje kilka kopnięć oraz wymachów rękoma. Odnoszę kojące wrażenie, że szybko nabieram właściwej formy.

Niebawem pocieszny tłścioch powraca, ale wraz z jego przybyciem nieoczekiwanie rozlega się w barakach podejrzany szum. Silne pobudzenie, jakiego nigdy tu nie słyszałam. Dochodzą mnie nerwowe pokrzykiwania wyjątkowo wielu strażników i nie mam pojęcia, co to może oznaczać. Wyjaśniają mi to dopiero słowa na dobre roztrzęsionego Gabu, który przebierając w serdelkowatych palcach kluczami od celi, trwożnie oświadcza:

– Niedobrze, bardzo, bardzo niedobrze, po prostu fatalnie... Otchłań się otworzyła i zostaliśmy znienacka zaatakowani... – Skrzypliwie odchyła drzwi od celi i wbija we mnie śmiertelnie poważny wzrok. – Na morskiej plaży wylądował Legion Śmierci, tysiące potępionych wojowników. I... – Słowa więzną grubasowi w gardle. – Każdy, kto jest w stanie trzymać broń, musi się niezwłocznie stawić do walki. Zaś jednym z oddziałów będą też wojownicy ze szkoły Artusa... Leczą o zgrozo, na wielkiego Arezara... Mam być tam i ja oraz Adora... – kończy cienko.

Od tego momentu wszystko dzieje się bardzo szybko i wkrótce jesteśmy już za murami szkoły Artusa otoczeni strażnikami oraz cesarskimi żołnierzami. I wszyscy zmierzamy na rychłą bitwę.

Zatem śmierć zaraz znowu zajrzy mi w oczy, ale czuję się dziwnie spokojna i jakby wyzwolona. Wręcz z radością widzę Exona podtrzymującego jeszcze nie całkiem sprawną Kalillę. Spoglądam przyjaźnie na Virię oraz Ravela, którzy idą dziwnie jak na nich milczący i niestety dane mi jest wiedzieć dlaczego. A są tu także inni znani mi wojownicy ze szkoły Artusa, jak również nadzorcy z Pajosem na czele. Znajdzie się też grupa uzbrojonych w pałki służących w tym Gabu kroczący ciężko za rękę z Adorą.

Kiedy tak idę w zimowej mżawce, gdzie drobny śnieg miesza się z deszczem, jak nigdy zdaję sobie sprawę, że jestem tu z grupą bliskich mi osób, a nawet przyjaciół, z którymi wymieniam teraz pełne emocji spojrzenia. Jest w nich współczucie, ból i nadzieja. Tak, wiem, co przechodzą i oni wiedzą, że ja również cierpię po starcie. Jednak na przekór

wszelkim przeciwnościom, jest między nami też wiara na poprawę swego losu. Może wydaje się to aż absurdalne, ale my, niewolnicy, nie krocymy niczym armia skazańców. Więc jeżeli mój cały trening na gladiatrix miał rzeczywiście jakikolwiek sens, to właśnie nadarza się najstosowniejsza pora, aby go po raz pierwszy słusznie spożytkować. Tak, zaraz będę zabijać i niech ogień walki będzie moim płonącym mieczem, ale w obronie przyjaciół, a na zgubę ich wrogów. Zaś tarczą niech będzie mi wodny spokój, który pozwoli mi samej ocaleć i podjąć słuszne decyzje. Kan i Li.

Niebawem nasz oddział ze szkoły Artusa, jak strumień łączy się z innymi grupami, po czym niczym zbrojna rzeka u swej delty rozlewamy się szeroko na rozległej równinie. Po raz pierwszy jest mi dane widzieć tak nieprzebrane, zbrojne zastępy. Przeto z wrażenia stoję przed Gabu i czynię do niego prosty gest:

– „Pozwól mi wejść na swoje plecy”.

– Eee... Ostrzegasz mnie, że jeżeli będę uciekał... to dźgniesz mnie ostrzem w plecy...? – duka niepewnie. Biorę pełen bezradności głęboki oddech, a wtedy z pomocą przychodzi mi Kalilla, zawracając się do grubasa:

– Anrea chce skorzystać z twego rosłego grzbietu. Zapewne, aby przyrzeć się okolicy. Pozwól jej wejść na swoje ramiona.

– Niech... niech będzie... – Gabu bez przekonania czyni lekki skłon do przodu. Oceniam, że ten pocieszny olbrzym waży gdzieś pięć razy więcej ode mnie. Przez to nie mam skrpułów i już siedzę na jego plecach. A nawet posuwam się dalej, stając chwiejnie stopami na potężnych ramionach. Widok, jaki mi się stąd ukazuje, doprawdy zapiera dech w piersiach.

Nasza grupa złożona z kilkunastu gladiatorów i podobnej ilości uzbrojonej służby oraz strażników umiejscowiona jest daleko na prawej flance, którą zamyka dzierząca widły i cepy zbita tłuszcza wieśniaków. Z kolei po naszej lewej stronie dostrzegam równe szeregi regularnego wojska i rozliczne nieznane mi chorągwie łopoczące na wietrze. Kroczą tu rzędy opancerzonych legionistów uzbrojonych w miecze i duże, prostokątne tarcze, a do tego wyposażonych w oszczepy. Przed nimi znajdują się w linii ciężkozbrojni kusznicy z obszernymi tarczami przytwierdzonymi do

pleców. A jeszcze dalej na lewo zauważam różnorodną konnicę w tym ciężko opancerzone rumaki Zakonu Miecza Białego Psa.

Po moich oględzinach z ramion Gabu dochodzę do wniosku, że armia cesarstwa Terraticos sięga wiele tysięcy doskonale uzbrojonych żołnierzy. Zastanawiam się, jaka potęga może się z nią równać? Spoglądam, niczym zahipnotyzowana na jej nieprzebrane szeregi, jak oczekuje w gotowości i po chwili już wiem na co.

Daleko przed nami rozlega się donośny ryk trąb, ich przytłaczająco niskie brzmienie i można się wręcz wydawać, że powietrze aż drży od tego przejmującego, wibrującego odgłosu. Podobnie zaczyna jakby drzeć sama ziemia, gdy do dźwięku trąb dołącza z oddali miarowy odgłos równomiernie, ciężko stawianych stóp.

Przysłaniam ręką czoło i na horyzoncie ciągle widzę jedynie pożółkłą łąkę, do tego kilka zagajników liściastych drzew oraz wijącą się niespiesznie rzekę. I raptem na widnokręgu wyłaniają się potężne drewniane konstrukcje. Za nimi z kolei sunie ciemna masa nieprzebranej piechoty dzierzającej wzniesione, niebotycznie długie włócznie – prawdziwy, gęsty las drzewców i grotów.

Z wielkim przejęciem spoglądam na wrogą armię, która się zatrzymuje, gdy wtem z jej przednich szeregów wzlatują jakieś przedmioty. Dostrzegam je wyraźnie dopiero wówczas, kiedy dosięgają pierwszych linii żołnierzy Terraticos. Okazuje się, że to ciskane w nas gązdy, a także zwłoki ludzi i zwierząt w fazie rozkładu, od których bije nieznośny fetor. A zanim spadnie na nas kolejna salwa, słyszę gdzieś z lewej strony niezwykle tubalny, męski głos:

– Naprzód! Za Terraticos! Za cesarstwo! Za cesarza! Za pięcioro świętych i walecznych Bogów Pendorum, którzy poprowadzą nas do wielkiego zwycięstwa! Naprzód!

Z tą chwilą nasza armia przyspiesza pochód w kierunku wroga. Z lewej strony regularne oddziały cały czas zachowują zorganizowany szyk, podczas gdy grupa ze szkoły Artusa oraz chłopci ciągną chaotyczną masą.

Sama nadal stoję na ramionach idącego Gabu i dobywam z pleców łuk oraz strzałę z kołczanu na biodrach. Potem sprawdzam naślinionym palcem

siłę i kierunek wiatru. Ten mi sprzyja i dlatego wiem, że niebawem rozpocznę skuteczną walkę na dystans.

Tymczasem nieustannie maszerujemy równym tempem. Natomiast wróg zasypuje nas pociskami z katapult i zajmuje pozycję obronną za rzeką, która w tym miejscu ma płytki bród, rozlewając się szeroko.

W lot chwytam, że jeżeli bitwa będzie się toczyć choć po części w wodzie to przewagę uzyskają strzelcy, następnie liczyć się będzie piechota, dramatycznie zaś straci na znaczeniu konnica, szczególnie ciężka, nie mogąc skutecznie szarżować.

Z grzbietu Gabu śledzę zbliżające się do siebie wojska, przenosząc uwagę na jedną, to drugą stronę. Aż raptem pada rozkaz dowódcy na koniu i wojsko Terraticos zatrzymuje się w niewielkiej odległości od brzegu płynącej spokojnie wody.

Na kolejną komendę kusznicy klękają i wspólnie oddają pierwszą salwę z bełtów na drugi brzeg rzeki. Sama decyduję się oszczędzać strzały i czekam na pewny cel z bliższej odległości, a obecnie bacznie obserwuję rozpoczynającą się bitwę.

Zauważam, że bardzo nieliczni wrogowie z pierwszego szeregu padają od wystrzelonych bełtów na trawę. Lecz oto posyłana jest w ich kierunku salwa za salwą. Aż naraz zza ich pleców pobrzmiwa złowrogi pisk wydobywający się z setek kobiecych gardeł i pomiędzy opancerzonymi piechurami Legionu Śmierci pomykają w szaleńczym pędzie setki amazonek. Każda z nich dosiada białego rumaka i trzyma w dłoni długi miecz albo włócznię.

W odpowiedzi kusznicy, jak jeden mąż się wycofują, a ich stanowisko zajmuje piechota, w tym tylko nieliczna z pikami. Z kolei, gdy wroga konnica przekracza rzekę i zwalnia, zostaje uderzona z lewej strony ciężką jazdą Terraticos. Wtedy całkowicie wytraca impet, ale tuż za sobą ma pieszych wojowników Legionu Śmierci, którzy właśnie rozpoczynają posępny marsz w kierunku płynącej wody. To samo czyni piechota Terraticos. I naraz uświadamiam sobie, że i ja, na grzbiecie Gabu, zmierzam w sam ogień walki.

Jak obudzona ze snu błyskawicznie przymierzam i strzelam z łuku w jedną z lekkobrojnych amazonek kłębiących się w wodnym nurcie. I nie

czekam na rezultat strzału, tylko posyłam w wir walki zakończone grotami drzewce. Nie wiem, ilu trafiam wrogów i z jakim skutkiem, być może rażą swoją bronią także sojuszników, bowiem szeregi dwóch armii coraz bardziej mieszają się ze sobą i pole bitwy zaczyna spowijać prawdziwy chaos.

Dość szybko mój oddział sam docieram do brzegu rzeki. Wtedy zeskakuję z niosącego mnie do tej pory tłuściocha i się przezbrajam, dobywając pary krótkich mieczy. Następnie gnam ile sił przed siebie, aby znaleźć się w pierwszej linii walczących. Nie, bynajmniej nie oszalałam i nie szukam śmierci. Za plecami pozostawiam swoich przyjaciół, a dla samej siebie jestem tu przede wszystkim po to, aby ich chronić.

Wskakuję do płynącej z wolna wody, która w tym miejscu sięga mi jedynie do kolan. I dopiero teraz dostrzegam z kim, czy też raczej czym tak naprawdę przychodzi mi się mierzyć. Wrodzy wojownicy Legionu Śmierci mają mętny wzrok, a ich pozbawione osłony twarze zdają się nie posiadać skóry i są niczym pośmiertne maski. Ponadto nie widzę w tych istotach żadnych emocji. One nie znają lęku, więc nie będą się cofać, będą walczyć do końca, do upadłego. Lecz i ja nie zamierzam się poddawać!

Krzyżuję miecze z pierwszym przeciwnikiem i od siły uderzenia z trudem utrzymuję oręż w rękach. Potem wykonuję cięcie na linii gardła i bez problemu niemal odcinam wrogowi głowę. Więc są silni, ale powolni. To mój kolejny wniosek i obierając odpowiednią taktykę, krocę dalej i zabijam! Unikam parowania ciosów, a czynię liczne uniki i wykonuję skuteczne, błyskawiczne ataki. Przedzieram się szybko przez zastępy wrogów, aż woda sięga mi już po pas i moje ruchy zaczynają tracić na zwinności. Zaś wymierzone we mnie ciosy mieczy i włóczni stają się trudne do unikania. Dlatego, ciągle walcząc, z lekka się cofam, oczekując wsparcia z tylnych szeregów. Ponadto zerkam z ukosa przez ramię.

Dostrzegam wieśniaków porzucających w popłochu widły oraz cepy i uciekających z pola walki, podobnie czmycha służba ze szkoły Artusa. Jednakże spośród niej na posterunku pozostaje Gabu, który stojąc po kolana w wodzie, rozpaczliwie odgania się od licznych wrogów zdobyczną halabardą. I wiem, czemu nie porzuca stanowiska. U swoich stóp ma zalęknioną Adorę. Zaś po jego bokach zauważam też innych, znanych mi wojowników. Exon ramię w ramie z Kalillą skutecznie eliminują

przeciwników. Natomiast Viria oddziela się od Ravela i toczy ciężki bój z dwoma napastnikami. Zaraz namierzam wzrokiem jej partnera i widzę, że jest zawzięcie atakowany dwuręcznym mieczem przez konną amazonkę.

Nie czekam na efekt tego starcia, tylko nurkuję i płynę pod wodą. Wynurzam się pod końskim cielskiem i zamasyście rozcinam wierzchowcowi trzewia. Ten, rżąc przeraźliwie, przewraca się na bok, a ja przeszywam w locie brzuch spadającej z rumaka amazonki. Puszczam Ravelowi porozumiewawcze spojrzenie, wskazując na Virię, aby jej pomógł i przechodzę do serii uników przed dzidami, po czym skutecznie kontratakuję. A zaraz ponownie nurkuję i wypływam na powierzchnię przy Gabu. Eliminuję od tyłu ciosami w kark jego wrogów i uświadamiam sobie, że woda sięga mi już prawie do piersi.

Rozglądam się i zdaję sobie sprawę, że prąd rzeki powoli ściąga naszą walczącą grupę coraz bardziej na prawo od centrum bitwy toczącej się głównie na szerokim brodzie. W miejscu zaś, gdzie obecnie stoję, również naszych przeciwników szybko ubywa. Dlatego decyduję się popłynąć do przeciwległego brzegu. Wspinam się na nieco stromą skarpe, a z niej zaczynam szyc z łuku w wojowników Legionu Śmierci.

Moi przyjaciele również się orientują w sytuacji i ruszają do mnie na brzeg. Gabu i Adora, Ravel oraz Viria, a także Exon z Kalillą. To grupa ocalałych, która mnie teraz otacza. Starają się oni dojść do siebie po wysiłku włożonym w walkę i spoglądają bez wyrazu w kierunku rozgrywającej się nieopodal bitwy.

Jednak dla odmiany mój wzrok podąża w zupełnie inną stronę. Tam też kroczę, na bardziej płaski odcinek kamienistego brzegu i z trudem odwracam na właściwą stronę przewróconą łódź, po czym ją woduję. Pochwyconą żerdzią wskazuję znajomym kierunek zgodnie z płynącą wodą, a przeciwny do bitwy i dopiero wtedy ostatecznie skupiam na sobie wzrok pozostałych.

– Zamierzasz uciec z pola walki? – pyta mnie z pewną dezaprobatą w głosie Exon.

– „Chcę stąd odpłynąć i to razem z wami” – koryguję.

Wszyscy poza Adorą spoglądają na Kalillę, która dość dobrze rozumie mój język gestów. Ona z kolei w zamyśleniu wyjaśnia:

- Anrea proponuje nam wolność...
- „Tak” – potwierdzam.
- Ta rzeka uchodzi niebawem do morza i co dalej, kiedy tam dotrzemy?
- interesuje się Ravel.
- „Okręt Legionu Śmierci” – gestykuuję.
- Kalilla kiwa ze zrozumieniem głową i tłumaczy pozostałym:
 - Armia inwazyjna przybyła tu na statkach. My zaś możemy porwać jeden z nich.
 - I dokąd popłyniemy? – pyta Viria, podchodząc z zaciekawiona do łodzi. Odpowiedzi udziela Gabu:
 - Morze przed nami to wewnętrzny akwen kontynentu Pendorum, a zatem droga wodna, poza cesarstwem, prowadzi tylko w jedno miejsce, mianowicie do samej Otchłani... I wiecie co...? – Wszyscy spoglądają na mokrego od wody oraz krwi grubasa z halabardą, a ten obejmuje trzęsącą się Adorę i dumnie odpowiada: – Wszyscy przybyliśmy na tę bitwę właśnie z otchłani, jaką jest dla nas szkoła Artusa. Nie wrócimy tam i gdziekolwiek się udamy, towarzyszyć nam będzie przynajmniej nadzieja na odmianę losu.
 - Chwyta na ręce Adorę i zanosí ją do łodzi, gdzie razem zasiadają.
 - Płyniemy... – oświadcza odważnie Ravel i spoglądając na swoją partnerkę, zawadiacko dodaje: – Nie oddam cię Pajosowi, a sam kiepsko obracam kilofem, aby robić karierę w kopalni żelaza. Już wolę zmierzyć się z całą Otchłanią, przynajmniej mając ciebie u boku! – Na te słowa Viria całuje Ravela w usta, bierze go za rękę i zasiadają na ławie w wodnym środku transportu.
 - Nie jest to honorowe postępowanie... – mówi z kolei posepnie Exon. Lecz Kalilla kładzie mu palec na ustach i oznajmia:
 - To żaden honor patrzeć, jak umierasz na arenie czy w toczącej się tutaj batalii. A kiedy to się stanie i ja będę już martwa.
 - W odpowiedzi mężczyzna wzdycha ciężko. Patrzy jeszcze za tocząca się ciągle bitwą. Następnie przenosi wzrok na swoją partnerkę i jej ranę na piersi, która znowu się otworzyła, by zalewać kobietę jej własną krwią. Raz jeszcze bierze głęboki oddech, obejmuje ramieniem Kalillę i ze spuszczonej

głową, jakby pewnym wstydem, prowadzi partnerkę do łodzi, gdzie razem zasiadają.

Ja, jako jedyna, stoję samotnie na rufie, trzymając żerdź. Przez chwilę myślę tęsknie o Avesie. Niestety jego nie ma już przy mnie i nigdy nie będzie. Natomiast wyłącznie, co w tej chwili posiadam, to łódź i kij w dłoniach oraz nadzieję, za których sprawą mogę spróbować dać nam lepszą przyszłość. Czy tak będzie w rzeczywistości? Czas pokaże, choć aby się to ziściło sama dam z siebie wszystko...



XIV. OKRĘT

Powoli zbliżamy się do ujścia rzeki. Nurt jest tu spokojny podobnie jak my sami. Widok i odgłosy walki pozostawiamy już dawno za sobą. Liczę również i na to, że na zawsze pozostawimy w tej krainie niewolące nas kajdany.

Obserwuję, jak trzy pary znajomych w ciszy nawzajem opatrują swoje rany. W ruch idą igły i nici, lecznicze maści oraz bandaże, a także uzdrawiające rytuały. Gabu całuje fioletowy siniec na policzku Adory. Ona w skupieniu szyje mu głęboką ranę na potężnym udzie. Exon poprawia świeże bandaże na piersi Kalilli, gdzie otworzył jej się jeszcze niezagojony, dotkliwy uraz. Kobieta nie pozostaje dłużna i smaruje odkażającą maścią poorane pancerną rękawicą czoło partnera. Natomiast Ravel z Virią trzymają się za ręce, intonując w skupieniu słowa uzdrawiającej modlitwy.

Wkrótce rzeka zaczyna się łączyć z morzem, a wtedy dostrzegamy zakotwiczone w wodzie okręty z Otchłani. Są to czarne, kostropate statki średniej wielkości ze zdjętymi żaglami. Na widok flotylli moi kompani kładą się nisko przy dnie łodzi. Jednak ja sama muszę żerdzią nadawać naszemu środkowi transportu właściwy kurs.

Gdy wtem gwałtownie zasysam powietrze do ust, czując w ramieniu straszliwy ból. Spoglądam na moją rękę i widzę tkwiący w niej żelazny bełt z grotem po drugiej stronie przeszytego na wylot ramienia. Po chwili jest przy mnie Exon, ale widząc w moim ciele metal, nie drewno, kręci przecząco głową. Oddaję mu żerdź służącą do sterowania i sprawną ręką wskazuję na najbliższy okręt, skąd musiał paść strzał.

Mężczyzna steruje w tym kierunku, a ja, podobnie jak Kalilla, w skupieniu zdejmujemy łuki z pleców. Zranioną kończyną przytrzymuję łączysko, przewyciężając ból i gotuję się do oddania celnego strzału. Wszyscy zastygają w napięciu. Wiedzą, że zbliża się decydująca chwila

kolejnej potyczki. Sama nie zamierzam czekać dłużej i napinam cięciwę ze strzałą. Moja krew z wolna skapuje na pokład łodzi, a mięśnie naprężonej ręki drżą od wysiłku.

Aż naraz wrogi kusznik podnosi się za burtą, by oddać strzał, a wtedy go uprzedzam, trafiając w odsłoniętą głowę. I nie czekając, wypuszczam strzałę za strzałą w pojawiające się na statku nowe cele. Większość z nich pada na pokład od umiejętnych ataków moich oraz Kalilli i tak oto unieszkodliwiamy całą grupę wrogich kuszników.

Podpływamy do jednej z burt i ostrożnie opływamy statek, poszukując dogodnego miejsca do abordażu. Sama cały czas celuję z łuku w górę, gotowa oddać jeszcze jeden strzał. Ten jednak ciągle nie jest potrzebny.

Docieramy do lin oplatających burtę statku i po jej kostropatej strukturze wspinamy się na górę. Przodem ruszają Exon z Kalillą, a kiedy osiągają górny pokład, rozchodzą się tam gwałtowne odgłosy walki. Zaraz za pierwszą parą na statek wdziera się druga w postaci Ravela oraz Viri. Potem wdrapują się nieudolnie Adora z Gabu.

Ten ostatni pod swoim ciężarem napręza niebotycznie liny, których się przytrzymuje, aż jedna z nich pęka i grubas z impetem ląduje w wodzie. Spoglądam za nim, ale on nie wypływa. Więc daję nura do słonej wody.

Ta zabarwia się na czerwono krwią z mojej rany w ramieniu i czuję dotkliwe szczypani. Ale przede wszystkim szczęśliwie dostrzegam Gabu, który idąc na dno, rozpaczliwie przebiera nogami oraz rękoma. Nie tracąc zimnej krwi, opływam go, czekając, aż wciągnie wodę do płuc i stanie się bezwładny. Nie mam wyboru, bo jeżeli teraz mnie chwyci, to w szoku zadusi we własnych ramionach.

Grubas dostrzega moją osobę i patrzy na mnie w przerażeniu pomieszanych z gorzkim zdziwieniem. Aż puszcza z ust bąble powietrza i pozostaje w wodzie zupełnie bezwolny z otwartą buzią i jeszcze szerzej rozwartymi oczyma.

Dopiero teraz podpływam do niego od tyłu i chwytam za plecy, po czym ile sił kieruję się z nim na powierzchnię, lecz nie daję rady. Przesuwamy się nieco do góry, ale mi również braknie już powietrza i sił. Muszę podjąć błyskawiczną decyzję. I choć to przeklinam, to jeszcze chwila, a puszcze Gabu na pewną śmierć w morskich odmętach, aby ratować samą siebie.

Gdy wtem dostrzegam koło mnie nurkujących Exona oraz Ravela. Zabierają z moich ramion grubasa i wspólnie holują go ku powierzchni. Osiągamy ją wspólnie i na łodzi następuje szybka reanimacja, którą przeprowadza Adora. Jej usta i Gabu spotykają się raz za razem, aż tłścioch gwałtownie wymiotuje wodą, by zaraz utonąć tym razem w objęciach pyzatej dziewczyny. Wszyscy oddychamy z ugiłą i niczym ciężką skrzynię wciągamy ocalałego tłściocha na pokład za pomocą kilku oplatających go lin.

Tymczasem wrogi okręt zostaje zdobyty, a nam nie pozostaje nic innego, jak skierować go ku otwartemu morzu, do czego właśnie czynimy przygotowania. Ponadto za pomocą obcęg znalezionych w ładowni Exon odłamuje grot bełtu w moim ramieniu i wyciąga z mej ręki żelazny pręt. Potem zostaję mocno zabandażowana. W tym czasie Ravel oraz Viria, zaznajomieni z żegluga, stawiają żagle. Natomiast Adora z dochodzącym do siebie Gabu zajmują pozycję przy sterze i zawzięcie studiują odnalezioną mapę. Z kolei Kalilla akurat podnosi ostatnią kotwicę i w tym momencie zrywa się porywisty wiatr, który dmie w żagle, napinając je do granic możliwości. Statek rusza z impetem i nie niepokojony obiera właściwy kurs na odległe wybrzeże Otchłani, miejsce z dala od cesarstwa, w którym to władztwie zapewne już na zawsze pozostaniemy ściganymi banitami.

Spoglądamy wspólnie za ginącym w oddali lądem. A gdy niebawem nadchodzi noc, widzimy wielką łunę rozświetlającą mroczne niebo. Pochodzi ona od płonącej stolicy wielkiego cesarstwa. Stąd wniosek, że bitwa w jego obronie zostaje przegrana. Widocznie tak zdecydowali Bogowie. Bądź jak twierdzi Etos ślepa fortuna, która to ślepcami czyni następnie swoich wybrańców, nakazując im szukać wygranych tak długo, aż spotka ich gorzki los pokonanych. My jednak wrywamy się z matni i z prądem nadziei podążamy tam, gdzie spotkamy jeszcze nieprzepowiedziany nam los.

*

Płyniemy. Mija dzień za dniem i noc za nocą. Czasem wita nas pobudzające jasne światło słońca, księżycy oraz gwiazd, a innym razem nie i wówczas towarzyszy nam złowrogi cień oraz mrok. Lecz wnętrza nas

samych, nieustannie rozświetla wiara w lepszą przyszłość. Zrzucamy krępujące nas łańcuchy i sami, własnymi siłami, sięgamy po dar wolność.

Zaiste to wspaniałe doświadczenie stanąć na dziobie statku i czuć w rozpuszczonych włosach poruszający nimi wiatr, który prowadzi nas w nieznaną. Możemy swobodnie przechadzać się po pokładzie tam i z powrotem oraz czynić to, jak długo chcemy i nikt nie wskaże nam miejsca, gdzie zamknie nas pośród niewolniczych krat.

Dlatego, mimo że zmierzamy do okrutnej i wrogiej krainy, to się nie lękamy. Każdy z nas czuje, iż zyskuje coś niezwykłego i wszyscy jesteśmy gotowi o to walczyć na każdym łądzie czy morzu. Tak, walka, tej sztuki nauczyliśmy się bardzo dobrze i niewątpliwie nadal nie przestaniemy się w niej szkolić.

Monotonny czas podróży spędzamy zwykle sami ze sobą lub w bliskich sobie parach, a czasem w większym gronie na wspólnych rozmowach i planowaniu dalszych kroków. Jednak najczęściej po prostu doskonalimy nasze bitewne umiejętności. I dotyczy to nie tylko zaprawionych w boju wojowników. Exon bierze na siebie szkolenie Gabu, w którego potężnych rękach zdobyczna halabarda jest naprawdę śmiertelnie groźną bronią. Sama wybieram w ładowni statku najlepszą moim zdaniem kuszę i wraz ze stalowymi bełtami podarowuję ją Adorze, namawiając do wprawiania się w jej obsłudze. Pызata dziewczyna z królestwa Saladior się godzi i od tej pory wystrzeliwane przez nią bełty co raz lądują w krągłej tarczy narysowanej kredą na burcie statku. Ravel zaś trenuje spokojnie z Virią. Choć zamiast ćwiczyć sumiennie, z reguły ze śmiechem szybko lądują na pokładzie statku i szukają tam ustronnego miejsca, aby się kochać.

Natomiast mój osobisty trening, a także Kalilli musi trochę poczekać. Obie posiadamy na ciele dość poważne rany i najpierw koncentrujemy się na ich wygojeniu. Mamy na to dość czasu, bowiem dopłynięcie do wybrzeży Otchłani ma według Gabu zająć w sumie kilka tygodni. Na szczęście w ładowni natrafiamy na dostateczną ilość słodkiej wody oraz prowiantu.

Aż podczas jednej z debat zbieramy się wspólnie na pokładzie, aby ostatecznie skonkretyzować dalsze kroki. Szybko zgadzamy się w tym, że po przybyciu do Otchłani, ze względu na liczne zagrożenia, nie możemy się

tam nigdzie na dłużej zatrzymać. Ponadto nie posiadamy żadnych map tej krainy. A wiemy tylko tyle, że z przeciwległych wybrzeży lądu, do którego zmierzamy, możemy dotrzeć drogą morską do rozlicznych zakątków świata. Zaś podążając dłuższy czas drogą lądową Otchłani prosto na północ i przemierzeniu Srebrzystych Gór powinniśmy trafić do księstwa Razzinal. Tak więc w przyszłości, w zależności od nadarzających się okoliczności, udamy się do ojczyzny Kalilli albo też przejmemy kolejny statek i pożeglujemy do odległego świata. Takie zapadają ostateczne ustalenia.

Zatem ogólnie jesteśmy zgodni i wszystko wydaje się między nami uporządkowane aż do momentu, gdy padają znamienne słowa Exona:

– Najwyższa już pora, aby podjąć kluczową decyzję dla dalszej wyprawy. Mianowicie musimy wreszcie poruszyć temat, który jest cały czas tak skrętnie przez nas pomijamy. – Robi krótką pauzę, zaciska dłonie na rękojeści miecza za pasem i grobowym tonem rzuca w powietrze: – Kto będzie nami dowodził? Bo nie możemy wyruszyć w nieznane bez jasnego przewodnictwa, chyba że na własną zgubę.

Nastaje pełna wyczekiwania cisza, gdzie zebrani w kręgu wodzimy po sobie wzrokiem. Sama w swej naiwności w ogóle nie myślałam, że aspekt przywództwa może stanowić problem. Aż do tej pory brałam za dobrą monetę, że nie potrzebujemy na czele jednej osoby. Ale raptem przyznaję w duchu Exonowi rację. Jeżeli nie będziemy mieli dowódcy, to w razie trudności w nasze szeregi szybko może się wkraść chaos. Choć osobiście naprawdę nie wiem, kogo mogłabym poprzeć, aby nie urazić kogoś innego. Aż głos zabiera Ravel:

– Zatem nie pozostaje nam nic innego, jak zagłosować. Dlatego osobiście głosuję na najbardziej zabójczą i to pod każdym możliwym względem osobę. Niech przewodzi nam Viria! – Puszczając kobiecie całusa, wzbudząc jej szeroki uśmiech na wytatuowanej twarzy.

– Nie czas na kpiny...– oznajmia na to ciężko Exon. Z kolei Ravel reaguje błyskawicznie:

– Więc zamiast głosowania wolałbyś pojedynek?! – podnosi głos. – Chciałbyś rozegrać to wielce honorowo w stylu rodem ze swego nadętego królestwa Saladior?! – kpi i ściska w dłoniach trzonek swego trójzębu. Viria w jednej chwili poważnieje i kładzie mu dłoń na ramieniu, aby go

powstrzymać. Podobnie Kalilla chwytła za zbrojne ramię Exona. I raptem niepewnie odzywa się Gabu:

– Przecież... Przecież już mamy przywódcę... – Wszyscy spoglądają na niego pytająco, a on przenosi wzrok na mnie, dodając: – To Anrea nas tutaj przywiodła, wszak poszliśmy za nią...

– To prawda – przyznaje Exeon i wyraża wątpliwość: – Ale czy to oznacza, że cały czas ma nas prowadzić? Przede wszystkim brak jej doświadczenia. To prawie dziecko i niemal dziewczyna, a nie kobieta...

– Ale bystre z niej dziewczę – rzuca strapiony Gabu i już pewniej kontynuuje: – Sam uczyłem ją sztuki posługiwania się myślą, nauczając pełnych mądrości sentencji z Traktatów Etosa. Poza tym zawsze mogę służyć jej świetlaną radą, z której niewątpliwie skwapliwie skorzysta dla dobra ogółu. – Wobec kwaśnych min reszty osób, grubas znowu zaczyna lawirować: – Wszyscy... wszyscy możemy ją wspierać. A raczej nie zgodzimy się wspólnie na nikogo innego. Więc alternatywą dla przywództwa Anrei jest to, że zaraz przyjdzie nam się na tym statku podzielić albo też... pozabijać...

Po sugestjach tłściocha, patrząc na mnie, krytyczny głos zabiera Ravel:

– Kiedy przy niej, Anrei... umierają wszyscy mężczyźni, zauważyliście...? – oznajmia tajemniczo i ponuro wymienia: – Najpierw Gamidos, a potem Laris i Arramiros... aż wreszcie...

– Aves... – kończy grobowym tonem Viria. Na co zdecydowanie reaguje Kallia:

– Przestańcie tak mówić, natychmiast. Nie macie prawa obarczać kogokolwiek odpowiedzialnością za czyjąś śmierć na arenie. – Mrozi srogim wzrokiem Ravela oraz jego partnerkę i zwraca się do wszystkich obecnych: – Niech stanie się tak, jak prawi Gabu. Niech przewodzi nami Arnea, która dowiodła już swej wartości, wyprowadzając nas z matni wielkiej bitwy i poprowadziła ku wolności. Wszak wybierzemy ją przywódczynią z zastrzeżeniem, iż zawsze wysłucha ona rad wszystkich nas tutaj zebranych, oraz że nigdy nie wykaże się wobec nas tyranią.

– Tyranią, to znaczy? – pyta kobieta z Favers, a Kalilla wyjaśnia:

– Aby sprawnie działać, musimy stanowić zorganizowaną grupę, to zrozumiałe. Jednak jeżeli ktoś nie pogodzi się z daną decyzją Anrei, wówczas nie będzie zmuszony się podporządkować pod groźbą kary. Zawsze będzie mógł swobodnie odejść. Takie proponuję zasady.

Po wypowiedzi partnerki Exona następuje nieoczekiwana dla mnie zgodność i teraz w moją stronę zwrócone są liczne lekko uśmiechnięte twarze zdradzające satysfakcję. Szukam wzrokiem takiego oblicza, którego wyraz będzie prezentował bunt przeciw słowom kobiety z księstwa Razzinal, ale takowego nie zauważam. A skoro tak, nie widzę innego wyboru, jak zaakceptować ustalenia moich przyjaciół, którzy, choć, jak słyszę nie ufają mi do końca, to nieoczekiwanie składają swój los w moje ręce.

– „Zgadzam się” – gestykułuję i naprawdę pragnę wierzyć, że podołam nowemu zadaniu. Tak więc czas pod moim przewodnictwem powitać nowy ład.



Spis treści

I. ARENA

II. KOSZARY GLADIATORÓW

III. TRENING

IV. TURNIEJ KU CZCI GRAGEZONA

V. POWRÓT

VI. IGRZYSKA KU CZCI AREZARA

VII. KOLEJNY POWRÓT

VIII. SŁAWA

IX. RAZEM CZY OSOBNO KU CHWALE BOGINI HARREMID

X. KONFRONTACJA KU CZCI AVENEDORA

XI. JESTEŚ KIM BYŁAM, BĘDZIESZ KIM JESTEM

XIII. BITWA

XIV. OKRĘT